

W CIENIU WOJNY NA UKRAINIE

Polska i Polacy wobec rzezi wołyńskiej
– dwugłos „Do Rzeczy”

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 27/483 4-10 LIPCA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Mocne strony
Mariusza Błaszczaka

**JAK KRAKOWSCY
MIESZCZANIE
STALI SIĘ
KSIĄŻĘTAMI
MASSALSKIMI**



Wychodzi na jaw
szkodliwość przymusu
noszenia maseczek

Dlaczego Franciszek nie lubi polskiego Kościoła?



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 185000
Nakład: 54 000 egzemplarzy

CZY ENERGIA Z WIATRU ZWIĘKSZY BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE POLSKI?



Tak twierdzi większość Polaków



Rząd i Parlament mają szansę już w najbliższych tygodniach zmienić prawo i odblokować budowę farm wiatrowych. Dzięki temu zwiększą bezpieczeństwo energetyczne Polski, obniżą rachunki za prąd, a jednocześnie pomogą chronić środowisko i klimat.



Polska ma ogromne zasoby taniej energii z wiatru. Eksperti z Fundacji Instrat szacują, że do 2040 roku potencjał ten może sięgnąć 40 GW. To 8x więcej niż moc elektrowni Bełchatów - największej polskiej elektrowni węglowej.



Polacy uważają, że rozwój OZE jest szczególnie ważny w obliczu wojny w Ukrainie i konieczności poprawy bezpieczeństwa energetycznego Polski w oparciu o krajowe źródła energii.

Kto chce więcej energii z wiatru na lądzie?

Czy Pana/i zdaniem polskie prawo powinno zostać zmienione jak najszybciej, aby ułatwiać budowę wiatraków w naszym kraju?

ODPOWIEDZI „TAK”:

74% WYBORCÓW
PiS

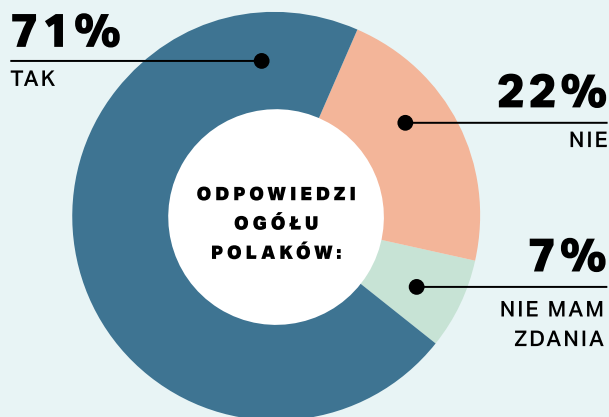
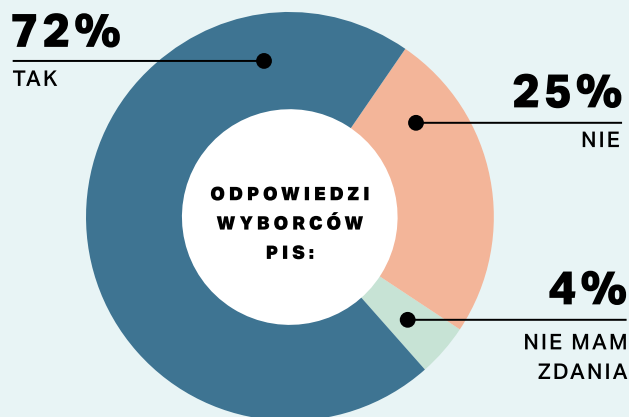
79% OGÓŁU
POLAKÓW

79% MIESZKAŃCÓW
WSI

92% MIESZKAŃCÓW
WOJ. PODKARPACKIEGO

Według wyborców PiS energia z wiatru to sposób na niezależność energetyczną

Czy Pana/i zdaniem większa produkcja energii z wiatru pomoże uniezależnić nasz kraj od Rosji, jeśli chodzi o surowce energetyczne?



Sondaż został zrealizowany przez Kantar w dniach 2-6 czerwca 2022 r., na reprezentatywnej ogólnopolskiej próbie 1000 Polaków w wieku 18+, na zlecenie Fundacji Avaaz.
Materiał: Fundacja ClientEarth Prawnicy dla Ziemi.

Pełna treść
raportu:



Zwycięstwo cywilizacji życia.

Dziesięć wniosków



PAWEŁ LISICKI

Wyrok Sądu Najwyższego USA, przekreślający wcześniejsze orzeczenie z 1973 r., na mocy którego w Stanach Zjednoczonych uznano istnienie prawa do aborcji, to zapewne największe zwycięstwo cywilizacji życia w XXI w. Żeby była jasność, ten wyrok nie wprowadza wcale, jak twierdzą lewicowi aktywiści, zakazu aborcji. Podkreślam: orzeczenie, za którym opowiedziało się pięciu z dziewięciu sędziów (trzech było przeciwko, a jeden zajął niejednoznaczne stanowisko), nie wprowadza zakazu aborcji, stwierdza tylko (lub aż!), że nie istnieje nic takiego jak konstytucyjne prawo do aborcji. Sędziowie klarownie pokazali, że obowiązuje tylko prawo, które można wywieść albo po prostu z Konstytucji USA, albo wprowadzonych do niej poprawek. Otóż tzw. prawo do aborcji jest, dowiedli sędziowie, wyłącznie arbitralną, całkowicie nielogiczną i niespójną formą prawniczego prawotwórstwa. Inaczej: większość liberalnych sędziów na zasadzie prawa kaduka wprowadziła w 1973 r. rozwiązanie sprzeczne z literą i duchem amerykańskiego prawa.

A teraz kilka najważniejszych wniosków. Dla prostoty przedstawię je w punktach.

1. W prawie 20 stanach znowu zacznie być chronione ludzkie życie. Skończy się tam zabijanie dzieci nienarodzonych. Będzie to również silny, pozytywny impuls dla ruchów pro-life w pozostałych stanach. Może i tam zwycięży prawo do życia.

2. Wyrok ten oznacza, że liczą się logika i rzeczywistość. Sędziowie odwołali się do sensu tekstu i zerwali z nieuczciwą praktyką wprowadzania prawa tylnymi drzwiami na zasadzie widzimisię.

3. Powrót do demokracji. Od tej pory to wyborcy decydują, czy słuchać się prawa natury i chronić dziecko od poczęcia. Ale demokracja ma jeszcze jedno znaczenie. Gdyby nie zwycięstwo polityczne Donalda Trumpa i gdyby nie to, że dotrzymał on obietnicy wyborczej, nominując do składu Sądu Najwyższego prawników o konserwatywnych poglądach, zmiany by nie było.

4. Wyrok ten stanowi zaprzeczenie lewicowej narracji, zgodnie z którą kształt przyszłości jest przesądzony. Nie istnieje dziejowa konieczność. Nie istnieje jeden, stały, postępowy kierunek dziejów. Nic nie jest nieuchronne, na pewno nie rewolucja. Kontrrewolucja może zwyciężyć.

5. Żeby tak się stało, niezbędne są odwaga i silny charakter. Nie tylko u polityków, jak u Donalda Trumpa. W jeszcze większym stopniu te cnoty muszą występować u samych sędziów. Przypomnę, że miesiąc przed ogłoszeniem wyroku lewicowy portal Politico, rzecz całkowicie bez precedensu, opublikował przeciek, czyli wstępną opinię sędziego Samuela Alito. Od tej pory organizacje proaborcyjne, lewackie i feministyczne zgłaszały sędziom istne piekło. Pod ich domami dochodziło do demonstracji, grozono im i ich najbliższym spalaniem, pobiciem, śmiercią. Wszystko to działo się z mniej lub bardziej jawnym poparciem prezydenta Joe Bidena i wielu innych polityków demokratycznych. Mimo wycia tłuszczy sędziowie nie ulegli. Po prostu dopełnili swojego obowiązku.

6. Zarówno reakcja na przeciek, jak i na sam wyrok pokazała, że zwolennicy aborcji, mówiąc o pokoju, nie wahają się odwoływać do gróźb, szantażu i przemocy. Są skrajnymi obłudnikami.

7. Ze szczególną zaciekleścią zwalczają oni Kościół katolicki. Mimo kryzysu to chrześcijaństwo pozostaje główną społeczną ostoją prawa natury. To Kościół przypomina, nawet jeśli często zbyt słabo i niewyraźnie, o świętości życia jako daru Boga. Dlatego to właśnie kościoły katolickie tak często były i są celem ataków, podpaleni, wandalizmu, a niekiedy wręcz bluźnierstwa.

8. Wyrok ten to dopiero początek. Otworzył on drzwi do politycznej walki o pełną obrotę życia w Ameryce. Można się spodziewać, że będzie to kluczowa kwestia nadchodzącej kampanii prezydenckiej.

9. Ze względu na swoją pozycję imperium światowego i najważniejszego państwa Zachodu wyrok w USA na pewno wpłynie na to, co dzieje się w Europie. Z jednej strony, mam nadzieję, pobudzi do działania często już zrezygnowanych i rozpaczonych obrońców życia. Widząc, co się stało za oceanem, znowu uwierzą, że nie wszystko stracone. Z drugiej strony, przeciwnie, można się spodziewać, że europejskie elity w Brukseli, bojąc się zmiany wiatru, będą próbowały wprowadzić „prawo do aborcji” do kategorii tzw. praw podstawowych w Unii. W żadnym razie nie wolno się na to zgodzić.

10. Jak powiedział sędzia Clarence Thomas, nadszedł czas, by Sąd Najwyższy odrzucił inne błędy, w tym m.in. uznanie tzw. małżeństw jedнопłciowych. Ta wołająca o pomstę do nieba szalona decyzja Sądu Najwyższego USA z 2015 r. powinna być, oczywiście, kolejnym celem ataku sił konserwatywnych. Prawo stanowiące musi znowu odpowiadać prawu natury. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI

KAPELUSZY KARDYNAŁSKICH NIE BĘDZIE

Dlaczego Franciszek nie lubi
polskiego Kościoła?

17 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK

PAPIEŻ WEDŁUG GEORGE'A WEIGLA

KRAJ

20 JACEK PRZYBYLSKI

NATO 2.0 ZE STAŁĄ BAZĄ W POLSCE

Historyczny szczyt NATO w Madrycie

24 KAMILA BARANOWSKA

OD WICEPREMIERA DO PREZESA?

27 ROZMOWA Z DAGMARĄ PAWEŁCZYK-WOICKĄ
**NIE MOŻE BYĆ LEPSZYCH I GORSZYCH
SĘDZIÓW**

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

MORALNE SZPONY NIEMIECKIEJ TEŚCIOWEJ

32 ROZMOWA Z AGNIESZKĄ ŚCIGAŁ
NIKT MNIE NIE KUPIĘ

34 PIOTR SEMKA

KTO CO MA BADAĆ, CZYLI STARY SPÓR W STARYCH KOLEINACH

36 JERZY KARWELIS

SKĄD TE CHOROBY?

38 ŁUKASZ ZBORALSKI

NAUCZYCIELSKA DZIURA

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK

CÓRKI WOJNY

Świetny debiut ukraińskiej autorki

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE



50 WOJCIECH GOŁONKA

CO DALEJ Z WOŁYNIEM?

Polska wobec rzezi wołyńskiej

53 MACIEJ PIECZYŃSKI

FAŁSZOWANIE BANDERY

56 JAN FIEDORCZUK

FEDERACJA CZY SUWERENNOŚĆ?

HISTORIA

58 TOMASZ LENCZEWSKI

USZLACHETNIENI

Jak krakowscy mieszcianie stali się
księżętami Massalskimi

62 RADOŚLAŃ WÓJTAS

OPOWIEDZIEĆ SIEBIE ŚWIATU

ŚWIAT

64 PIOTR WŁOCZYK

ŚWIAT PO ROE

Reakcje na konserwatywną kontrrewolucję

66 OLIVIER BAULT

WŁOCHY – ROSJA: HISTORIA ZAWIEDZONEJ MIŁOŚCI

EKONOMIA

72 ŁUKASZ WARZECHA

SZALEŃCZE PLANY UE

Lewicowy paradygmat uderza w motoryzację

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

SŁONECZNY PATROL

Ceny wypoczynku nie sprzyjają opaleniznie

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WŁOCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**

I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Joanna Bojarczyk**, **Grzegorz Brzozowski**,

Wojciech Cejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić** (*Brusela*),

Tomasz Cukiermilk, **Krzysztof Czabanski**, **Wojciech Golonka**,

Ryszard Gromadzki, **Piotr Gursztyn**, **Marek Jurek**, **Jerzy Karwelis**,

Jacek Komuda, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*),

Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,

Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,

Andrzej Nowak, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**, **Jan Pospieszalski**,

Tomasz Rowiński, **Witold Repetowski**, **Wojciech Roszkowski**, **Agnieszka**

Rybak, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Błażej Torasiński**,

Szewach Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Małgorzata Wólczyk**, **Jakub**

Wozinski, **Tomasz Wróblewski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**

(także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Kamila Frach**, **Marcin Bugaj**,

Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **David Sienkowski**,

Łukasz Zygałdo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik), **Marta Michałowska**,

Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzotopa**

Okladka: **STEFANO COSTANTINO/MEGA/THE MEGA AGENCY/FORUM**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Logo PMPG POLSKIE MEDIA SA

Logo GPW

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Logo RUCH SA

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Apel nie tylko na „miesiąc dumy”

Szanowni Państwo, miesiąc dumy, gdzie nie spojrzymy. Wchodzę na stronę WWW dużego irlandzkiego dostawcy usług, z którego korzysta mój pracodawca. Blog mnie atakuje kolejną już dzisiaj tęczową flagą. Powoli tracę cierpliwość i mam ochotę napisać zgryźliwy komentarz, zapytując się, czym się właściwie zajmują – biznesem czy rewolucją obyczajową? Z firmowego adresu tego nie zrobię, więc rezygnuję. Chwilę potem otwieram poniekąd bezwiednie biuletyn informacyjny polskiej księgarni internetowej i – to dopiero niespodzianka – oferuje się mi książki w tematyce LGBT+. Przelewa się czara gorzycy. Piszę zatem zwięźle i asertywnie, choć kulturalnie:

*Dzień dobry,
pragnę oświadczyć, że wystarczy jeden niewłaściwy biuletyn, aby stracić klienta. Nie życzę sobie być bombardowany tematyką „miesiąca dumy” przed każdą księgarnią, wydawnictwo i inne podmioty, które powinny się zająć zarabianiem zamiast replikować polityczno-kulturowy aktywizm zachodnich firm.*

Z uszanowaniem
Sławomir Budziak

Odpowiedź przychodzi po krótkiej chwili. Jest, że tak to ujmę, uprzejmie robotyczna i niezdradzająca śladu refleksji. Jakżeby inaczej! Ot, jakiś wariat nie akceptuje nowej postępowej mody. Ale gdyby ci wszyscy „wariaci” uaktywnili się i uprzejmie zwrócili uwagę tym, którym płacą za usługi i produkty, że biznes to jedna sprawa, a tego rodzaju natrętna „ewangelizacja” (może raczej ewangelizacja) to coś innego i my sobie tego nie życzymy? A gdyby każdy lub choć połowa z tej milczącej masy ludzi zareagowali tak na choćby co drugi biuletyn lub reklamę namolnie forsującą propagandę nowej obyczajowości? Może odpowiedź brzmiałaby inaczej? Może nawet pojawiłaby się refleksja? Wystarczyłoby nawet zwykłe kupieckie wyrachowanie w rodzaju: „Wariatów jest więcej i stanowią część naszej klienteli”.

Z uszanowaniem
Sławomir Budziak

Wyjaśnienie

W tekście pt. „Negocjator kompromisu” („Do Rzeczy” nr 23/2022) błędnie wskazałam, że Turek leży w województwie łódzkim.

Oczywiście miasto to położone jest w województwie wielkopolskim. Za błąd serdecznie przepraszam.

Zuzanna Dąbrowska

Nie mogą być tyle wiersza
Niech więc zżę ciastka ...



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,

pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna

ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem

autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie

artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania

materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ambasador demolka

Jeśli w polskich mediach pojawiało się dotąd nazwisko Andrija Melnyka, ambasadora Ukrainy w Berlinie od siedmiu lat, to zazwyczaj w kontekście rugania Niemców za zbyt wolne tempo dostaw broni dla wojsk ukraińskich. Niemiecka dezynwoltura powodowała, że ostre wypowiedzi Melnyka przyjmowano nad Wisłą ze zrozumieniem. Tyle że ambasador naprawdę potrafił „jechać po bandzie”. Gdy kanclerz Olaf Scholz odwołał swoją wizytę w Kijowie, Melnyk nazwał go „eine beleidigte Leberwurst”, czyli „obrażalską pasztetową”. Niedawny list intelektualistów niemieckich krytycznych wobec sprzedaży broni Ukrainie skwitował krótko: „Idźcie do diabła!”. W kwietniu ogłosił: „Jeśli odniosę wrażenie, że w Niemczech nic więcej nie da się uzyskać, to wrócę do kraju, gdzie zdziałam więcej niż w Berlinie, gdzie wszyscy mają zamknięte uszy na ukraińskie wezwania do pomocy”.

Styl Melnyka początkowo zaskakiwał Niemców, potem wywołał sprzeciwy, a wreszcie prowokował ostre riposty. W rewanżu wspomniano mu jego kult Stepana Bandery, na którego grobie w Mo-

nachium Melnyk złożył wieniec od ambasady Ukrainy w kwietniu 2015 r. Melnyk – rocznik 1975 r. – wywodzi się bowiem ze Lwowa i reprezentuje pokolenie elit z terenu dawnej Galicji, wychowane na kulcie założyciela OUN. Po upadku ZSRS, w nowym stuleciu, zaczęło ono współtworzyć ukraińską dyplomację.

Nieprzypadkowo robił karierę w administracji prezydenta Wiktora Juszczenki, a potem Petra Poroszenki. Obaj ci przywódcy wywodzili się z centralnej Ukrainy i potrzebowali „Galicjan”, aby promować politykę niepodległości. Tyle że teraz kult Bandery i bagatelizowanie rzezi Polaków na Wołynie, wyrażone przez Melnyka w wywiadzie z youtubem Tilo Jungiem, wywołują skandal. Izrael też odnotował kłamliwe słowa Melnyka, że nie ma żadnych dowodów na udział członków UPA w eksterminacji 100 tys. ukraińskich Żydów.

Sprawa staje się dla Kijowa poważnym problemem. Psuje relacje z Polską, a Rosjanie i Niemcy na pewno wykorzystają takie skandaliczne wybryki dla swoich celów.

To dobrze, że ukraińskie MSZ natychmiast zareagowało słowami:

„Słowa ambasadora Ukrainy w Niemczech Andrija Melnyka, wypowiedziane w rozmowie z niemieckim dziennikarzem, są jego osobistym zdaniem i nie odzwierciedlają stanowiska Ministerstwa Spraw Zagranicznych Ukrainy”. Tak to ekscentryczny ambasador stał się kulą u nogi dla rządu, który reprezentuje.

Być może, paradoksalnie, wyskok Melnyka może wyjaskrawić problem, który strona polska już nieraz sygnalizowała dyplomatom z Kijowa. Ukraina nie wejdzie do Unii europejskiej z kultem Bandery i UPA. I zachodni Ukraińcy muszą to zrozumieć. Bo taki kult zrazi przyjaciół, a jednocześnie zostanie wykorzystany bez skrupułów przez jej wrogów.

Ukraina musi stworzyć swoją tożsamość na bazie symboli, które nie tylko nie będą dzielić wschodniej i zachodniej części tego kraju, lecz także nie będą skłócać ich z sąsiadami. Prezydent Wołodymyr Zełenski wydaje się to rozumieć. Ambasador Melnyk – nie. © ©

CZYTAJ TAKŻE:

„CO DALEJ Z WOŁYNIEM?” STR. 50
„FAŁSZOWANIE BANDERY” STR. 53

ŚWIĄTEK KRÓLOWĄ XXI W.

Pokonując 2:1 Holenderkę Lesley Pattinama Kerkhove w drugiej rundzie Wimbledonu, Iga Świątek odniosła już 37. zwycięstwo z rzędu. Polska tenisistka wyrównała tym samym rekord Szwajcarki Martiny Hingis z 1997 r. Jednocześnie nasza 21-letnia liderka rankingu WTA zdetronizowała Amerykankę Venus Williams, która z 35 zwycięstwami z rzędu zajmowała dotąd pierwsze miejsce w tym stuleciu. Spotkanie czwartej rundy Wimbledonu między Świątek a Ons Jabeur zaplanowano na 4 lipca. (jap) © ©



FOT. CLIVE BRUNSKILL/GETTY IMAGES

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 73d4878ad8



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wysokie feyki

W pewnym sensie straszenie młodzieży przez Donalda Tuska, że PiS zakaze rozwodów i antykoncepcji, mieści się w taktyce stosowanej przez obóz lewicowo-liberalny od lat. Robert Górski wyśmiewał te niestworzone historie w skeczu „Jak PiS dojdzie do władzy...” jeszcze za rządów PO. Czegoż wtedy nie produkował PO-wski PR?! Sam pamiętam powtarzanie z przekonaniem przez z pozoru poważnych ludzi przestrożę, że Kaczyński, jak dojdzie do władzy, będzie odbierał rodzicom dzieci z in vitro.

Gdy już PiS do władzy doszedł, straszenie, co robi, jak dojdzie do władzy, bynajmniej nie ustało, a nawet wzniosło się na wyższy poziom. PiS miał zabrać Inter-

net, zakazać edukacji seksualnej, wsadzać kobiety do więzienia za poronienie... Co parę miesięcy coś nowego. Ostatnio ze śmiertelną powagą powtarzany jest w lewicowo liberalnych mediach idiotyzm o „rejestrze ciąży”. I wcale nie zdziwię się, jeśli europosłowie uzyskają w europarlamencie rezolucję potępiającą „zakaz rozwodów” czy „rejestr ciąży”, bo już im się to udało z kilkoma innymi kompletnie zmyślonymi zbrodniami, na czele z osławionymi „strefami wolnymi od LGBT”.

Niemniej, w „zakazie rozwodów” jest coś nowego: tym razem tę bzdurę puścił w obieg nie anonimowy troll, nie jakiś funkcjonariusz propagandy, ale sam lider opozycji, były premier i były przewodniczący Rady Europejskiej oraz chadeckiej

międzynarodówki. Bez cienia wstydu, bez mrugnienia okiem.

Inny były premier, obecnie europosel, Leszek Miller, postanowił nie być gorszy i ze swojego konta na Twitterze, pod własnym nazwiskiem, rozpowszechnił kompletnie sfałszowaną wypowiedź sędziego Clarence’a, który, jakoby, miał zapowiedzieć, że Sąd Najwyższy USA zakaze antykoncepcji, homoseksualizmu i czegoś tam jeszcze, przy okazji twierdząc, jakoby Clarence, zasiadający w SN USA od 31 lat, był mianowany przez Trumpa.

Na Zachodzie podobno upowszechnia się technologia „deep fake” – głębokiego fejku. My jeszcze nią nie dysponujemy, za to u nas produkowanie fejków, kiedyś będące robotą trolli, staje się pasją coraz wyżej postawionych polityków. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Sejm Czarzastego

Cywilizacja życia potrzebuje swej polityki! Tak najkrócej można podsumować decyzję Sądu Najwyższego USA, zwracającego stanom prawo do ochrony życia i koronującego tym samym prezydenturę Donalda Trumpa. Miarą skuteczności polityki nie są bowiem demonstracje władzy, ale właśnie długofalowe skutki decyzji i trwającego, również pośrednio, wpływu.

Nasi światopoglądowcy uważają jednak, że w sprawach cywilizacji życia wystarczą budujące deklaracje o „wartościach”. Polityki więc prowadzić nie chcą, czasami ze skutkami skandalicznymi. W ubiegłym miesiącu w Sejmie obradującym pod przewodnictwem wicemarszałka Włodzimierza

Czarzastego otwarcie propagowano prenatalne dzieciobójstwo. Oczywiście, gdyby w Sejmie występować miał Jarosław Kaczyński, marszałek Witek prowadzenia liderowi radykalnej lewicy w żadnym wypadku by nie oddała. Ale światopoglądowcy uważają, że między „ochroną płodu” a ochroną Prezesa jest fundamentalna różnica.

Womijaniu raf „światopoglądowych” marszałek wykazała niezwykłą zręczność i determinację. Skoro PiS wziął sobie połowę miejsc w Prezydium Sejmu, oddając prowadzenie, wcale nie było łatwo ominąć wicemarszałek Gosiewską, a już specjalnie wicemarszałka Terleckiego. Regulamin Sejmu sugeruje też wysyłanie sprzecz-

nych z konstytucją projektów do Komisji Regulaminowej i niepoddawanie ich w ogóle obradom, ale i w tej sprawie marszałek sobie poradziła, opierając się sugestiom konstytucyjnego wścibstwa.

Potem, już w czasie obrad, aborcyjna aktywistka zachęcała z trybuny Sejmu RP do używania tabletek aborcyjnych i podawała telefony do central śmierci. Oburzeni PiS-owscy posłowie wyszli. Może odkryli dobry patent na reformę wymiaru sprawiedliwości? Gdy sędzia będzie umożliwiał adwokatowi proceduralne torpedowanie aktu oskarżenia – oburzony prokurator będzie z rozprawy wychodził. W ten sposób sprawiedliwość za każdym razem odniesie miazdzące moralne zwycięstwo. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 parlamentarzystach włoskich

Ponoć Szwedzi, gdy chcą opisać totalny bałagan i bezproduktywną dyskusję, mówią „polski parlament”. To niesprawiedliwe. Choć naszym wybrancom narodu, jeśli chodzi o anarchię i częstą gadaninę, rzeczywiście dorównać trudno, to włoscy parlamentarzyści biją ich na głowę i słowem, i czynem.

Może słyszeli państwo, że niedawno najliczniejsze ugrupowanie parlamentarne, szalony Ruch 5 Gwiazd, się podzieliło. Ponad 60 pięciogwiazdkowców wystąpiło z Ruchu i stworzyło ruch własny pod batutą szefa MSZ Luigi Di Maio. Z tej okazji włoskie media opublikowały szokujące statystyki, z których wynika, że w ciągu mijających niedawno czterech lat pięcioletniej kadencji parlamentu wśród 945 wybran-

ców narodu doszło do 400 przypadków zmiany barw partyjnych, czyli politycznych transferów, które dotyczą, jak dotąd, 270 parlamentarzystów. Rekordzista, senator Giovanni Marilotti, uczynił to pięciokrotnie. Nieźle, co? Ale to wcale nie rekord świata. Ten dumnie dzierży włoski parlament poprzedniej kadencji. W latach 2013–2018 lojalność partyjną zmieniło blisko 350 wybrańców narodu, czyli 37 proc.

Jeśli chodzi o obecną kadencję, to Ruch stracił połowę z ponad 300 parlamentarzystów. Najliczniejszym ugrupowaniem w parlamencie jest teraz prawicowa Liga, a o kilka szabel mniej posiada lewicowa Partia Demokratyczna. Słowem – Włosi cztery lata temu wybrali sobie parlament, głosząc na jakąś partię polityczną lub jej

kandydata, a potem co czwarty wybraniec pokazał im środkowy palec.

Naturalnie obecny włoski parlament nie reprezentuje narodu. Reprezentuje sam siebie. Również dlatego, że – jak wynika z sondaży – w ciągu czterech lat Ruch utracił dwie trzecie zwolenników, Liga przez trzy lata ponad połowę, a liderującym Braciom Włoskim poparcie skoczyło z 4 do 24 proc. Wybory będą za 10 miesięcy.

Na razie, na szczęście dla Włochów, a po części i Ukraińców, to zasiadające we włoskim parlamencie panoptikum nie ma wiele do gadania, choć mówi wiele. Italią rządzi bezpartyjny i apolityczny Mario Draghi. To jedyna dyktatura, którą popieram. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZA MAŁO POSTĘPOWO

Małgorzata Rozenek vel Majdan jest już na tyle doświadczoną celebrytką, że wie, iż aby być na topie, trzeba co jakiś czas okazać swoją postępowość i tolerancję. Toteż, gdy zbliżała się Parada Równości, pani Majdanowa zapozowała w odpowiednim tęczowym i wyzywającym stroju z dopiętymi anielskimi skrzydłami. Wrzuciła trzy zdjęcia, napisała: „Love is love”, po czym uznała, że to wystarczy. Okazało się, że tym razem nie. W sieci zawrzało, a na celebrytkę wylał się hejt za to, że na Paradę Równości wcale nie poszła. Oj, widać, że ktoś tu nie nadąza za postępem! Kilka lat temu fotki na Insta wystarczały, dziś trzeba już więcej, by udowodnić swoje tęczowe zaangażowanie. Za rok pani Rozenek-Majdan pójdzie na paradzie w pierwszym szeregu. Głupia przecież nie jest.

W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA

Edzia Górniak zaszczyciła swoją obecnością XIX Złot Wolnych Ludzi, na którym wygłosiła także wykład. Sprawę opisała „Gazeta Lubuska”. Edzia oznajmiła tam np., że na Ziemi żyją nie tylko ludzie, lecz także „bioroboty, hybrydy i reptilianie”, i „nie każdy, kto wygląda jak człowiek, ma duszę”. A wszystkie jej opinie na temat pandemii COVID-19 (że to wielka inscenizacja i spisek światowego rządu, a ludzie w szpitalach to aktorzy) brały się z tego, że otrzymywała tajemnicze „przekazy”, które pozwalały jej przewidywać niektóre wydarzenia. – Nie każdy, kto wygląda jak człowiek, ma duszę. Ma tylko kombinezon biologiczny i te same potrzeby fizyczne, biologiczne, ale nie ma połączenia z pierwotną świadomością, ze źródłem, i zapomniął lub nigdy nie poczuł tej świętej energii wszelkiego stworzenia – przekonywała Górniak.

INFLUENCER NIE BRZMI DUMNIE?

Julia Wieniawa, gwiazda młodego pokolenia, oburza się na to, że bywa określana mianem celebrytki albo – o zgrozo! – influencerki. A tymczasem ona ma większe plany, ambicje i aspiracje. „Chciałabym podnieść poziom rozmachu artystycznego w Polsce” – ujawnia w najnowszym wywiadzie.

O co chodzi? Ano o to, że Wieniawa nagrała ostatnio debiutancką płytę, wobec czego czuje się wokalistką. Wcześniej zaś występowała w serialach i zagrała w filmie Patryka Vegi, więc czuje się też aktorką. „Nie chcę być nazywana influencerką, bo uważam, że to słowo, przynaj-

mniej w mojej głowie, jest nacechowane pejoratywnie” – stwierdziła w rozmowie z magazynem „Party”. „Dziś influencerem nazywa się każdego, kto ma konto na Instagramie, a ja nie lubię być wrzucana do jednego worka z ludźmi, którzy są popularni, bo wystąpili np. w reality show” – uważa. I dodaje: „Wolę być nazwana aktorką lub wokalistką”. Narzeka na to, że bycie bohaterką tabloidów często podcina jej skrzydła. Uważa, że wszystko przez wszechobecny w naszym kraju seksizm, którego sama ciągle doświadcza. „W jak sekсистowskim kraju żyjemy, przekonałam się wielokrotnie na własnej skórze. Jeśli dziewczyna się ładnie ubierze, zaświeci drogą torebką, to od razu jest uważana za głupią i płytką osobę” – żali się. Nie tak od razu, zwykle dopiero, jak się odezwie i rozwieje wątpliwości.

NIE BYĆ JAK MENEL, NAWET EKSKLUZYWNY

Ekskluzywny Menel, czyli bloger modowy, o którym polski show-biznes nieco już zapomniał, nieustannie próbuje o sobie przypominać. Różnie z tym bywa. Wzrost popularności zaliczył z pewnością wtedy, gdy na Instagramie poinformował świat, że zafundował sobie zabieg wazektomii, ale potem znów zrobiło się o nim cicho. Teraz celebryta postanowił zabrać głos przy okazji zakończenia roku szkolnego. Wrzucił do sieci zdjęcie swojego świadectwa z kiepskimi ocenami (głównie dopuszczające i dostateczne) wraz z przekazem, że oceny o niczym nie świadczą i nie są najważniejsze. – Jak co roku o tej porze powtórzymy wszyscy razem: „Oceny nie są wyznacznikiem tego, kim jest twoje dziecko” – zaapelował. Nie wszystkim internautom jego podejście przypadło do gustu. Niektórzy zarzucili, że może dawać zły przykład młodszym fanom, że promuje lenistwo i pośrednio krytykuje tych, którzy poświęcają czas na naukę i mają dobre oceny. „Jak co roku o tej porze zaczyna się wylewanie pomyj na tych rodziców, którzy zamieszczają świadectwa swoich dzieci z czerwonym paskiem... Dlaczego? Jak chwalimy się medalami zdobytymi na zawodach, jest OK. Ale jak już dziecko osiągnie bardzo dobre oceny, to już nie jest dobrze i w kontrze pokazuje się świadectwa ze słabymi ocenami. Nie rozumiem” – napisała jedna z matek na profilu celebryty. „Gdzie Pani widzi te pomyje? Ma Pani rację, Pani nie rozumie i ewidentnie potwierdza regułę, że oceny nie świadczą tak naprawdę o niczym” – odpisał celebryta. Naszym skromnym zdaniem wpisy pana Ekskluzywnego Menela to najlepsza promocja nauki ever. Można nimi genialnie straszyć dzieci: „Zobacz, jak nie będziesz się uczył, to zostaniesz gościem znanym z tego, że opisał w sieci swoją wazektomię”. ©



FOT. RYNEK GÓRNIKA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zaczyna się xD Mamy już lipiec, a więc sezon urlopowy w pełni, przygotowaliśmy więc katalog rzeczy, które wkurzają celebrytów w Polakach. Najłatwiej byłoby napisać: „Wszystko” i zamknąć temat, nie będąc wcale tak daleko od prawdy, no ale postanowiliśmy przyjrzeć się tematowi bliżej, iż jest bolesny dla wszystkich, którzy jeżdżą na wakacje. Zauważcie, iż każdy artykuł w tzw. wiodących mediach, w którym będą opisywani Polacy na wakacjach, będzie zawierał opis przynajmniej trzech z poniższych zjawisk.

ALKOHOL – jak wiadomo, Polacy chleją na potęgę, nie to, co inne nacje. Najgorszą wadą Polaków jest jednak to, iż nie upijają się single maltem czy szampanem, ale zwykłą małą z Żabki. Wakacyjne opójkstwo nie ma więc w ich przypadku niczego wspólnego z wypocynkiem. No bo jak taka Aneta z Wilanowa jedzie na all inclusive do Turcji i cały dzień nad basenem sęczy kolorowe drinki, to jest to zupełnie coś innego, niż jak Janusz z Kutna pojedzie nad morze i walenie na plaży cztery piwka. To chyba jasne. Aneta odpoczywa, a Janusz się upija.

MODA – jak wiadomo, celebryci cierpią najbardziej wtedy, kiedy muszą obserwować, jak źle Polacy wyglądają i jak źle się ubierają. Przy czym celebryci wyruszają na wakacje często w takie dziwne i niespotykane na co dzień krainy,

gdzie janusze zakładają: skarpetki do sandałów (choć to i lepiej, gdyż oczywiście mają grzybicę paznokci, czego nikt nie chciałby oglądać), podkoszulki na ramiączkach, tzw. osobożonobijki, ewentualnie koszule odsłaniające piwny brzuch.



DZIECI – polskie są najgorsze, wiadomo. Robią kupy na wydmach, awanturują się i wrzeszczą, chodzą brudne, usmarkane i roszczeniowe, a tymczasem porządne zachodnie dziecko jest w wieku sześciu lat już przynajmniej po pierwszym kryzysie tożsamości płci, wywołanym przez jego znerwicowaną osobomatkę, zaczytuje się w literaturze faktu, nie krzyczy, nie biega, tylko spo-

kojnie siedzi, bo być może już dostało swoje poranne barbiturany.

JEDZENIE – Polakom na wakacjach puszczają wszelkie hamulce i jedzą dużo jedzenia – a celebryci żyjący splendorem i posiłkujący się (he, he) energią pochodzącą z uśmiechów muszą patrzeć na

tę – takie są fakty – czynność fizjologiczną. I to jeszcze dokonywaną z nieukrywaną satysfakcją.

ALL-INCLUSIVE – czyli perła w koronie każdego artykułu o Polakach na wakacjach. Pamiętajcie, najgorsi są właśnie ci, którzy pojechali na all-inclusive, iż wydaje się im, że wszystko im się należy i wszystko im wolno. Artykuł bez wzmianki o all-inclusive jest niepełny, jest jak Janusz w sandałach i jednej skarpecie.

Mimo wszystko istnieje jednak szansa, że w tym roku podobnych zjawisk będzie mniej. Polacy skorzystali już ze swoich bonów turystycznych, co w wielu przypadkach stworzyło im możliwość wyjazdu wakacyjnego poza obszar jurysdykcji ich GOPS-ów, a więc w tym

roku siłą rzeczy będą więcej przebywać w swoich mniejszych ośrodkach i mniej wkurzać aktorów, piosenkarzy i influencerów, którzy więcej wakacyjnych obiektów będą mogli dzielić sami ze sobą. ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Kara musi być

Franek, ty musiałeś tym rowerem jechać?
Musiałem, Donald!

Ale problemu nam narobiłeś teraz kolejnego. Żebyś miał lampkę działającą chociaż.

Baterijka mi się wyczerpała. Poza tym nie wyszło tak źle.

No jak to niby?

Bo właśnie jechałem rowerem! A jakbym jechał autem? Nie dość, że to zawsze gorzej brzmi, jak ktoś jedzie autem napruty niż jak rowerem, prawda? To jeszcze,

przede wszystkim – ja samochodem? To tak jakby Radzio nagle postawił komuś obiad i jeszcze dał napiwek albo Klaudia powiedziała coś sensownego.

No niby tak... Ale kara musi być: masz miesiąc szlabanu na rower.

No weź, to jak ja mam się przemieszczać?

Pożyczę ci hulajnogę. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeden próbował zamachu stanu, drugi dopiero przygotowuje”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO,
na Twitterze o Donaldzie Trumpie
i Jarosławie Kaczyńskim

Szok! Donald Tusk jest niezadowolony z ustaleń szczytu NATO w Madrycie! I my to rozumiemy. W podpisanych dokumentach nie ma spacerów z Putinem po molo w Sopocie. Ani żółwików przybijanych z Wołodyą nad polskimi trupami. Ani potępienia antyrosyjskości PiS. Cóż pozostaje Eine Totalopposition? Nic, tylko się z rozpaczyny natrąbić i iść na rower.

Oczywiście z tym rowerem to aluzja do Franka Sterczewskiego, młodej nadziei opozycji, którego policja złapała, jak po pijaku nocą... Nie rozumiemy dezaprobaty dla tego wyczynu. Po pierwsze, ciężko na trzeźwo wytrzymać w dyktaturze PiS. Po drugie, to było w Poznaniu, a tam wszyscy jeżdżą rowerami na cyku. Znaczący ze sfer politycznych. Popytajcie w okolicach ratusza.

Jeszcze o Franku. Wszystkiemu są winni Zieloni. Dlaczego? Otóż wszyscy widzieli finał jazdy Sterczewskiego, ale niewielu widziało prolog. A ten odbył się w siedzibie poznańskiego SARP, gdyż najbardziej znany polski trampkarz jest z wykształcenia architektem. Ale nie podejmowali go koledzy architekci, tylko miejscowi Zieloni. I to oni wlewali we Franka trunki z procentami. Dodajmy – na szczęście wegańskie, bo każdy alkohol ma to do siebie, że z definicji jest wegański. Dlatego od czasu do czasu i my praktykujemy weganizm.

Zły Donald z Sopotu kpić lubi tylko z tych, którzy mniej od niego mogą i nie mają się jak odwinąć – typowa cecha szkolnego chuligana – więc skomentował eskapadę Franka tak: „Tramwaj, pociąg, autobus. Komunikacja zbiorowa to nasza przyszłość! I tego się, Franek, trzymamy”. Niestety, to nie rozwiązuje problemu. Zieloni podróżują także tymi środkami lokomocji. Nieraz wraz z wegańskimi napitkami.

Tymczasem była cesarzowa Europy, Angela Merkel, ma nową fuchę. W fundacji Gulbenkiana w Portugalii. Fundacja ma na celu poprawę jakości życia ludzi poprzez sztukę, dobroczynność, naukę i edukację. To idealne zadanie dla Angeli. Edukowała przecież przez cztery kadencje Rosję, jak być cywilizowanym narodem europejskim. Opanowała też sztukę niesłyszania przestróg przed

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Rosją. A dobroczynność? Cóż, każdego dnia w ramach dobroczynności płyną do Moskwy niemieckie ojro za gaz i inne takie.

Protestujemy! Domagamy się zaprzestania szargania dobrego imienia naszej rubryki! Publicysta Karnkowski pisał ostatnio o „trzech panach G.”, wskazując Giertycha, Grodzkiego i Gawłowskiego. Panów G. jest tylko dwóch, to po pierwsze. Po drugie, wspomniana trójka to żadni panowie, tylko najwyższej podejrzani. A niektórzy nawet oskarżeni, jak pamiętacie.

Tymczasem w PiS nie dość, że powołano do życia nowe okręgi, to jeszcze wyznaczono im wojewódzkich opiekunów. Co wprawia nas w konfuzję, gdyż, sądząc po zachowaniu rowerzysty Franka Sterczewskiego oraz lokalnego aktywu Peło na spotkaniach w terenie z Kaczafim, opiekunowie przydaliby się

bardziej po tamtej stronie. A dokładnie: wykwalifikowani opiekunowie.

Za kulisami reformy sądownictwa. Wielu pyta, kiedy wreszcie przyjęta będzie ustawa o sędziach pokoju. Wiewiórki mówią, że Nowogrodzka chce to klepnąć najpóźniej do końca roku. Na pytanie, czy to możliwe bez głosów SolPolu Zbyszka Zizou, odpowiadają – tak, bo Peezel chce za nią głosować. No i kłopot, bo SolPol bardzo nie lubi czuć się niepotrzebny.

Za kulisami rozszerzania koalicji. Zdziwionym pojawieniem się w rządzie minister Ścigaj z koła Polskie Sprawy odpowiadamy: bodaj w marcu, po ruskiej agresji na Ukrainę, polskosprawowcy wybrali się do premiera Mateusza i szeregowego wicepremiera Jarosława, by powiedzieć, że w sytuacji zagrożenia państwa oni będą wspierać polską rację stanu i można liczyć na ich głosy. Oferta została przyjęta z sympatią i ze zrozumieniem.

Wminiony czwartek po siedzibie „Newsweeka” rozniósł się szloch wzruszenia. Wtedy to rozeszła się wieść, że zarząd RASP będzie musiał się zmierzyć z Państwową Inspekcją Pracy. Ma się ona przyjrzeć sprawie Tomka Lisa. Niepokój wywołała jednak informacja, że ma się zająć jedynie przejrzeniem papierów. Bo znacznie więcej mają do powiedzenia pracownicy. Bardzo chętnie daliby się przesłuchać. Najchętniej poza siedzibą firmy.

PIP-a zapowiada, że będzie się przyglądać działaniu w „Newsweeku” „procedur i regulaminów antymobbingowych i antydystryminacyjnych”. Chcemy być pomocni, więc podpowiadamy: procedury były, ale wiewiórki mówią, że lokalny HR spuszczał donosy na bambus, a reakcję wywołało dopiero wystąpienie do Zurychu przez pokrzywdzonych nie tylko skarg, lecz także ciekawych taśm. Podpowiadamy więc PIP konieczność wszczęcia kontroli audio.

Pamiętacie, że od miesięcy zapowiadamy, że niebawem CBA do spółki z prokuraturą zajmie się wojskiem. Nie całym, tylko pewnymi ludźmi z wężymi na pagonach. A więc wiele wskazuje na to, że ten tydzień tuż-tuż. ©

NA POMOC!

niedziela
21:10

W programie prezentujemy reportaże
o problemach Polaków z różnych części kraju.

zaprasza
Ilona Januszevska



Kapeluszy kardynalskich nie



Tomasz Rowiński

Spuścizna Jana Pawła II, formułowana często we współpracy z kard. Ratzingerem, wciąż przenika współczesne katolickie nauczanie i rządząca teraz frakcja relatywistyczna, starająca się ostatecznie zrewolucjonizować Kościół, robi wiele, by wypełnić to dziedzictwo. Dla tej frakcji polscy biskupi są zagrożeniem. I ponoszą tego konsekwencje

Przez cały okres pontyfikatu Franciszka żaden z przedstawicieli polskiego episkopatu nie otrzymał do papieża kardynalskiej nominacji. W roku 2018 kardynałem został Konrad Krajewski, jednak od lat jest on pracownikiem Kurii Rzymskiej i jego kościelna kariera jako papieskiego jałmużnika nie ma wiele wspólnego z polskim kontekstem.

Najprościej byłoby powiedzieć, że polscy biskupi są słabymi kandydatami na kardynałów. Współgrałoby to ze znaną od lat narracją, mówiącą, że po odejściu kard. Stefana Wyszyńskiego i Jana Pawła II Kościół w Polsce pozostał bez przywództwa. Do tego dochodzi jeszcze inna opowieść – że rządy tych dwóch gigantów miały doprowadzić do sytuacji, w której

inni biskupi nie nauczyli się ani przywództwa, ani też odpowiedzialności. Ta modna pogłoska więcej ma jednak wspólnego z próbami publicznego dezawuowania polskich biskupów niż z prawdziwym opisem sytuacji. Hierarchowie katoliccy to ponad stu księży, których naprawdę trudno oceniać za pomocą jednej miary.

Zresztą ciekawe, jak dzisiejsi krytycy Kościoła w Polsce komentowaliby rzeczywistość, gdyby na stolicy prymasowskiej w Gnieźnie zasiadała osobowość pokroju kard. Wyszyńskiego. Można się spodziewać, że pisaliby regularnie rytualne artykuły o „autorytyzmie”, „kulcie jednostki” etc. Niezależnie bowiem od tego, w jakiej Kościół w Polsce znajduje się kondycji, jest on obiektem ataków środowisk laickich.

Problemem bowiem jest dla nich nie to, czy ma się on dobrze czy też źle, ale to, że istnieje, a także formułuje określone postulaty dotyczące porządku społeczno-politycznego.

Można by próbować wskazywać, że to kary kościelne, które zasądzono wobec niektórych polskich biskupów, są powodem odsunięcia hierarchów z naszego kraju od kościelnych wpływów. Jednak i ten argument nie działa. Ostatnią polską nominacją kardynalską była ta, którą otrzymał w roku 2010 metropolita warszawski Kazimierz Nycz. Kardynał Bergoglio papieżem został 13 marca 2013 r., a skandale z udziałem polskich hierarchów to przede wszystkim okres po publikacji w 2019 r. papieskiego dokumentu „Vos estis lux mundi”. Analogicznie należałoby powiedzieć, że to najbardziej chyba ugodzony przez skandale seksualne Kościół w Stanach Zjednoczonych powinien podlegać jakiemuś ostracyzmowi, nie ma to jednak miejsca. Sprawa Theodore’a McCarricka, byłego kardynała, który okazał się przestępcą seksualnym, nie zatrzymała nominacji dla Blaise’a Cupicha, Wiltona Gregory’ego czy ostatnio Roberta McElroya.

W POSZUKIWANIU PRZYCZYN

Zatem nie w wewnętrznych problemach trzeba szukać przyczyn pewnego



Audycja polskich biskupów u papieża Franciszka, 28 października 2021 r.

FOT. VATICAN MEDIA/PRESS OFFICE/VATIC/ZUMA PRESS/FORUM

będzie

rodzaju odrzucenia polskiego Kościoła przez papieża. A przynajmniej nie przede wszystkim. Aby się przybliżyć do zrozumienia problemu, trzeba przyrzeć się polityce kadrowej, którą Franciszek prowadzi wobec kolegium kardynalskiego. Pod koniec maja br., gdy było już wiadomo, kto podczas konsystorza zostanie dołączony do grona kardynałów, wartą uwagi analizę papieskich decyzji przedstawił na portalu Catholic Culture Phil Lawler. Zwrócił on uwagę, że w przypadku amerykańskim mamy do czynienia z nominacjami dla ludzi, którzy są zdecydowaną lewicą z perspektywy konsensusu dominującego w Episkopacie Stanów Zjednoczonych. Równocześnie tacy ludzie jak przewodniczący amerykańskiego episkopatu José Gómez, którego linię postępowania można by określić mianem wojtyliańskiej, wciąż pozostają bez kardynalskiego kapelusza. Dodajmy, że Gómez jest także ordynariuszem metropolią Los Angeles, największego arcybiskupstwa katolickiego w Stanach Zjednoczonych.

„W przeciwieństwie do swoich bezpośrednich poprzedników, którzy wywyższali kardynałów reprezentujących szeroki zakres perspektyw teologicznych i ideologicznych, papież Franciszek bezwstydnie promuje swoich własnych faworytów” – pisze Lawler. Swoich

faworytów Franciszek uzupełnia ludźmi potencjalnie słabymi. Albo są to mało znaczący przedstawiciele włoskiego episkopatu, którzy pozostają pod silnym wpływem Franciszka, albo duchowni z małych Kościołów partykularnych, co do których istnieje niemal pewność, że nie posiadają znacznego doświadczenia w kościelnej polityce.

Papież konsekwentnie pomija też nominacje dla stolic biskupich tradycyjnie związanych z kapeluszymi kardynalskimi. I nie jest to sprawa nowa, już na początku pontyfikatu dość szeroko komentowano pominięcie prymasa Belgii André-Josepha Léonarda, który miał opinię tradycjonalisty. Aby jednak nie nadużywać tego słowa, trzeba powiedzieć, że był po prostu katolickim biskupem związanym, także co do profilu intelektualnego, z papieżem Benedyktem XVI. Obecnie kapelusza kardynalskiego nie posiadają takie kardynalskie metropolie jak Mediolan, Genua, Neapol, Turyn, Paryż, Bordeaux, Berlin, Praga, Sewilla, Dublin, Edynburg, Seul i Hongkong. A także Gniezno, Kraków czy Poznań.

KARA ZA NIEPOKORNOŚĆ

Joan Frawley Desmond na portalu National Catholic Register zauważyła, że „Franciszek wybiera prałatów, którzy reprezentują marginesy: geograficzny i teologiczny”. Polscy biskupi doskonale pasują do tego, by nie być brany mi pod uwagę jako przedstawiciele dużego kraju europejskiego o sceptycznym podejściu do przeprowadzanych obecnie w Kościele zmian. Wydaje się, że to właśnie zaangażowanie niektórych polskich biskupów w krytykę „postępowych” poczyniń, które mają obecnie miejsce w Kościele, a także ich przywiązanie do dziedzictwa Jana Pawła II jest dla Rzymu problemem. Nie możemy zapomnieć, że jednym z haseł pontyfikatu Franciszka stała się dewoptylizacja.

Wbrew bowiem obiegowej opinii polscy biskupi wcale nie pozostawali bierni wobec różnych sporów charakteryzujących trwający pontyfikat. W dodatku ich reakcje nie musiały być dobrze odbierane przez papieża i jego bliskie otoczenie. W jaki sposób Franciszek traktuje tych hierarchów, którzy chcą zachować autonomię i odrębność opinii – nawet jeśli dokładają wszelkich starań, by nie krytykować papieża wprost – przekonał się kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Choć otrzymał nominację kardynalską z rąk Franciszka,

to został usunięty z urzędu przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy tylko zaczął podważać prawowierność „reformatorskich” poglądów na temat katolickiego małżeństwa formułowanych przez kard. Kaspera. Podobna marginalizacja dotknęła tradycjonalistycznego kard. Raymondona Burke’a.

Przypomnijmy pewne fakty. Wypowiedzi abp. Gądeckiego były ważnym głosem broniącym katolickiego nauczania podczas dwóch synodów poświęconych problematyce rodziny w latach 2014–2015. W wywiadzie dla niemieckiego oddziału EWTN z października 2015 r. metropolita poznański krytykował sekretariat synodu, który – jak można sądzić – za zgodą papieża starał się narzucać synodowi pewne wątki w podsumowaniach debat pomimo tego, że wedle ojców synodalnych znajdowały się one poza wyznaczonym obszarem tematycznym. Skrytykował także rozwiązania dotyczące Komunii Świętej dla rozwiedzionych żyjących w nowych związkach, które ostatecznie zostały zaakceptowane przez Franciszka w adhortacji „Amoris laetitia” jako dopuszczalne.

„Słowa Chrystusa przeciwko rozwódowi i ponownym związkom dają Kościołowi katolickiemu nie tylko zasadę drogi do świętości, lecz także gruntują sakrament” – mówił wtedy arcybiskup. Przewodniczący polskiego episkopatu sprzeciwił się także proponowanej w tamtym czasie przez Centralny Komitet Katolików Niemieckich, a także kard. Reinharda Marxa koncepcji, by Kościoły partykularne w Kościele powszechnym mogły, także w kwestiach doktrynalnych, podążać swoją drogą i rozstrzygać najważniejsze kwestie bez porozumienia z Rzymem. „Gdyby Kościół miał nauczać dziecięciu lub stu doktryn – mówił wtedy Stanisław Gądecki – rozpadłby się na sto kościołów, ale Kościół jest jeden, katolicki i apostolski”. Pytany o możliwość kompromisu pomiędzy ścierającymi się na synodzie opiniami odpowiedział, że nie może być kompromisu między prawdą a nieprawdą. Papież Franciszek postanowił jednak taki zgniły kompromis opracować i opublikować go w adhortacji „Amoris laetitia”. Trudno wątpić, by opinie abp. Stanisława Gądeckiego, jako lidera polskiego Kościoła, którego wypowiedzi były szeroko kolportowane przez media całego świata, przeszły w Watykanie bez echa.

Jeszcze wyraźniejsza była wypowiedź metropolity poznańskiego na temat

► prób uruchamiania na synodzie tematu homoseksualizmu. Warto przypomnieć, że kwestia ta nie została – w kontekście dyskusji o rodzinie – poruszona przez żadnego z uczestników synodu. Została ona niejako przyniesiona z zewnątrz przez abp. Brunona Fortego z sekretariatu synodu, który jest przecież organem pozostającym w stałym kontakcie z papieżem.

„Gdy chodzi o związki homoseksualne, to nigdy nie będą mogły być nazywane »małżeństwem« [...] W kościelnym rozumieniu nie ma czegoś takiego jak małżeństwo jako związek dwóch osób tej samej płci, czy to dwóch kobiet, czy to dwóch mężczyzn. Dlatego ten temat nie powinien być w ogóle dyskutowany na synodzie, bo synod zajmuje się rodziną w rozumieniu katolickim. Tymczasem mowa tu o związkach, które nie mają niczego wspólnego z katolicyzacją” – mówił abp Gądecki. Wypowiedzi metropolity poznańskiego nie były krytykowane przez innych polskich biskupów, trzeba zatem przyjąć, że zostały potraktowane jako stanowisko akceptowalne przez cały polski episkopat. Nie da się wykluczyć, że ówczesne synodalne dyskusje i publicystyczne polemiki, które odbywały się pomiędzy hierarchami z całego świata w latach 2014–2015, wytworzyły w papieskich oczach określony wizerunek polskiego Kościoła.

„WOJTYLIANIE” W OPOZYCJI

Jaki mógł być ten wizerunek? Niereformowalnie wojtyliński, stanowczy w obronie katolickiej etyki seksualnej i jej powiązania z uświęcającym charakterem sakramentów. Jeśli wziąć pod uwagę, że Jan Paweł II już w latach 90. XX w. odrzucił, popieraną przez Kościół w Niemczech, propozycję ulubionego teologa papieża Franciszka, kard. Waltera Kaspera, by zacząć udzielać Komunii rozwodnikom w nowych związkach, to napięcie pomiędzy Rzymem a Polską staje się bardziej zrozumiałe. Tak, chodzi o tę samą propozycję, która została przeforsowana przez Franciszka w „Amoris laetitia”. Sprawa ta była tylko odpryskiem zasadniczego sporu pomiędzy polskim papieżem a niemieckimi biskupami o to, czy należy stosować się do nauczania encykliki „Humanae vitae” Pawła VI o zasadach moralnych w dziedzinie przekazywania życia ludzkiego z lipca 1968 r. Jan Paweł II bronił nauczania, które wywiedzione jest z Objawienia, tymczasem niemiecki Kościół od dawna stoi na – coraz jawniej wyrażanym – stanowisku, że katolickie

nauczanie moralne należy odrzucić w ogóle. Ten konflikt trwa do dziś, tylko tym razem papieżem jest relatywista, a „wojtylianie”, w tym również polscy biskupi, są w opozycji.

Mówiąc prosto: Kościół w Polsce został „rozpoznany”. Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z lubiącym kontrowersyjne wypowiedzi – krytykującym ideologię gender i kryzys rodziny – abp. Jędraszewskim, który za pontyfikatów poprzednich papieży zapewne już dawno byłby kardynałem, czy ze stonowanym i umiarkowanym prymasem Polski abp. Wojciechem Polakiem, silnie zaangażowanym w oczyszczanie polskiego Kościoła ze złogów skandali seksualnych, czy z uznawanym w naszym kraju za „franciszkowego” arcybiskupem z Łodzi Grzegorzem Rysiem – mamy z perspektywy Stolicy Apostolskiej do czynienia z ludźmi, którzy może i w różny sposób, ale kulturowo dziedziczą Wojtyłę.

Polemicznych wypowiedzi abp. Stanisława Gądeckiego, które nabrały międzynarodowego rozgłosu, a słabo były słyszane w Polsce, pojawiło się więcej. Ostatnia, z lutego br., być może najgłośniejsza od czasu synodów o rodzinie, dotyczyła niemieckiej drogi synodalnej i przyjęła formę dość obszernego listu do przewodniczącego niemieckiego episkopatu bp. Georga Bätzinga. „Kościół katolicki w Niemczech jest ważny na mapie Europy i mam świadomość, że albo będzie promieniował na cały kontynent swoją wiarą, albo też swoją niewiarą. Dlatego z niepokojem patrzę na dotychczasowe działania niemieckiej »drogi synodalnej«. Obserwując jej owoce, można odnieść wrażenie, że podstawą refleksji nie zawsze jest Ewangelia” – pisał abp Gądecki, równocześnie diagnozując pokusę, przed jakimi stoją dziś Kościoły Europy.

Metropolita poznański zwrócił uwagę na pokusę „szukania pełni prawdy poza Ewangelią”, pokusę „wiary w nieomyślność nauk społecznych”, pokusę „życia z kompleksem niższości”, pokusę „myślenia korporacyjnego” i pokusę „ulegania presji”. Skutkiem tego listu były kolejne podobne w charakterze teksty krytyczne wobec drogi synodalnej, jak np. list Episkopatu Skandynawii czy list z kwietnia br. podpisany przez 74 hierarchów z różnych krajów.

Znamienne jest to, że Stolica Apostolska uznała za właściwe zdystansować się wobec listu polskiego hierarchy, który swoją krytykę wsparł słowami papieża. I rzeczy-

wiście, jak zauważył Paweł Chmielewski z portalu pch24.pl, specjalizujący się w problematyce Kościoła niemieckiego, w swoim głośnym krytycznym liście na temat drogi synodalnej „Franciszek nie odniósł się bezpośrednio do głównych postulatów drogi, które były już wówczas znane: rewizji moralności seksualnej (zwłaszcza w odniesieniu do homoseksualizmu i teorii gender), zniesienia obowiązku celibatu oraz zmiany roli kobiet (diakonat, prezbiterat). W efekcie droga synodalna działa od 2019 r. aż do dzisiaj, bez żadnego skrepowania przyjmując teksty godzące w nauczanie Stolicy Apostolskiej”.

Trzeba wspomnieć o jeszcze jednej stanowczej krytyce, wygłoszonej przez szefa naszego episkopatu. Dotyczyła ona polityki Stolicy Apostolskiej wobec wojny na Ukrainie i znalazła się w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej opublikowanym 23 maja br. „Moim zdaniem powinno zmienić się podejście Watykanu do Rosji na bardziej dojrzałe, gdyż dawne i obecne podejście wydaje się bardzo naiwne i utopijne. [...] Dla Rosji Watykan jest ważnym podmiotem, ale jednocześnie należy go poniżyć, co pokazał już kilkakrotnie sam Putin, spóźniając się intencjonalnie o kilka godzin na zaplanowane spotkanie z papieżem. Stolica Apostolska winna zrozumieć, że w stosunkach z Rosją – mówiąc najdelikatniej – powinna być bardziej ostrożna, ponieważ z doświadczenia krajów Europy Środkowo-Wschodniej wydaje się, iż kłamstwo jest drugą naturą rosyjskiej dyplomacji” – mówił metropolita poznański Marcinowi Przeciszewskiemu.

GROŹNI POLSCY HIERARCHOWIE

Polska nie jest miejscem obojętnym dla watykańskich graczy, nawet jeśli sami Polacy mają tendencję, by tak patrzeć na swój kraj. Podobnie jest z Kościołem. Karol Wojtyła wciąż jest tytanem wiary, nawet jeśli jego postać bywa banalizowana. Spuścizna Jana Pawła II, formułowana często we współpracy z kard. Ratzingerem, wciąż przenika współczesne katolickie nauczanie i rządząca teraz frakcja relatywistyczna, starająca się ostatecznie zrewolucjonizować Kościół, robi wiele, by wypełnić to dziedzictwo. Dla tej frakcji tak często lekceważeni w naszym kraju polscy biskupi są po prostu zagrożeniem. Pomimo swoich słabości pozostają nauczycielami prawdziwej wiary. Dlatego kapeluszy kardynalskich nie powinni się spodziewać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ks. Przemysław Artemiuk

Jakimi cechami winien odznaczać się następca św. Piotra? George Weigel wskazuje na dziewięć. Po pierwsze, przyszły papież ma być człowiekiem głębokiej i autentycznej wiary. Ma posiadać „zdolność przedstawiania symfonii prawdy katolickiej słowem i przykładem jako nieodpartej alternatywy dla tych wizji dóbr ludzkich, które kształtują (i wypaczają) świat ponowoczesny”

Po drugie, ma posiadać naturalną odporność wzmocnioną przez łaskę. Przyszli papież „powinni być obficie obdarowani nadprzyrodzonym darem wiary oraz ludzkimi darami intelektu i osobowości niezbędnymi do tego, by przeobrazić tę wiarę w atrakcyjną ewangeliczną propozycję, muszą także odznaczać się dużą odpornością fizyczną i psychiczną, muszą być zdolni [...] do tego, by czerpać obfitość energii, cierpliwości, współczucia, wytrzymałości ze źródła własnej modlitwy”. Po trzecie, następca św. Piotra ma mieć doświadczenie pastoralne. „Kościołowi – zauważa amerykański apologeta – najlepiej służą papież, którzy zademonstrowali już wcześniej umiejętności ewangelicznie skutecznego przywództwa duszpasterskiego, włączając w to umiejętność sprostania wyzwaniom ze strony wyrafinowanych i wykształconych osób pogardzających religią”.

Po czwarte, cechą niezbędną papieża jest umiejętność właściwej oceny ludzi. Nie tylko powinien być on świętym człowiekiem i dobrym nauczycielem, lecz także ma odznaczać się rozeznaniem co do osób mianowanych na wysokie urzędy czy katedry biskupie. Po piąte, papieżowi powinna towarzyszyć otwartość i ciekawość ludzi i świata, nie może opierać się jedynie na kościelnych źródłach informacji, lecz ma czerpać z różnych miejsc, aby zbudować kompletny obraz rzeczywistości, w której egzystuje Kościół. „Tylko w ten sposób papież uzyska szczegółowe wyczucie tego, jak katoli-

cyzm ewangeliczny radzi sobie w niosącym co chwile nowe wyzwania świecie”. Po szóste, przyszły papieżom ma towarzyszyć strategiczna wizja, charakterystyczna dla ludzi posiadających głębię wiary. Według G. Weigla dotyczyć ma ona trzech filarów: wzrostu Kościoła w Trzecim Świecie, rekonwersji postchrześcijańskiego Zachodu oraz ekspansji wojowniczego odłamu islamu. „Osoby, których umiejętności ograniczają się jedynie do rozwiązywania problemów w danej sytuacji, nie posiadają tym samym ważnej cechy niezbędnej ewangelicznemu katolickiemu papieżowi: zdolności tworzenia nowych możliwości przez szukanie nowych dróg tam, gdzie inni widzą tylko przeszkody”.

Po siódme, odwaga ma być stałą dyspozycją papieża. „Człowiek lękliwy, dostrzegający wieloznaczności i dylematy, któremu brak odwagi, by wyjść poza wieloznaczność i trudności, nie nadaje się na papieża. Podobnie jak i człowiek szybko załamujący się pod wpływem



spraw, może jednak stać się skutecznym narzędziem przewodzenia Kościołowi. „Kto nie potrafi wystawiać się sensownie w jednym języku ani przewodzić w nim ludziom, nie będzie umiał tego również wówczas, gdy będzie władał kilkoma językami. Niemniej zdolności językowe to jedna z cech, które katolicyzm

ewangeliczny przyszłości będzie chciał widzieć u swych pasterzy”. Po dziewiąte, współcześnie narodowość papieża nie powinna odgrywać już kluczowej roli. „Katolicyzm ewangeliczny to nie rezerwat określonego narodu, grupy etnicznej bądź rasy i nie takie też jest ewangeliczne katolickie papieństwo przyszłości”.

Obok wymienionych cech Weigel wskazuje także na najważniejsze wymiary papieskiej posługi, przed którymi staną następcy św. Piotra. Spośród 10 też kluczowa pozostaje pierwsza. Amerykański apologeta stwierdza w niej: „Następny papież musi być w pełni oddany nowej ewangelizacji jako wielkiej strategii Kościoła w XXI wieku”. Uzasadniając tę tezę,

Papież

według George'a Weigla

niepowodzeń”. Przyszły papież, jak zauważa G. Weigel, winien odznaczać się odwagą wobec ponowoczesnej obojętności, wrogości i dyktatury relatywizmu. Męstwo papieża ma także ujawniać się wobec duchownych, gdy trzeba ich zdyscyplinować, a nawet usunąć ze stanowisk. Po ósme, znajomość języków obcych ma być czymś naturalnym dla przyszłego papieża. Wprawdzie nie gwarantuje ona lepszego poznania ludzkich

Weigel zauważa, że „Jezus Chrystus i Jego Ewangelia są przyczynami, dla których Kościół w ogóle jest. Z tego powodu ich głoszenie musi znajdować się w samym centrum tego, co wspólnota katolicka robi”. Ponadto akcentuje wartość samej Ewangelii, zawierającej ponadczasową prawdę. Jest to kwestia fundamentalna dla wszystkich, którzy podejmują się misji, ponieważ „Ewangelie można głosić tylko wtedy, gdy przyjmuje się ją jako prawdę”.



Przejęcie od Kościoła kontrreformacyjnego do Kościoła nowej ewangelizacji uwidacznia się najpewniej w misji głoszenia Ewangelii. Tylko wspólnota głosząca Zmartwychwstałego żyje i nieustannie się odnawia. Kościół rezygnujący z misji traci także życie, zanika. „Kościół katolicki nowej ewangelizacji – podkreśla amerykański myśliciel – który jest Kościołem wiernym prawdziwości objawienia, żyje. Ten przystosowania kulturowego – niepewny co do prawdy objawienia i stąd niezdolny do nieustraszonego głoszenia Ewangelii – kona lub jest już martwy”. Paradygmat ewangelizacyjny rozeznany i przyjęty przez Kościół katolicki sytuuje go w całkowicie innej przestrzeni. Nie traktuje on siebie jako organizacji pozarządowej. „Kiedy to czyni, jego tętnice ewangelizacyjne twardnieją, nawet jeśli dysponuje znacznymi źródłami finansowymi i buduje szeroką infrastrukturę biurokratyczną”. Źródło nowej ewangelizacji obok objawienia stanowią teksty Vaticanum II. Widać w nich wyraż-

„Urząd Piotrowy jest raczej urzędem autorytatywnym, a osoba go piastująca jest strażnikiem autorytatywnej Tradycji” – zauważa Weigel

nie, jak ojcowie soborowi, zachowując nienaruszoną Tradycję, równocześnie opracowywali takie sposoby wyrażenia wiary, które okazały się skuteczne w nowej rzeczywistości. Według Weigla perspektywa ewangelizacyjna okazuje się dzisiaj dla Kościoła kluczowa. Dlatego następny papież powinien to wszystko rozumieć. Jego zadanie polega na ukazywaniu mocy Ewangelii. „I musi też rozumieć – dodaje apologeta – że dzieło ewangelizacji może powieść się tylko wówczas, gdy Dobra Nowina będzie przekazywana w całej prawdzie”.

Dруга teza dotyczy rozumienia natury Piotrowego urzędu, które okazuje się rzeczą niezbędną dla przyszłego papieża. Ma on w pełni pojąć, kim jest jako następca św. Piotra oraz na czym polega jego funkcja w dziejach nowej ewangelizacji.

Papież, jak podkreśla Weigel, „znajduje się na służbie Ewangelii i jej głoszenia”. Dlatego „poważnym błędem jest wyobrażanie sobie papieża jako autorytarnego urzędu, mocą którego papież wydaje władcze decyzje, odzwierciedlające jedynie jego wolę. Urząd Piotrowy jest raczej urzędem autorytatywnym, a osoba go piastująca jest strażnikiem autorytatywnej Tradycji. Jest jej sługą, tego zbioru nauczania i praktyk, a nie jej panem”.

Kluczem do zrozumienia papieskiej posługi pozostaje kategoria świadectwa, na którą Weigel zwrócił już uwagę w „Katolicyzmie ewangelicznym”. W najnowszej pracy stwierdza, że papież jako pierwszy świadek Kościoła „musi się też starać, aby



wiernych poza swoją osobę i wskazywać na Chrystusa.

Trzecia teza dotyczy wierności doktrynie kościelnej, do czego zobowiązany jest papież. Jej zachowywanie, zdaniem G. Weigla, wyzwala. Dlatego apologeta stwierdza: „Katolicyzm może i musi być wyznaniem zarówno cechującym się przejrzystą doktryną, jak i objawiającym Boże miłosierdzie”. Wszelkie rezygnacje z przejrzystości doktrynalnej, co jest doskonale widoczne w rozmaitych denominacjach reformowanego chrześcijaństwa, wywołują zawirowania moralne, a te prowadzą ostatecznie do zamierania poszczególnych wyznań.

Według Weigla nie da się podchodzić do katolicyzmu z jakąś formą tego wyznania w wersji light. „Katolicyzm lekkostrawny ponosi ewangeliczną i duszpasterską klęskę w całej Europie Zachodniej, podobnie jak w Ameryce Północnej, Ameryce Łacińskiej, Australii i Nowej Zelandii”. Pełny katolicyzm „uznaje natomiast, że podstawowe orędzie ewangeliczne – Jezus jest Panem – zostało opracowane intelektualnie pod kierownictwem Ducha Świętego przez ruch w obrębie Kościoła, który opracował wyznania wiary i precyzujące doktrynę definicje dogmatyczne”. Amerykański apologeta zauważa, że społeczeństwa postchrześcijańskie „szybko redukują się do antychrześcijańskich, z Kościołem niezdolnym do przeprowadzenia jakiegokolwiek obrony niewinnych przed kulturą śmierci ani do zareagowania na antychrześcijańską propagandę w polityce, kulturze i środkach przekazu, które usiłują wyprzeć go z życia publicznego”. Wydaje się, że katolicyzm w wersji light, który posługuje się jedynie dialogiem, a zapomina o apologii i zachowaniu tożsamości, nie ma przyszłości. Jego orędownicy „często wydają się sobie wyobrażać, że dialog i towarzyszenie są wszystkim, co Kościół może zaoferować, nawet więcej – wszystkim, co Kościół powinien ofiarować”.

Czwarta teza dotyczy humanizmu chrześcijańskiego. George Weigel uważa, że przyszły papież powinien zwrócić baczniejszą uwagę na współczesny kryzys dotyczący koncepcji osoby ludzkiej. Odnowienie biblijnej antropologii wobec postulatów cywilizacji śmierci staje się konieczne. Katolicy winni budować nowy humanizm chrześcijański. Ma on swoje źródło w Jezusowym człowieczeństwie. Według Amerykanina chrześcijańska wizja człowieka to coś o wiele większego

Amerykański apologeta uważa, że przyszły papież powinien zwrócić baczniejszą uwagę na współczesny kryzys dotyczący koncepcji osoby ludzkiej

niż nieudane próby budowania humanizmu laickiego czy ateistycznego ostatnich dziesiętków lat. Kościół, przyjmując szeroką perspektywę biblijno-teologiczną, głosi, po pierwsze, że „osoba ludzka nie jest przypadkowym produktem kosmicznych procesów biochemicznych”; po drugie, że „kondycja ludzka obejmuje coś więcej niż tylko walkę o władzę, przy czym tę ostatnią rozumianą jako zdolność do narzucania swej woli komuś (lub każdemu) innemu”; po trzecie, że „osoba ludzka nie jest rozderganą wiązką równoprawnych moralnie pragnień, których spełnienie jest sensem praw człowieka i obowiązkiem stanu”; po czwarte, że „to, kim jesteśmy, ma znacznie dalej idące konsekwencje niż to, co posiadamy, że szlachetne życie nie jest zastrzeżone dla nielicznych wybranych, a dawanie siebie innym w miłości przynosi znacznie większą satysfakcję niż manifestowanie swojej pozycji w społecznej hierarchii”. Taką wizję osoby Kościół katolicki może głosić, ponieważ „wyraźnie dostrzega te prawdy o człowieczeństwie w Jezusie Chrystusie, ukrzyżowanym i zmartwychwstałym”. W kolejnych tezach Weigel zgłasza postulaty dotyczące reformy różnych wymiarów życia Kościoła: wzmocnienia roli episkopatów, wyboru biskupów, reformy kapłaństwa i życia konsekrowanego, zaangażowania katolików świeckich, koniecznych zmian w obrębie funkcjonowania Kurii Rzymskiej, jedności chrześcijan i dialogu z religiami oraz ze światem. Wszystkie te zmiany powinien inspirować przyszły papież.

Podsumowując swoją wizję papieństwa, George Weigel charakteryzuje osobę następcy św. Piotra: „Następny papież – stwierdza apologeta – musi być przede wszystkim radykalnie nawróconym uczniem – człowiekiem ukształtowanym w głębi swej istoty przez przekonanie, że Jezus Chrystus jest wcielonym Synem Bożym, który objawia światu oblicze Boga, miłosiernego Ojca, oraz prawdę o człowieczeństwie, o jego godności i przeznaczeniu”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

jego unikalnego świadectwa nie mylono z programami ludzi pragnących wykorzystać autorytet i wizerunek urzędu Piotrowego do własnych celów”. Dlatego papież, pozostając niezmiennie najwyższym autorytetem Kościoła, powinien „sprawować władzę w taki sposób, aby ułatwić przewodzenie innym ludziom, zwłaszcza pozostałym biskupom”. Papieski autorytet pozwala mu „wymagać od autorytetów lokalnych przyjmowania na siebie odpowiedzialności, tak by moc Ewangelii uwidaczniała się we wszystkich ludziach Kościoła”. Posługa następcy św. Piotra, zdaniem amerykańskiego apologety, „ma polegać nie tyle na kurczeniu się papieństwa, ile na uzdalnianiu przez nie innych katolików do bycia uczniami-misjonarzami”. Obok świadectwa zasadniczym rysem papieskiej posługi pozostaje utwierdzanie braci w wierze. Jest to obowiązek papieskiego urzędu zapisany w tekście Ewangelii św. Łukasza (22, 31–32). Wypełnianie go pozwoli papieżowi kierować uwagę



Jacek Przybylski

Rosja oficjalnie przestała być uznawana za „partnera NATO” i zaczęła być traktowana jako „bezpośrednie zagrożenie”. Prezydent USA Joe Biden ogłosił także zamiar stworzenia nad Wisłą stałej kwatery głównej V Korpusu armii amerykańskiej i zwiększenie militarnej obecności USA w całej Europie do ok. 100 tys. żołnierzy. To realne wzmocnienie bezpieczeństwa Polski i jednoznaczny sygnał dla Rosji

Szczyt w Madrycie można uznać za historyczny nie tylko ze względu na jedność zachodnich przywódców w obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainie, lecz także z powodu zupełnie nowej koncepcji strategicznej, w której formalnie zapisano radykalną zmianę w NATO-wskim systemie obrony i odstraszania. Po doświadczeniach na Ukrainie przywódcy sojuszu zdecydowali o realnym wzmocnieniu międzynarodowych oddziałów na wschodniej flance – nie tylko w Polsce i krajach bałtyckich, lecz także w państwach Morza Czarnego. Zachodni liderzy zwiększyli również do ponad 300 tys. żołnierzy liczbę tzw. sił szybkiego reagowania, którzy – pierwszy raz od zakończenia zimnej wojny – zostaną przypisani do działania na terenie wyznaczonych państw sojuszniczych. Na wschodniej flance sojuszu pojawi się też więcej sprzętu wojskowego dla armii, a także paliwa, aby w razie potrzeby można było szybko ruszyć z pomocą napadniętym sojusznikom.

WRESZCIE STAŁA OBECNOŚĆ

Z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski najważniejszą wiadomością, która nadeszła z Madrytu, była informacja o planach utworzenia w Poznaniu pierwszej stałej jednostki dowództwa V Korpusu armii amerykańskiej. To realne wzmocnienie potencjału obronnego Polski, ponieważ pod dowództwo korpusu w Wielkopolsce może podlegać



wiele amerykańskich dywizji na Starym Kontynencie. Co więcej, stałej kwaterze głównej amerykańskiej armii w Polsce ma towarzyszyć batalion wsparcia.

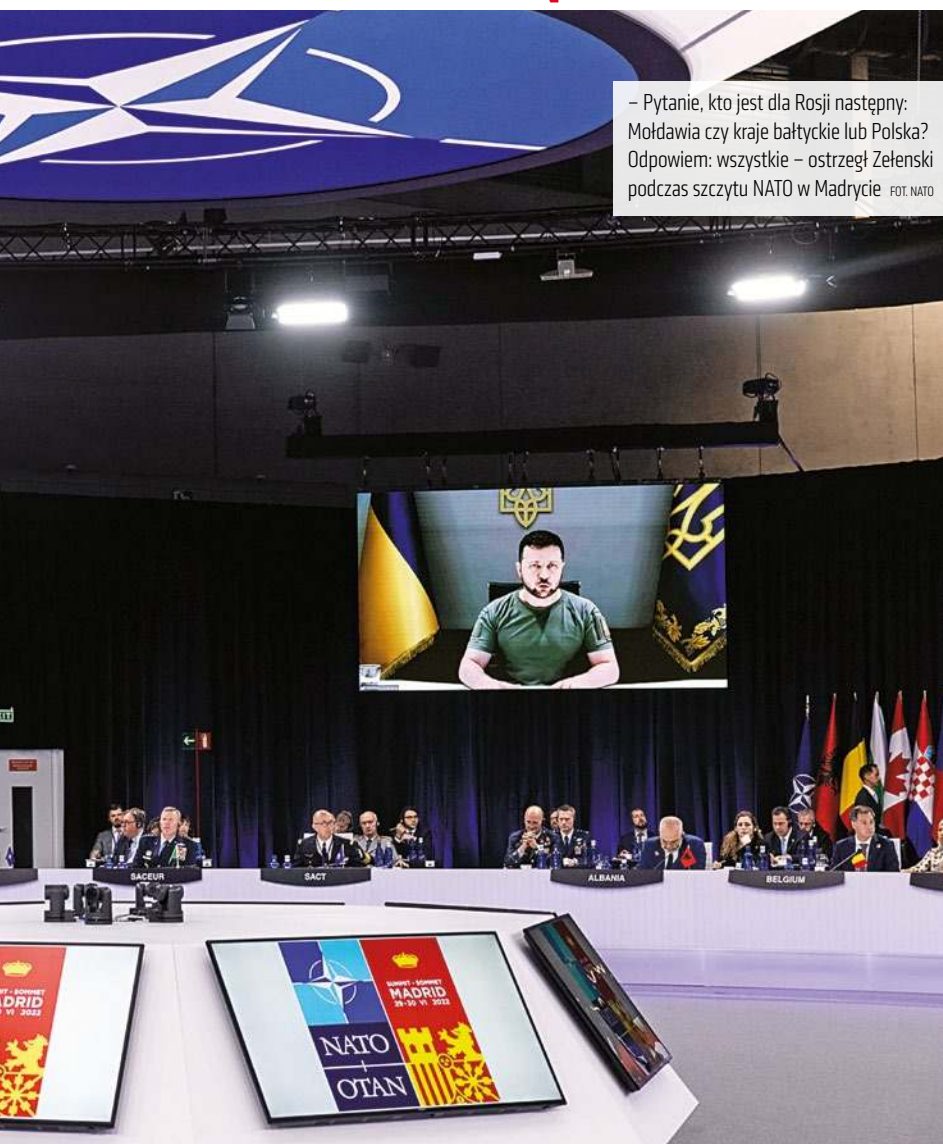
– To sukces, który jest wynikiem długich i konsekwentnych negocjacji, a jednocześnie bardzo wyraźny znak, że Amerykanie zamierzają zwiększyć, a nie zmniejszyć swoją obecność w Polsce – zauważył w rozmowie z Agencją Reutera doradca prezydenta Andrzeja Dudy Jakub Kumoch.

Po 30 latach próby zyskania przychylności Moskwy i traktowania Kremla jako strategicznego partnera sojuszu przywódcy NATO wreszcie przejrżeli na oczy i zmienili retorykę o 180 stopni, uznając Rosję za „najbardziej znaczące i bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa sojuszników oraz dla pokoju i stabilności w obszarze euroatlantyckim” i zauważając, że Rosja „używa

środków konwencjonalnych, cyfrowych i hybrydowych przeciwko nam i naszym partnerom”.

– Rosja przestaje być partnerem NATO, co, szczerze mówiąc, już dawno powinno się stać, ale dziś rzeczywistość jest ona bez wątpienia największym zagrożeniem dla państw NATO, zwłaszcza tych na wschodniej flance – zauważył cytowany przez PAP prezydent Andrzej Duda, podkreślając, że Rosja praktycznie bez ogródek grozi po prostu państwom bałtyckim i słyszeliśmy też wielokrotnie różne wypowiedzi z groźbami na temat Polski”.

I chociaż nadal można mieć nadzieję, że do bezpośredniego militarnego starcia NATO z Rosją nie dojdzie, to ewentualny konflikt zbrojny między rosyjskim mocarstwem atomowym a najsilniejszym sojuszem militarnym na świecie przestał być traktowany w kategoriach political



– Pytanie, kto jest dla Rosji następny: Mołdawia czy kraje bałtyckie lub Polska? Odpowiem: wszystkie – ostrzegł Zelenski podczas szczytu NATO w Madrycie FOT. NATO

fiction. I chociaż wielu wciąż nie chce tego przyznać, to zbrojne starcia w Syrii oraz na Ukrainie mogą być uznane za fronty trzeciej wojny światowej.

– Putin chciał „finlandyzacji” Europy, a będzie miał jej „NATO-izację”. Potwierdzamy nasze zobowiązanie do obrony każdego centymetra kwadratowego naszego terytorium. Artykuł 5 jest niepodważalny – oznajmił amerykański prezydent Joe Biden na szczycie w Madrycie. Podczas spotkania z reporterami na początku rozmowy z sekretarzem generalnym NATO Jensem Stoltenbergiem przywódca USA podkreślał, że mówiąc o zobowiązaniu do obrony każdego centymetra kwadratowego sojuszu, Ameryka ma na myśli prostą zasadę: „atak na jednego oznacza atak na nas wszystkich”. Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson porównał zaś wprost „przeciwstawianie

się Putinowi” do przeciwstawiania się nazistowskiemu Niemcom podczas drugiej wojny światowej.

PRZESMYK SUWAŃSKI – NAJGROŹNIEJSZE MIEJSCE ŚWIATA?

O tym, że bezpośrednia wojna krajów NATO z Rosją jest wizją bardzo bliskiej przyszłości, która spełni się, jeżeli liderzy Zachodu nie zrozumieją w porę zagrożeń stwarzanych przez obecnego prezydenta Rosji, mówiło i pisało wielu wysokich rangą oficerów NATO, w tym emerytowany gen. Richard Shirreff, autor bestsellerowej książki „2017. Wojna z Rosją”. Już pięć lat temu Shirreff – pod płaszczykiem literackiej fikcji – ostrzegał przed skutkami rosyjskiej inwazji na państwa bałtyckie i kreślił czarny scenariusz, w którym

Rosja, używając szantażu nuklearnego, długo powstrzymywałaby kraje zachodnie przed zbrojną interwencją.

Ten scenariusz jest szczególnie niebezpieczny dla Polski. Wprawdzie na Mazurach stacjonuje wielonarodowa jednostka z żołnierzami państw NATO, to wszyscy wiedzą jednak, że Litwa, Łotwa i Estonia są słabe militarnie i same się nie obronią, a jednocześnie w krajach bałtyckich jest zbyt mało sojuszniczych wojsk, aby powstrzymać ewentualny atak ze strony Rosji. Dotychczas w razie rosyjskiej inwazji na kraje bałtyckie Polska zapewne pospieszyłaby więc sojusznikom z pomocą, wysłała swoje oddziały na Litwę, Łotwę, Estonię, a następnie z przerażeniem patrzyła na ich rzeź po odcięciu przez Rosję drogi wsparcia i odwrotu poprzez zamknięcie tzw. przesmyku suwańskiego. Cóż to takiego? To piękny zalesiony obszar wokół Suwałk, Augustowa oraz Sejna, przeciętany rzekami i bajkowymi jeziorami, który łączy Polskę z Litwą, a jednocześnie oddziela obwód kaliningradzki od Białorusi. O problemie wiadomo od lat, ale niedawno o przesmyku suwańskim znów zrobiło się głośno, gdy magazyn „Polityco” uznał ten mniej więcej stu-kilometrowy odcinek granicy za „najbardziej niebezpieczne miejsce na świecie”. O tym malowniczym kawałku polskiego terytorium zrobiło się też głośno, gdy Litwa zabroniła tranzytu objętych sankcjami towarów z Rosji do obwodu kaliningradzkiego, a Rosjanie zagrozili podjęciem działań odwetowych.

Zdaniem sztabowców NATO to właśnie od przesmyku mógłby się zacząć atak Rosji na sojusz – ostrzegał przed tym zresztą już w roku 2015 amerykański gen. Benjamin Hodges, ówczesny dowódca sił lądowych US Army Europe. Taki atak prowadziłby do izolacji państw bałtyckich, umożliwiłby połączenie ze sobą 11. Korpusu Armijnego z wojskami Zachodniego Okręgu Wojskowego i – po zainstalowaniu przez Rosjan nowoczesnej obrony przeciwlotniczej i przeciw rakietowej (systemy S-400 i S-500) – uniemożliwiłby NATO odbicie Litwy, Łotwy i Estonii z rąk rosyjskich okupantów i próbę odtworzenia status quo ante. Z kolei zwycięstwo sojuszu w bitwie o przesmyk otworzyłoby NATO drogę do przejęcia kontroli nad obwodem kaliningradzkim, gdzie rozlokowane są wojska potencjalnie zagrażające bezpieczeństwu nie tylko Polski i krajów bałtyckich, lecz także wielu państw NATO.

Agresywne plany odbudowy sowieckiego imperium znane są co najmniej od ataku Rosji na Gruzję w 2008 r., a już na pewno po zdobyciu przez Moskwę Krymu oraz rozpoczęciu krwawej wojny na wschodzie Ukrainy w 2014 r. Mimo to osiem lat temu zachodni przywódcy z politycznego wyrachowania lub dla ochrony interesów swoich firm pozostawali ślepi i głusi, udając, że wierzą, iż z ukraińską armią naprawdę walczą w Donbasie „separatyści”, a nie regularna rosyjska armia. Na szczęście tym razem liderzy krajów NATO jednoznacznie zdefiniowali wspólnego wroga. A za definicją pójść mają konkretne działania.

Amerykański prezydent Joe Biden zapowiedział rychłe dostanie na zasadach rotacyjnych brygady piechoty do Rumunii, wysłanie systemów obrony przeciwlotniczej do Włoch oraz Niemiec, rozmieszczenie dodatkowych eskadr nowoczesnych amerykańskich myśliwców F-35 w Wiel-

wzmocniają naszą zbiorową siłę – podkreślał Joe Biden. Według jednego z amerykańskich dyplomatów cytowanych przez Reutersa Stany Zjednoczone nie poinformowały Rosji o planach rozmieszczenia dodatkowych oddziałów i nie widzą już żadnych powodów, aby coś takiego robić.

KURDOWIE SPRZEDANI

Władimir Putin, podejmując decyzję o inwazji na Ukrainę, nie przewidział zapewne aż takiej jedności wśród zachodnich przywódców. I chociaż „armia orków” – jak z wielu powodów nazywają rosyjskich najeźdźców mieszkańcy Ukrainy – tydzień po tygodniu zdobywa kolejne terytoria, a los jednej czwartej terytorium Ukrainy wydaje się przesądzony, to przynajmniej na jakiś czas Kreml przegrał geopolityczne starcie.

Pogłoski o śmierci 73-letniego już NATO nie tylko okazały się mocno przesadzone, lecz także najtragiczniejsza wojna na Starym Kontynencie od ponad pół wieku sprawiła, że najpotężniejszy sojusz świata zyskał drugą młodość oraz dwóch nowych członków: Szwecję oraz Finlandię. To świetna wiadomość: szwedzkie i fińskie siły zbrojne są bowiem nowoczesne i bardzo dobrze wyposażone. Zarówno Szwedzi, jak i Finowie – pomni doświadczeń historycznych – od lat inwestowali bowiem w rozwój nie tylko sił lądowych, lecz także lotnictwa i marynarki wojennej.

Z punktu widzenia strategicznego to fatalna wiadomość dla Rosji. Granica między sojuszem a Rosją wkrótce gwałtownie się powiększy (granica fińsko-rosyjska liczy ponad 1,3 tys. km). Wejście Finlandii do NATO zmieni sytuację w Zatoce Fińskiej, teoretycznie zmniejszy również ryzyko rosyjskiej agresji na kraje bałtyckie i przesmyk suwalski. Obecność NATO-wskiej marynarki wojennej u wybrzeży Finlandii może też odstraszyć Rosjan od zbrojnej interwencji zmierzającej do oderwania części estońskiego terytorium zamieszkanego w większości przez Rosjan. Z kolei dołączenie do NATO Szwecji powinno zredukować apetyt Rosji na atak na strategicznie położoną Gotlandię.

Niestety, podczas trwających ponad cztery godziny twardych negocjacji uzgodniono, że cenę za polityczną zgodę prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan na rozszerzenie NATO o Finlandię oraz Szwecję zapłacą Kurdowie. W zamian za gotowość Turcji do rezygnacji z weta

przeciwko przyjęciu Finów oraz Szwedów Helsinki oraz Sztokholm zadeklarowały, że nie będą dłużej wspierać kurdyjskich milicji walczących o wolność narodu kurdyjskiego. Chodzi zwłaszcza o oddziały YPG – wspierane w przeszłości również przez USA – które kontrolują zamieszkane przez Kurdów tereny na północy Syrii. To najgorsza wiadomość z madryckiego szczytu. Z perspektywy Ankary YPG oraz proniepodległościowa Partia Pracujących Kurdystanu (PKK) to organizacje terrorystyczne. Tak więc, choć zawarcie tróstronnego memorandum między Turcją, Finlandią i Szwecją cieszy, kupowanie własnego bezpieczeństwa kosztem prawa do istnienia innych narodów może być jednak niebezpiecznym precedensem w trudnej, geopolitycznej układance XXI w. Strach padł także na tych, którzy to zwłaszcza w Szwecji szukali azylu i gwarancji bezpieczeństwa.

Szczyt w Madrycie mógł też dać nieco nadziei Ukraini. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski ostrzegł przywódców sojuszu, że mają do wyboru: albo wesprzeć Ukrainę i jej zwycięstwo, albo w przyszłości prowadzić wojnę z Rosją. – Pytanie, kto jest dla Rosji następny: Mołdawia czy kraje bałtyckie albo Polska? Odpowiem: wszystkie – podkreślił Zełenski podczas zdalnego połączenia z przywódcami sojuszu.

Niestety, niepowodzenie rosyjskiego ataku na Kijów nie przełożyło się na szybką klęskę Rosji, która skupia się na podboju wschodniej części kraju, a docelowo będzie zapewne dążyć do oderwania od Ukrainy jednej trzeciej terytorium tego kraju.

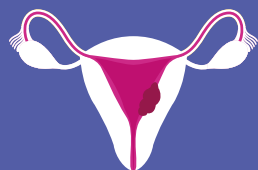
Miejmy nadzieję, że realne wzmocnienie wschodniej flanki sojuszu oraz nazwanie wroga po imieniu bez zważania na polityczną poprawność oraz interesy wielu potężnych prorosyjskich grup wpływu na Zachodzie pozwoli zatrzymać rosyjskie postępy na Ukrainie, a także oddali widmo bezpośredniej wojny między Rosją a NATO, któremu przez ponad siedem dekad udawało się zapobiegać atakowi na któregośkolwiek z sojuszników. Tylko trwały pokój oraz stanowczy opór wobec rosyjskiej inwazji może bowiem trwale poprawić sytuację gospodarczą na Starym Kontynencie. NATO nie bez powodu uznaje za cel gwarancję zarówno „bezpieczeństwa”, jak i „dobrobytu”. Przeciagający się kryzys gospodarczy może bowiem prowadzić do osłabienia i dezintegracji UE, co byłoby spełnieniem marzeń Kremla.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Im więcej sił USA w Europie,
tym mniejsze szanse ma
Rosja na przeprowadzenie
z sukcesem ataku na kraje
bałtyckie lub Polskę**

kiej Brytanii, wysłanie dwóch niszczycieli US Navy na wybrzeże Hiszpanii, a także militarne wzmocnienie państw bałtyckich. W sumie według nieoficjalnych wypowiedzi dyplomatów na Starym Kontynencie Waszyngton chce „na dłużej” utrzymywać ok. 100 tys. amerykańskich żołnierzy. Im więcej bowiem Amerykanów w Europie, tym mniejsze szanse ma Rosja na przeprowadzenie z sukcesem operacji zajęcia krajów bałtyckich.

Jak czytamy w deklaracji końcowej, sojusznicy zobowiązali się także do „rozmieszczenia dodatkowych gotowych do walki sił na wschodniej flance, które w razie potrzeby zostaną przeskalowane z istniejących grup bojowych do jednostek wielkości brygady”. Przywódcy sojuszu potwierdzili także zaangażowanie w „politykę otwartych drzwi”, zdecydowali także o powiększeniu NATO o dwa piekielnie ważne strategicznie i do tej pory formalnie „neutralne” kraje. – Wysyłamy jednoznaczny komunikat... że NATO jest silne, zjednoczone, a kroki, które podejmujemy podczas tego szczytu, jeszcze bardziej



Rak endometrium rozwija się w błonie wyściełającej macicę nazywanej endometriumⁱ.

Objawy podmiotowe i przedmiotoweⁱ



Krwawienie z pochwy lub upławy niezwiązane z miesiączką



Krwawienie z pochwy po menopauzie



Trudności lub ból podczas oddawania moczu



Ból podczas stosunku płciowego



Ból w okolicy miednicy

U kogo i jak często występuje



Rak endometrium to **szósty co do częstości występowania** rak rozpoznawany u kobiet na całym świecie i **najczęstszy nowotwór złośliwy** żeńskiego układu rozrodczegoⁱ.



Każdego roku na świecie wykrywa się **417 000 nowych przypadków zachorowań**ⁱⁱ.



Liczba rozpoznanych raka endometrium na świecie zwiększa się w ostatnich latach. W okresie od 2000 do 2010 r. uległa ona podwojeniuⁱⁱⁱ.



Rak endometrium cechuje się **trzecim najwyższym wskaźnikiem śmiertelności** spośród wszystkich złośliwych nowotworów układu rozrodczegoⁱⁱ.



Rak endometrium występuje najczęściej **u kobiet po menopauzie**; mediana wieku pacjentek wynosi **61 lat**^{iv}.

Trudności w leczeniu choroby zaawansowanej lub nawrotowej



Niezbędna jest kontynuacja badań nad nowymi metodami leczenia pacjentek z zaawansowaną lub nawrotową postacią choroby, u których doszło do progresji w trakcie lub po chemioterapii zawierającej pochodne platyny, ponieważ — jak wynika z literatury — rokowania w tej grupie są niekorzystne^v.

W przypadku raka endometrium obserwuje się największą częstość występowania zaburzeń naprawy niedopasowania genów (dMMR) i niestabilności mikrosatelitarnej (MSI-H) spośród wszystkich nowotworów^{vi, vii}.

W przypadku nowotworów z dMMR częściej występują mutacje, co powoduje, że z większym prawdopodobieństwem można u takich pacjentek uzyskać odpowiedź na leki mające wpływ na receptor programowanej śmierci 1 (PD-1) i ligand dla receptora programowanej śmierci 1 (PD-L1)^{vi, vii}.

i. Endometrial Cancer Treatment (PDQ®)-Patient Version. National Cancer Institute. <https://www.cancer.gov/types/uterine/patient/endometrial-treatment-pdq>. Dostęp: styczeń 2021 r.

ii. Sung H, Ferlay J, Siegel R i wsp. Global cancer statistics 2020: GLOBOCAN estimates of incidence and mortality worldwide for 36 cancers in 185 countries. CA Cancer J Clin. 2021. doi:10.3322/caac.21660

iii. Lortet-Tieulent J, Ferlay J, Bray F, Jemal A. International Patterns and Trends in Endometrial Cancer Incidence, 1978-2013. JNCI: Journal of the National Cancer Institute. 2017;110(4):354-361. doi:10.1093/jnci/djx214

iv. TV Ajithkumar. Oxford desk reference. Oxford: Oxford University Press. 2011.

v. Endometrial Cancer Treatment (PDQ®)- Health Professional Version. National Cancer Institute. <https://www.cancer.gov/types/uterine/hp/endometrial-treatment-pdq>. Dostęp: styczeń 2021 r.

vi. Bonneville R, Krook M, Kautto E i wsp. Landscape of Microsatellite Instability Across 39 Cancer Types. JCO Precis Oncol. 2017;(1):1-15. doi:10.1200/po.17.00073

vii. Le DT, Uram JN, Wang H i wsp. PD-1 blockade in tumors with mismatch-repair deficiency. N Engl J Med. 2015;373(20):1979-1979. doi:10.1056/nejmc1510353



Kamila Baranowska

Mariusz Błaszczak zastąpił Jarosława Kaczyńskiego na stanowisku wicepremiera. Czy w przyszłości zastąpi go także w roli szefa partii? Ta sugestia samego prezesa PiS zelektryzowała całą partię



Czy Mariusz Błaszczak byłby lepszym premierem i szefem partii niż Mateusz Morawiecki, którego dotąd rozpatrywano jako głównego pretendenta do przejęcia politycznej schedy po Jarosławie Kaczyńskim? To pytanie, które co jakiś czas wraca i za każdym razem elektryzuje polityków PiS, a przede wszystkim otoczenie obecnego premiera, które uwierzyło, że Morawiecki jest jedynym, którego Jarosław Kaczyński bierze pod uwagę jako swojego następcę. Dotychczasowe teorie, że to Błaszczak jako jeden z najbardziej zaufanych polityków Kaczyńskiego mógłby w kryzysowej sytuacji zastąpić Morawieckiego w fotelu premiera, opierały się na luźnych spekulacjach, anonimowych opiniach i relacjach.

Ostatnia głośna wypowiedź samego Kaczyńskiego nadała im jednak zupełnie inną rangę. Prezes PiS w wywiadzie dla TVP, informując o swoim odejściu z rządu i o tym, że funkcję wicepremiera i szefa Komitetu ds. Bezpieczeństwa przejmie po nim Błaszczak, dodał tajemniczo, że zastąpi go „pod każdym względem”.

– Sądzę też, chociaż to nie jest jeszcze ten moment, w którym mogę to publicznie ogłaszać, że Mariusz Błaszczak zastąpi mnie pod każdym względem, także jeżeli chodzi o wszystkie funkcje – stwierdził, uruchamiając lawinę domysłów.

Bardziej doświadczeni politycy PiS uznali, że to celowa zagrywka prezesa, mająca na celu sprawienie, by nikt nie czuł się zbyt pewnie w roli delfina. – To było skierowane do Mateusza i jego otoczenia, bo wojna na Ukrainie i aktywność premiera z tym związana sprawiły, że znów poczuli się nie do zastąpienia. Co jakiś czas prezes musi więc przypominać, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, a to, że ceni i prywatnie lubi Morawieckiego, nie oznacza, że odda mu przywództwo na prawicy i że ta decyzja już zapadła – opowiada nam jeden z polityków.

PREZES MIESZA W KOTLE

Pojawiły się jednak także głosy, że to przygotowywanie gruntu pod to, co może się wydarzyć. Jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie, gdy notowania Morawieckiego były słabe m.in. za sprawą Polskiego Ładu, mówiło się w PiS, że Błaszczak jest szykowany przez Kaczyńskiego jako wyjście awaryjne, gdyby

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

przed wyborami trzeba było zrobić nowe otwarcie i ruszyć do kampanii z nową twarzą. Atak Rosji na Ukrainę politycznie zmienił jednak wszystko, przede wszystkim wzmocnił pozycję Morawieckiego, przenosząc w cień wszystkie jego problemy, a wysuwając na pierwszy plan zaangażowanie i aktywność w sprawie pomocy dla Ukrainy. Wspólna wyprawa z Kaczyńskim i premierami Czech i Słowenii do Kijowa została odczytana jako jasny sygnał, komu aktualnie ufa i na kogo stawia prezes PiS.

Co się zmieniło od tamtego czasu? Gdy o to pytamy, nie słyszymy nic, co byłoby na tyle poważnym zarzutem pod adresem premiera, by miało wpłynąć na zmianę oceny całokształtu jego dokonania w oczach Kaczyńskiego. Owszem, prezes PiS nie jest zachwycony całym zamieszaniem wokół KPO i sporem o tzw. kamienie milowe, ale nie takie kryzysy miewał ten rząd. – Wy, dziennikarze, zawsze doszukujecie się jakiegoś drugiego dna – śmieje się jeden z naszych rozmówców. – A prezes chciał po prostu zamieszać w kotle, żeby jedni mieli o czym gadać, inni o czym myśleć i tak dalej – uważa.

Od wicepremiera do prezesa?

Jest jeszcze jedno wyjaśnienie – że Kaczyński zupełnie nieświadomie użył zbyt mało precyzyjnego sformułowania, nie wiedząc, że zostanie to w ten sposób zinterpretowane. I tym samym stworzył kłopot dla rządu i Morawieckiego. Nic dziwnego, że jego otoczenie zareagowało najbardziej stanowczo. Rzecznik rządu Piotr Müller, zapytany na konferencji o to, czy słowa Kaczyńskiego można odczytywać jako namaszczenie Błaszczaka na swojego następcę, odparł: – A kto tak odczytuje? Ja nie wiem nic na ten temat, aby Kaczyński odchodził z partii. Nic nie wiem na ten temat, aby Kaczyński

miał rezygnować z funkcji prezesa partii; byłoby to szkodliwe dla obozu Zjednoczonej Prawicy, gdyby silne przywództwo prezesa Kaczyńskiego miało być zmienione – stwierdził.

Po zaledwie czterech dniach od wypowiedzi dla TVP Jarosław Kaczyński udzielił kolejnego wywiadu, dla „Polski The Times”, gdzie pierwsze pytanie dotyczyło właśnie kwestii „namaszczenia Błaszczaka”. – W sprawach kierownictwa partii, jeśli będzie wszystko zgodnie z planem i nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, decyzje zapadną za trzy lata. Wówczas odbędzie się kongres partii, na którym

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Dla Aktywnych, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie* *możliwa dopłata



tel. 54 416 70 00

Pobyty: 10.07 - 25.09 oraz 25.09 - 23.10.2022r.

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

■ ja już nie planuję kandydowania na szefa partii, w związku z tym odłożym tę sprawę, bo moja wypowiedź odnosiła się do funkcji Mariusza Błaszczaka w rządzie – powiedział prezes PiS. Dodał, że już na kongresie w 2020 r. miał nie kandydować, ale plany pokrzyżowała mu wówczas pandemia. – Mam nadzieję, że w 2025 r. sytuacja będzie zupełnie inna – podkreślił.

– Wygląda to tak, jakby ktoś uświadomił prezesowi, że jego wypowiedź narobiła sporo niepotrzebnego zamieszania i stąd ten drugi wywiad. Ale również dobrze mogło być tak, że naczelnik celowo powiedział to, co powiedział, potem niby sprostował, ale nikt do końca nie może być pewien, co i jak – śmieje się jeden z naszych rozmówców z PiS.

CORAZ LEPSZE NOTOWANIA

Sam Mariusz Błaszczak do spekulacji się nie odniósł. Jest w polityce wystarczająco długo, by wiedzieć, że lepiej nie przywiązywać się do bycia delfinem, bo zwykle nie najlepiej się to kończy. Zresztą, odkąd został ministrem obrony narodowej, jest dość powściągliwy w komentowaniu tzw. bieżączki. Jeśli udziela wywiadów, to są one poświęcone głównie tematyce obronnej, a ostatnio głównie kwestiom związanym z wojną na Ukrainie.

To zasadnicza zmiana, bo w czasach, gdy PiS był w opozycji, a Błaszczak pełnił funkcję szefa klubu parlamentarnego partii, nie wychodził ze studiów telewizyjnych, a jego komentarze nie należały wcale do tych łagodnych i wyważonych.

W polityce jednak często bywa tak, że zajmowane stanowisko buduje polityka, choć ci, którzy znają Błaszczaka, mówią, że w jego przypadku może to być celowe i przemyślane działanie. – To doświadczony polityk. Wie, na ile może sobie pozwolić, będąc w opozycji, a na ile, będąc w rządzie, zwłaszcza na tak newralgicznym stanowisku jak szef MON – wskazuje polityk znający Błaszczaka.

Jeszcze inni mówią, że Błaszczak konsekwentnie próbuje budować wizerunek polityka poważnego, profesjonalnego i stworzonego do piastowania najważniejszych urzędów. Wie bowiem doskonale, że wciąż jeszcze bywa postrzegany przez pryzmat postaci z kabaretowego serialu „Ucho Prezesa”, w którym został przedstawiony jako podwładny prezesa, ślepo w niego zapatrzony, zawsze potakujący i niezbyt lotny. Dziś tamten obrazek odchodzi powoli w niepamięć, co pokazują sondaże zaufania, w których szef MON

pnie się w górę. Dobrze było odbierane jego zaangażowanie przy okazji kryzysu na granicy polsko-białoruskiej i również dobrze jest odbierany dzisiaj, gdy pojawia się głównie przy okazji ogłaszania kolejnych zakupów dla polskiej armii oraz kolejnych rozmów dotyczących bezpieczeństwa i obronności.

– Modernizacja sprzętu Wojska Polskiego to jeden z moich priorytetów. Mówiłem o tym od początku mojego urzędowania i konsekwentnie realizuję ten cel. Wymieniamy posowiecki sprzęt, zamawiamy i kupujemy nowoczesne uzbrojenie. [...] Moimi trzema filarami urzędowania jako szefa MON pozostaje niezmiennie zwiększenie liczebności naszych sił zbrojnych, skuteczna modernizacja, czyli nowy sprzęt wojskowy, oraz trwałe umacnianie pozycji Polski w strukturach sojuszniczych NATO. Taką politykę realizuję konsekwentnie od kilku lat i przynosi ona efekty – mówił niedawno w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy”.

Największą popularnością obecny szef MON niezmiennie cieszy się w elektoracie PiS, co dla jego wewnętrznej pozycji jest jeszcze bardziej istotne niż ogólne

Mariusz Błaszczak do spekulacji się nie odniósł. Jest w polityce wystarczająco długo, by wiedzieć, że lepiej nie przywiązywać się do bycia delfinem

sondaże zaufania. Według sondażu Pollster dla „Super Expressu” aż 74 proc. wyborców PiS dobrze oceniło nominację Błaszczaka na funkcję wicepremiera, co w partii zostało odnotowane i w nieoficjalnych rozmowach jest zestawiane z powszechną opinią o tym, że premier Morawiecki nie może liczyć na aż taką sympatię, bo wciąż bywa przez niektórych traktowany jako ktoś z zewnątrz.

Mariusza Błaszczaka z Jarosławem Kaczyńskim łączą serdeczne relacje. Znają się długo, przedstawił ich sobie śp. Przemysław Gosiewski, gdy Błaszczak był obiecującym członkiem młodzieżówki Porozumienia Centrum. Karierę polityczną zaczął od podstaw, czyli samorządu. Za czasów Lecha Kaczyńskiego był wiceburmistrzem Woli i burmistrzem Śródmieścia. To tamtego okresu sięgają jego chłodne rela-

cje z innym ważnym politykiem PiS, a dziś także wicepremierem Jackiem Sasinem.

Z DALA OD INTRYG

W 2005 r., gdy PiS wygrywa wybory, Błaszczak nie zostaje posłem, ale jego polityczna kariera i tak rusza z kopyta. Jarosław Kaczyński powierza mu ważne stanowisko szefa KPRM – w otoczeniu premiera Kazimierza Marcinkiewicza prezes PiS chciał mieć kogoś, kto będzie jego uszami i oczami. Sprawdził się w tej roli i sprawdza się do dzisiaj. Z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego ma wszystkie zalety dobrego działacza partyjnego, organizatora i polityka. Jest lojalny, nie lubi intryganctwa, co w polityce jest rzadkością, i nigdy nie przejawiał ambicji budowania wokół siebie jakiejś osobnej strefy wpływów. Błaszczak, choć od lat obecny w polityce, nie był bohaterem żadnej afery, nie dorobił się wielkiego majątku i niezbyt chętnie wchodził w otwarte konfrontacje wewnątrz partii.

„Nie jest, jak niektórzy w PiS-ie, całkiem tępym i niemyśłym odtwórcą zadań wyznaczonych przez prezesa. [...] To polityk, który, co rzadkie w PiS-ie, nie prowadzi wewnątrzpartyjnych intryg. Lojalny wobec prezesa, ale nie ma w nim jadu i chęci do wymyślania najbardziej plugawych teorii na temat swoich przeciwników politycznych. To się pewnie podobało prezesowi, bo myślę, że byłby czasem zmęczony kolejnymi kubłami ekskrementów, które na siebie wylewają na jego oczach jego akolici. Brak intryganctwa prezes doceniał dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż to, co mówi Błaszczak na temat tego, co się dzieje w partii, jest prawdziwe” – charakteryzował Błaszczaka w książce pt. „Koniec PiS-u” z 2012 r. Michał Kamiński, były polityk PiS, dziś w opozycji.

Ci, którzy nie wierzą, że Jarosław Kaczyński mógłby kiedyś powierzyć Błaszczakowi najwyższe stanowisko – premiera bądź szefa partii – podnoszą, że nie ma on charyzmy i cech charakteryzujących przywódców. Że jest zbyt nijaki, niezbyt dobrze wypada podczas publicznych wystąpień i nie potrafi zjednywać sobie tłumów. Dzisiaj, jak słyszymy, scenariusz zastąpienia Mateusza Morawieckiego Mariuszem Błaszczakiem jest bardzo mało prawdopodobny. Niemniej jednak – i o tym w PiS przekonani są prawie wszyscy – Błaszczak cały czas jest pierwszy na ławce rezerwowych.



Z Dagmarą Pawełczyk-Woicką, przewodniczącą Krajowej Rady Sądownictwa i prezes Sądu Okręgowego w Krakowie rozmawia Karol Gac

Nie może być lepszych i gorszych sędziów



Dagmara Pawełczyk-Woicka

FOT. MIKOŁAJ MIKOŁAJCZYK/KRAJOWA RADA SĄDOWNICTWA

KAROL GAC: Została pani niedawno przewodniczącą Krajowej Rady Sądownictwa. Jakie ma pani plany?

DAGMARA PAWEŁCZYK-WOICKA: W swoim przemówieniu określiłam plan minimum, ale zobaczymy, ile uda się z niego zrealizować. Proszę pamiętać, że Rada jest ciałem kolegialnym, więc trzeba brać pod uwagę, do czego jest skłonna lub nie. Przede wszystkim zależy mi na dwóch kwestiach – jasnych kryteriach w konkursach wieloosobowych i wysłuchaniach publicznych do Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego. Chodzi o to, by przesłuchania przed zespołem kilku członków KRS zamienić na wysłuchania kandydata na sędziego Sądu Najwyższego przed całą Radą. To wymaga zmiany regulaminu, ale – moim zdaniem – nie ustawy.

Wówczas każdy zainteresowany mógłby zapoznać się z przebiegiem wysłuchania?

Dokładnie. Wszystkie posiedzenia KRS są transmitowane i na tym polega ich jawność i publiczność. Nie chodzi przecież o to, by każdy mógł zadać pytanie. Ważne jednak, by każdy miał szansę zapoznać się z daną kandydaturą.

A co z kryteriami w konkursach?

Chciałabym je wprowadzić. Chodzi o to, by był jednoznaczny komunikat ze strony KRS do kandydatów, by ci znali nasze oczekiwania. Jednak najpierw musimy przeanalizować orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w tym zakresie.

Czy takie obiektywne kryteria da się w ogóle ustalić?

To bardzo trudne zadanie. Powołałam zespół pod przewodnictwem pani sędzi Anny Dalkowskiej i zobaczymy, jak się wywiąże z tego zadania. Ustawa mówi np. o doświadczeniu zawodowym bez doprecyzowania, o jakie doświadczenie chodzi – czy decydujący jest staż na danym stanowisku, czy bardziej liczy się np. różnorodność zdobytych doświadczeń. Każdej z tych cech można przypisać określoną wagę, a w ich ramach oznaczyć stopień spełnienia danej cechy (kryterium).

Po wyborze mówiła pani o nadszarpniętym autorytecie KRS i potrzebie dbania o dobre imię Rady. Jaki jest pani pomysł na odbudowanie tego autorytetu?

Postępowanie zgodnie z podstawowymi zasadami i trzymanie się pryncypiów. ■

■ Nie możemy oglądać się na polityków, choć musimy się z nimi liczyć, bo przecież są także członkami Rady. KRS musi jednak wypracowywać takie stanowiska dotyczące sądownictwa, które będą umiarkowane, a w sprawach fundamentalnych bezkompromisowe bez oglądania się na sytuację polityczną. Musimy także unikać pułapki stania się związkiem zawodowym sędziów.

Wskazywała pani także, że jednym z błędów popełnianych przez niektórych członków KRS jest nadmierne używanie mediów społecznościowych. Planuje pani zmiany w tym zakresie?

Nie mam żadnego prawa niczego zakazywać, ale sądzę, że członkowie Rady wiedzą, iż z mediów społecznościowych należy korzystać z należytą rozwagą. Jeśli najpierw coś się napisze, a dopiero później pomyśli, to można tego żałować. Sądzę jednak, że jesteśmy tutaj na dobrej drodze.

To w ogóle chyba nieco szerszy problem? Patrząc na wypowiedzi czy wpisy części sędziów, wydaje się, że przydałby im się odpoczynek od mediów.

To prawda. Niestety, apele nie zawsze przynoszą oczekiwane rezultaty. Każdy ma prawo do wyrażania własnych poglądów, a nawet prawo do autokompromitacji. Natomiast z punktu widzenia całego wymiaru sprawiedliwości autokompromitacja sędziego szkodzi wizerunkowi sądownictwa i nie mogę powiedzieć, że jest mi to obojętne.

To jednak tylko jeden z problemów. KRS to kluczowy organ w organizacji wymiaru sprawiedliwości. Jak sprawić, by obywatel miał zaufanie do sędziów i sądów?

Wydaje mi się, że KRS musi wypowiadać się w sposób jednoznaczny i odwoływać się do pryncypialnych zasad prawa. Wówczas jest szansa, że komunikat zostanie usłyszany, a sędziowie go posłuchają. Nie na siłę, ale poprzez autorytet Rady. Przed 2015 r. także było różnie z autorytetem KRS, ale niewątpliwie nie była ona znana społecznie i nadszarpnięty autorytet tej instytucji nie był eksponowany medialnie, jak się to dzieje obecnie. Problem autorytetu KRS jest problemem, który się trochę za nami ciągnie.

Pytanie: Czy da się to zmienić? Wiadomo przecież, jak silne są podziały w środowisku sędziowskim, nie mówiąc już o tych politycznych.

Ucięcie sporu w sądownictwie i przecięcie węzła gordyjskiego to zadanie polityków, a nie sędziów. Czy uda się odbudować autorytet Rady? Nie wiem, ale nie należy przez to pozbawiać się możliwości. Pamiętajmy, że to kwestia wielu miesięcy, lat, a nie jednej chwili.

Niestety, patrząc na część sędziów, trudno nie odnieść wrażenia, że lepiej odnaleźliby się oni w polityce niż na sali sądowej.

To prawda. Wie pan, jak wygląda Temida?

Jest ślepa.

Jest ślepa, jest kobietą, ma miecz i wagę. Co to oznacza? Nie patrzy na to, kto przed nią staje. Bycie kobietą symbolizuje słabość fizyczną, ale jednocześnie miecz oznacza bezwzględną siłę. To odpowiedź na pana pytanie. Sędziowie absolutnie nie mogą patrzeć na to, kto staje przed ich obliczem, bo wymierza-

Przed 2015 r. także było różnie z autorytetem KRS, ale nadszarpnięty autorytet nie był eksponowany medialnie

jąc sprawiedliwość, muszą wszystkich traktować jednakowo niezależnie. Jest i drugi aspekt – zasada przestrzegania podstawowych zasad porządku prawnego. Sędzia związany jest konstytucją, ustawą, a także orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego. To są dwa elementy, którymi sędzia musi się kierować. Do tego oczywiście należy dodać sumienie. Inaczej miecz w rękach sędziów będzie tylko wyrazem brutalnej siły, a nie sprawiedliwości.

Tyle tylko, że mieliśmy przykłady sędziów, którzy znacząco wychodzili ze swojej roli, stawiając się wręcz w miejsce TK.

Jeżeli pozostanie to bezkarne i tolerowane, to będzie to oznaczać koniec demokracji. Wola Sejmu wyrażana w postaci ustaw będzie korygowana przez sędziowskie widzimisię: które ustawy stosować, a które nie. Mówię to z całą świadomością tych słów. Jeżeli będzie akceptacja tego, że sądy nie przestrzegają uchwalanych ustaw, to będzie to prosta droga do anarchii albo – gorzej

– do wprowadzenia niepostrzeżenia innego ustroju, niedemokratycznego. Sędziowie patrzą też na orzeczenia sądów wyższej instancji, dlatego tak ważny jest Sąd Najwyższy.

KRS wypowiedziała się nawet w sprawie projektu nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym. Jak pani ocenia tę nowelizację? Nie ma już zagrożenia destabilizacją wymiaru sprawiedliwości?

W tym kształcie ryzyko tego, że tzw. test bezstronności będzie służył ocenie uprawnienia sędziego do orzekania, zostało znacząco zniwelowane. Będzie wymagane udowodnienie braku niezawisłości, a to trudny dowód. Oczywiście nie wykluczam, że ktoś taki dowód przeprowadzi, ale w takiej sytuacji oznaczałoby to wdrożenie procedury dyscyplinarnej przeciwko sędziemu. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której sędzia ulegałby podszeptom, sugestiom albo był na telefon, a jedynym skutkiem byłoby jego wyłączenie. Zobaczymy jednak, czy sądy będą stosować się do brzmienia ustawy. Proszę zwrócić uwagę, że mamy uchwałę siedmiu sędziów Izby Karnej SN, z tymi ewidentnie łamiącymi prawo. To przykład prawotwórczej działalności SN, który zastępuje parlament.

Niedawno prezydium KRS opublikowało także oficjalne stanowisko w sprawie słów premiera, który stwierdził, że „nie chciałby umierać za wymiar sprawiedliwości”. Dlaczego Rada uznała, że należy zabrać głos?

Podtrzymuję to, o czym była mowa w komunikacie. Absolutnie nie chcemy wkraczać w politykę. Nie interesują nas spory w koalicji czy na linii rząd – opozycja. Nie zamierzamy komentować słów polityków, ale będziemy się odnosić do wypowiedzi najważniejszych osób w państwie. Uważam, że była to niefortunna wypowiedź, ponieważ wymiar sprawiedliwości to filar suwerennego państwa. Na tym poprzestałmy.

Pojawiły się jednak komentarze, że takie stanowisko to nie jest zadanie KRS. Czy można w ogóle określić granice, za którą KRS nie powinna publicznie zabierać głosu?

Bardzo trudno. To pytanie, czy powinniśmy oceniać tylko akty prawne czy komentować słowa osób publicznych, a jeśli tak, to kiedy. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Być może w innych warunkach przeoczylibyśmy wypowiedź premiera, ale padła ona na krótko przed rozprawą TSUE w Luksemburgu.

Dlaczego to tak istotne?

Sędziowie ze stowarzyszeń sędziowskich twierdzą, że występują w obronie „represjonowanych” sędziów. A tak naprawdę przedmiotem tego postępowania jest to, aby część sędziów pozbawić prawa wykonywania zawodu. Taka jest prawda. Nawet jeśli z ponad 2 tys. sędziów wskazanych przez KRS większość przejdzie weryfikację przez kolegów, to już na zawsze będzie oznaczać to złamany kręgosłup sądownictwa i nic tego nie zakopie. Sędziowie na dziesięciolecia będą wiedzieć, że bardziej niż z prawem muszą liczyć się z opinią innych sędziów. Będziemy strzec, aby państwo nie naruszyło zaufania do swoich instytucji.

Dla obywateli najważniejsze jest to, by orzekali sędziowie niezawisli, i to nie tylko od polityków, lecz także od środowiska. Nie może być tak, że sędziowie będą wybierali sobie, z kim będą zasiadać w składzie. Owszem, wtedy jest łatwiej uzgodnić orzeczenie, ale jeśli jest spór, to rodzi się bardziej sprawiedliwe orzeczenie. Dla obywateli korzystniejsze jest więc to, gdy trzeba dochodzić do rozstrzygnięcia po głębokiej dyskusji. Przypuszczamy jednak, że sprawa w TSUE rozstrzygnie się dopiero za jakiś czas. W przypadku niekorzystnego rozstrzygnięcia może to oznaczać nawet koniec polskiego sądownictwa, w tym chaos. Kalendarz jest taki, że wydarzenia mogą nałożyć się na kampanię wyborczą. Ta sprawa powinna być przedmiotem konsensusu ponad podziałami politycznymi.

Sporo miejsca poświęca pani niezależności sędziów. Jak zatem pani postrzega niezależność sędziów? Wydaje się, że ta zaczyna się już w Pałacu Prezydenckim, gdy sędzia odbiera nominację.

To prawda. Nie jest łatwo usunąć sędziego ze stanowiska. Koledzy ze stowarzyszeń sędziowskich chcą udowodnić, że to będzie bardzo proste, ale pozostawiam to ocenie społeczeństwa, jakie są motywy tych osób. Sędzia ma natomiast liczne ograniczenia. W konstytucji wyraźnie zapisano, jakim ograniczeniom podlega władza sędziowska, i do tego będę się odwoływać. Sędzia musi być podporządkowany zwierzchnikom, ale w przypadku wydawanych rozstrzygnięć jest całkowicie niezależny.

Zmieniając temat. Trwają prace nad proponowaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości reformą sądów powszechnych. Struktura sądownictwa ma zostać spłaszczone. Czy widzi pani taką potrzebę?

Sędzia musi być podporządkowany zwierzchnikom, ale w przypadku wydawanych rozstrzygnięć jest niezależny

Widzę ogromną potrzebę. Moim zdaniem uspokoiłoby to sytuację w sądach. Awanse budzą ogromne emocje, a wprowadzenie jednolitego stanowisko sędziowskiego oznacza likwidację awansów. Jeden z możliwych punktów zapalnych zostałby ugaszony.

Pojawia się zapewne zarzuty o chęć usunięcia „niewygodnych” sędziów.

Ale czegoś takiego nie ma w tych założeniach. Na pewno Polski nie stać na wysyłanie w stan spoczynku sędziów w kwiecie wieku. Uważam, że te rozwiązania są korzystne także dla sędziów, ale na pewno nie rozwiąże to wszystkich problemów sądownictwa, ponieważ część z nich pochodzi z sądów najwyższej instancji, a zwłaszcza Sądu Najwyższego. Tam widać ewidentny podział na „lepszych” i „gorszych” sędziów, co jest niedopuszczalne. Podobnie jak tolerowanie tego przez państwo.

W wywiadzie dla Radia Zet powiedziała pani, że „niedokończona reforma wymiaru sprawiedliwości nie była do końca dobrze wdrażana, bo politycy zapomnieli o adresatach tej reformy”. A może opór samego środowiska był za duży?

Powiedziałam to na podstawie swoich doświadczeń z Krakowa, gdy zaczynałam od 90 proc. negatywnie nastawionych sędziów. To kwestia niekończących się rozmów, uspokojenia atmosfery, a także zdecydowanych decyzji w sprawach, które nie podlegają negocjacji. Być może nie przyniosłoby to efektów, ale moim zdaniem zabrakło komunikacji. Masy sędziów były wzburzone propozycją zmian, ale nie same z siebie, tylko dlatego, że ktoś im to tak przedstawił. Owszem, był komunikat do społeczeństwa, ale był to inny przekaz niż ten, który powinien trafić do sędziów jako grupy zawodowej.

A może z części sędziów po prostu wyszły poglądy polityczne?

Sędziowie też są ludźmi. Każdy z nas ma poglądy, byleby nie były radykalne

i drastycznie okazywane. Nie będę mierzyć, czy więcej jest zwolenników takiej czy innej opcji politycznej. Natomiast niewątpliwie część czuła się doskonale w starym systemie i dla nich powrót np. do zwyczajnego orzekania był szokiem.

Niedawno mogliśmy obserwować spór między rządem i Brukselą w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Wiele osób twierdzi jednak, że rzeczywistym celem ataku była, jest i będzie KRS. Nie obawia się pani takiego scenariusza?

Trudno mówić o obawach, biorąc pod uwagę taki scenariusz. W sprawie Sądu Najwyższego zapadła decyzja polityczna o jego reorganizacji. Oceniają to obywatele, bo ci mają prawo do swojej recenzji.

Jak choćby w sprawie Izby Dyscyplinarnej.

To prawda. Chodziło o profesjonalizację spraw dyscyplinarnych. Niestety, w tym przypadku sędziowie zawiedli i nie będziemy tego ukrywać. Przez to ucierpiała sama idea. Warunki były oczywiście trudne, bo obserwowaliśmy ogromny atak wewnętrzny i zewnętrzny od samego początku. Wymagało to wręcz heroicznej postawy sędziów, do której na ogół nie byli zdolni, gdyż są tylko ludźmi. Na pewno nie pomogło też kierownictwo Sądu Najwyższego. Z naszych analiz wynikało, że sędziowie czuli się wręcz zagubieni. Ostatecznie nie byli w stanie udźwignąć tego ciężaru. Sam nabór do SN był przeprowadzony przez nas w ogromnym biegu, do czego obligowała nas ustawa.

Czy w pani ocenie mamy w ogóle do czynienia ze sporem prawnym czy może po prostu ze sporem politycznym?

Spór prawny nigdy nie przebiega tak drastycznie. W sensie prawnym sprawa wydaje się jasna i przesądzona. Oczywiście, że podczas Okrągłego Stołu przewidziano wybór członków KRS przez samorząd sędziowski, ale później w konstytucji świadomie pozostawiono tę kwestię otwartą. Przecież nie możemy się odwoływać do Okrągłego Stołu, jak sędziowie Izby Karnej, którzy podpisali się pod uchwałą w SN. Żyjemy w demokratycznym państwie i mamy swoją konstytucję. Tamto ustalenie gwarantowało, że sędziowie będą się replikować. Prawnicy, którzy poświęcili się pracy, mieli szansę zostać sędziami, a nawet awansować bez żadnych układów, ale jeśli chodzi o ostatnie instancje sądowe, to było to zamknięte środowisko.



Rafał A. Ziemkiewicz

Na zakończenie misji w Warszawie ambasador Niemiec Arndt Freytag von Loringhoven udzielił „Rz” wywiadu, który wszyscy nauczyciele powinni zachować na wypadek, gdyby przyszło im tłumaczyć uczniom, co to takiego „belehrung”. Niewprawnym w niemieckim wyjaśnię, że słowo to oznacza wyższościowe i butne, by nie rzec bezzcelne, pouczanie innych krajów, do którego Niemcy czują się upoważnieni jako „mocarstwo moralne”, zwłaszcza wobec krajów Europy Środkowej

Niemiecki historyk Michael Wolffson ujął to kiedyś w słowach: „Niemcy wpadli w pułapkę moralnej wyższości”. Uznaliśmy jako Niemcy – tłumaczył historyk ten mechanizm – „że nikt od nas nie wie lepiej, co znaczy moralna doskonałość”, ponieważ „popelniliśmy największe zbrodnie i umieliśmy publicznie za nie przeprosić”. Ten dziwny sposób myślenia ludzi, którzy ze zbrodni ojców wywiedli poczucie moralnej wyższości „Szawła narodów”, przebija z każdego akapitu wspomnianego wywiadu. Sam ambasador jest zresztą, na co w Polsce zwracano często uwagę, synem adiutanta Adolfa Hitlera, obecnego przy nim do ostatnich chwil w berlińskim bunkrze; pytany o drogę życiową ojca, wyjaśnia ją jego poczuciem obowiązku i patriotyzmu. Powiem od razu, że dla patriotyzmu polskiego, każącego przedkładać interes własnego kraju ponad dobro budowane „państwa europejskiego”, nie ma tak wielkiego zrozumienia.

Osoba ojca-nazisty przysłoniła w Polsce okoliczność politycznie ważniejszą, że ambasador Freytag jest byłym wysokim funkcjonariuszem niemieckiego wywiadu. „Jak twierdzą znawcy przedmiotu, głównym zadaniem pana AFL było przygotowanie gruntu pod powrót do Polski Tuska, a następnie prowadze-

Moralne szpony niemieckiej teściowej

FOT. MARCIN OGBALA/PAF

nie go w destrukcyjnych rozgrywkach przeciwko rządowi PiS” – napisał w komentarzu do odwołania, po zaledwie dwóch latach, niemieckiego ambasadora prof. Grzegorz Górski, nadmieniając jednocześnie, że fakt tak szybkiego zakończenia jego misji jest znaczący. Od siebie dodam, że trudno nie połączyć go z szerszym politycznym sprzątniem po „Mutti” Merkel, które odbywa się za naszą zachodnią granicą. Pisał o tym niedawno dziennik „Handelsblatt”, ale wątek przewija się w licznych publikacjach i wypowiedziach. Rzecz zresztą wydaje się oczywista: z każdym dniem skutecznego oporu stawianego przez Ukraińców

rosyjskim agresorom sytuacja Niemiec staje się coraz bardziej niekomfortowa i kogoś trzeba obciążyć za to winą. A kto bardziej odpowiada za obecną sytuację niż Merkel?

WYŻSZOŚCIOWY STOSUNEK

Co jednak charakterystyczne, cytowany tu „Handelsblatt”, wskazując winy byłej kanclerz na jednym oddechu z uzależnieniem kraju od Rosji i Chin, zarzuca jej, że „dopuszczała do demontażu państwa prawa w Polsce i na Węgrzech, co zagraża podstawom Unii Europejskiej”. Jeśli Niemcy tak postrzegają sprawę i jeśli rację ma prof. Górski co do misji,



jaką przeznaczyła była kanclerz ambasadorowi Freytagowi, to przedwczesne odwołanie go można rozumieć dwojako. Optymistycznie – że Niemcy zdali sobie sprawę z nieskuteczności swojej polityki wobec Polski i postanowili ją zmienić, albo pesymistycznie – że Niemcy nieskuteczność swojej polityki wobec Polski tłumaczą sobie nie jej błędnymi założeniami, tylko nieudolnością wykonania, i postanowiły przysłać do Warszawy kogoś skuteczniejszego.

Jestem niestety pesymistą. Nic nie wskazuje na to, żeby Niemcy zmieniły swój wyższościowy stosunek do Polski, wynika on bowiem nie tylko z uroszczeń „mocarstwa moralnego”, lecz także ze strategicznego celu całej niemieckiej polityki, którym jest obudowanie się federalnym „państwem europejskim”, pozwalającym jednocześnie odciąć się od własnej imperialnej tradycji i zrealizować jej wieczne cele rękami uzależnionych od Berlina europejskich pomagierów.

W języku polityki niemieckiej określenie Polski jako „przyjaciela” oznacza to samo, co Sowietci ujmowali jako „kraje bratnie”

Gdy dziennikarz „Rzeczpospolitej” odważy się zwrócić uwagę wciąż jeszcze urzędującego ambasadora na to, że krytykowanie polskiej demokracji pozostaje w niejkiej sprzeczności z nieustannymi telefonami kanclerza Scholza do prezydenta Rosji, Freytag odpowiada: „Ależ to zupełnie inny rodzaj relacji! Polska jest przyjacielem, Rosja – zagrożeniem”.

To niezwykle ciekawa odpowiedź. Ponieważ Rosja jest zagrożeniem, Niemcy lobbowały, i mimo wojny wciąż lobbują – podtrzymując swój nieprzejeźdźny sprzeciw wobec jedynej ekologicznie czystej i zeroemisyjnej energetyki, którą jest energetyka atomowa – za tym, aby od tego zagrożenia uzależnić całą Europę, za tę cenę przerywając na nią (i w mniejszym stopniu na równie zagrażające Chiny) wytworzenie całej ogromnej emisji CO₂, niezbędnej do podtrzymania europejskiego dobrobytu. Przy czym, podkreślimy, nie ma tu znaczenia, czy uzależnienie dotyczyć będzie rosyjskiego

gazu ziemnego czy „docelowego” wodoru wytwarzanego w Rosji, ponieważ, jak dowodzą wyliczenia naukowców, wytwarzanie wodoru z gazu ziemnego daje ostatecznie mniej energii i większą emisję niż spalanie samego gazu (dokładnie tak samo jest z ropą naftową). A jednocześnie, ponieważ Polska jest przyjacielem, Niemcy wymogły, by wyrzekła się swoich źródeł energii i uzależniła się od rosyjskiego gazu (docelowo wodoru) dystrybuowanego przez Niemcy.

NIEMIECKI IMPERIALIZM

Wynika z tego, że w języku polityki niemieckiej określenie Polski jako „przyjaciela” oznacza dokładnie to samo, co w języku polityki sowieckiej ujmowano określeniem „kraje bratnie”.

Jeszcze więcej wynika zaś z pokrętności „polityki klimatycznej”, opartej na równie stanowczym odrzuceniu energetyki bezemisyjnej, jak najbardziej emisyjnej, oraz na imperatywie zredukowania o ponad połowę emisji CO₂ przez kraje odpowiadające za 9 proc. emisji globalnej, realizowanym poprzez przenoszenie emisji Niemiec i Francji, wraz z ich produkcją, do Chin i innych krajów azjatyckich, odpowiedzialnych za prawie połowę emisji globalnej. Zważywszy, że klimat nawet tej unijnej redukcji nie zauważy i że mniejsze kraje, takie jak Polska, obciążone „limitami” emisji, nie mają możliwości radzić sobie z nimi analogicznym wyprowadzaniem jej poza obszar UE, więc będą musiały swe gospodarki zamknąć, wniosek jest oczywisty: „ratowanie planety” jest tylko kamuflażem imperializmu niemieckiego, takim samym, jakim dla imperializmu rosyjskiego było „wyzwalanie” wyzyskiwanych jakoby w kapitalizmie „mas pracujących”.

Ta konstatacja jest tyleż oczywista, co nie do przyjęcia dla Niemców. Dlatego większość swojego „belehrungu” w „Rzeczpospolitej” poświęca pan Freytag pouczeniu Polaków, że źle robią, dając się złemu rządowi PiS nastawiać nieprzychylnie wobec Niemiec, bo Niemcy chcą dla nas dobrze i tylko zły Kaczyński dla swoich instrumentalnych celów próbuje Polakom wmówić, że są dla nich zagrożeniem.

Szczególnie ciekawie brzmi ta przestroga w kontekście wątku nigdy Polsce niewypłaconych, bodaj chyba jako jednemu krajowi, reparacji za zniszczenia i zbrodnie wojenne. Tu wymowny skądinąd reprezentant rządu w Berlinie

ogranicza się do suchego stwierdzenia, że „z prawnego punktu widzenia sprawa jest zamknięta” i powinno nam wystarczyć, że Niemcy przecież nie uchylają się od moralnej odpowiedzialności za wyrządzone zło i zawsze gotowe są za nie przeproszać – byle tylko nic konkretnego z tych przeprosin nie wynikało.

Aż się prosi, by przypomnieć, że załatwienie sprawy „z prawnego punktu widzenia” polegało na podłożeniu rządzącym Polską przez kanclerza Kohla, na fali entuzjazmu i sielankowych opowieści o „pojednaniu”, dokumentu, w którym w zamian za mgliste i niekonkretne obietnice rozszerzyli oni na całe Niemcy akt zrzeczenia się odszkodowań, którego kazał marionetkowym władzom PRL dokonać wobec „bratniej” NRD jeszcze Józef Stalin. Zważywszy, kto wtedy rządził ledwie wychodzącą z komunizmu Polską, z moralnego punktu widzenia było to analogiczne do wyłudzenia od niepełnosprawnego umysłowo podpisu pod zrzeczeniem się majątku. Ale co do litery prawa, skoro niepełnosprawny nie był formalnie ubezwłasnowolniony, ma pan ambasador „mocarstwa moralnego” rację: majątek przepadł i nic nam już nie możecie zrobić.

W istocie, wspomniane przez Michała Wolffsona niemieckie poczucie rozliczenia się z dawnymi winami nie ma nic wspólnego z ekspiacją, z chęcią zadośćuczynienia. A raczej doprowadziło ono Niemców do wygodnego przekonania, że tym zadośćuczynieniem, ich moralnym obowiązkiem wobec ofiar III Rzeszy i rozpętanej przez nią wojny, ma być doprowadzenie za rączkę właściwą drogą Polaków i innych narodów Europy Środkowej, traktowanych przez Niemców współczesnych tak samo, jak przez tych dawniejszych – jako zapóźnionych w rozwoju i niedouczonej.

Nie jest to zachowanie narodu, który przeżył głębokie oczyszczenie i przeprosił swoje winy. Jest to zachowanie upierdliwej teściowej, która wszystko wie lepiej i która urządzi dzieciom mieszkanie oraz całe w ogóle życie tak, jak być powinno, bo tylko ona to wie i potrafi. I nie omieszka jeszcze przy tym jasno i wyraźnie uświadomić uszczęśliwianym – jak czyni to odchodzący ambasador w szczerym wywiadzie dla polskiej gazety – jak bardzo podle się zachowują, nie doceniając jej poświęceń i nie okazując należytej wdzięczności.

Nikt mnie nie kupił



Z Agnieszka Ścigaj, minister bez teki w rządzie premiera Mateusza Morawieckiego, odpowiedzialną za integrację uchodźców z Ukrainy

rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Co pani odpowiada tym wszystkim, którzy uważają, że wchodząc w skład rządu premiera Morawieckiego, dała się pani „kupić”? Ruch Kukiz'15, z którego się pani wywodzi, uważany był za antysystemowy. Przyjmując ofertę premiera, znalazła się pani w jądrze systemu...

AGNIESZKA ŚCIGAJ: To pomylenie pojęć. Nikomu nie dałam się kupić. Podjęłam się ważnego zadania, które właśnie się pojawiło. To nie jest tak, że wzięłam stołek. Złożyłam propozycję konkretnego rozwiązania systemowego. PiS nie potrzebował dodatkowego głosu, bo ma większość. Chodziło o wdrożenie strategii, którą zaplanowałam. Premier zwrócił się z propozycją, czy chcę ten projekt koordynować. To całe kulisy mojej obecności w rządzie. Oczywiście można wszystko krytykować, a jak pojawia się możliwość, żeby wdrożyć rozwiązanie,

którego oczekiwała większość opozycji, to słyszę, że zostałam „kupiona”. Jeżeli nie będę mogła dostać narzędzi, żeby skutecznie działać, to przecież nic mnie w rządzie nie trzyma. Gdybym chciała dać się kupić, to zrobiłabym to już dawno.

Premier zapowiedział, że będzie pani odpowiedzialna za integrację społeczną uchodźców wojennych z Ukrainy. Ma pani pomysł, jak to zrobić?

Myślę, że większość Polaków jest zgodna co do tego, że pewien etap pomocy dla uchodźców z Ukrainy, polegający na zaspokojeniu podstawowych potrzeb humanitarnych, czyli wyżywienia i dachu nad głową, dobiegł końca. Musimy przyjąć do świadomości, że część tych ludzi, którzy uciekli do nas z Ukrainy przed wojną, zostanie tutaj dłużej. Teraz trzeba

skoncentrować się na działaniach, które pozwolą tym ludziom w pełni odnaleźć się w Polsce. Jeśli tego nie zrobimy, sprókurujemy konflikty społeczne. Dlatego konieczne są strategie włączenia społecznego dla tych wszystkich, którzy chcą z nami mieszkać i pracować, i uczyć się tutaj. Działania, które chcę wdrażać, to ruch wyprzedzający, który ma pozwolić zachować spokój wewnętrzny i zapewnić dobrą koegzystencję społeczną z naszymi gośćmi z Ukrainy na poziomie gmin i mniejszych wspólnot. Celem programu, który chcę realizować, jest nauczenie się przez nas przyjaznej koegzystencji z Ukraińcami w małych wspólnotach. Właśnie to zaproponowałam premierowi. Chodzi o kompleksowe działanie wymagające uzgodnień międzyresortowych. Mam na myśli m.in. zapewnienie tanich mieszkań komunalnych w mniejszych samorządach, a także aktywizację zawodową w dziedzinach, w których brakuje u nas pracowników, czyli usług społecznych. To pozwoli na zagospodarowanie potencjału szczególnie

tych dziesiątek tysięcy kobiet z Ukrainy, które znalazły się u nas w wyniku wojny. Cała opozycja w zasadzie zgadzała się co do tego, że wobec uchodźców z Ukrainy potrzebna jest długofalowa strategia, która zastąpi działania doraźne.

Mówi pani o pozytywnym scenariuszu integracji uchodźców z Ukrainy, tymczasem wśród wielu z tych, którzy w odruchu naturalnej solidarności z doświadczonymi przez wojnę sąsiadami pomogli i pomagają im na różne sposoby, widać syndrom „zmęczonego samarytanina”. Nie obawia się pani, że w takim klimacie trudno będzie o skuteczną integrację? Nie wspominam nawet o ograniczonych zasobach państwa i samorządów.

Pyta pan, czy się nie boję? Kilka dni temu uczestniczyłam w seminarium na Uniwersytecie Warszawskim, podczas którego prezentowano wyniki badań dotyczących pomocy dla Ukraińców. Z badań wynika, że jako naród nadal jesteśmy gotowi pomagać, ale zdecydowanie zmieniają się doraźne potrzeby społeczne dotyczące form tej pomocy. Większość z nas oczekuje rozwiązań systemowych, które pozwolą naszym gościom z Ukrainy na większe usamodzielnienie. To zupełnie naturalne reakcje. Ważne jest, żeby teraz wdrożyć odpowiednią strategię, która, po pierwsze, pozwoli wykorzystać potencjał tych ludzi dla naszego kraju, dla naszej gospodarki. Po drugie, przy okazji działań obliczonych na integrację Ukraińców wzmocni potencjał komunalny, mieszkaniowy samorządów. To właśnie zakłada projekt, który przedyskutowaliśmy wspólnie z premierem. W tym momencie samorządy nie dysponują takim potencjałem, ale ten potencjał jest w prywatnych rękach. Mam na myśli bardzo dużą liczbę pustostanów na terenach wiejskich. One stoją latami niezagospodarowane. Wystarczy skoordynować w odpowiedni sposób działania przez rząd, aby przygotować te pustostany do zamieszkania. We współpracy z gminą włączyć je w zasoby komunalne, użyczenia i korzystania przez jakiś czas dopóty, dopóki z programów rządowych w okresie, powiedzmy, pięciu-sześciu lat nie uda się wybudować potrzebnej liczby mieszkań komunalnych. Chodzi o podnajem połączony z programem integracji zawodowej każdego z ukraińskich uchodźców, którzy decydują się przyjechać z dużych miast do mniejszych gmin. Na tym polega ten kompleksowy program integracji społecznej Ukraińców, który chcemy realizować.

Usłyszałam ostatnio wymowną opinię jednego z wolontariuszy zaangażowanych w pomoc Ukraińcom. Ten człowiek zapytał mnie: „Dlaczego my, Polacy, potrafimy reagować dopiero na kryzys, a nie potrafimy go przewidywać, uprzedzać pewne działania?”. Apelowaliśmy o to cały czas. Premier usłyszał te apele. Zgadza się, żeby temat pomocy i integracji dla uchodźców z Ukrainy wyłączyć spod debaty politycznej. Tu potrzeba kompleksowego działania ponad politycznymi podziałami. Szef rządu powierzył mi tę funkcję właśnie ze względu na kompleksowość programu, który przygotowało nasze koło poselskie Polskie Sprawy. To, że ten program

Wobec uchodźców z Ukrainy potrzebna jest długofalowa strategia, która zastąpi działania doraźne

koordynować ma nasze, wywodzące się z opozycji, środowisko, sprawia, że nikt nie może powiedzieć, że cała pomoc dla Ukraińców została zmonopolizowana przez PiS. Ten projekt powinien łączyć, a nie dzielić scenę polityczną.

Czy ten kolejny pakiet pomocowy dla Ukraińców, który ma pani koordynować, nie pogłębia poczucia, które żywi część Polaków? Wielu ludzi ma wrażenie, że wobec szerokokierunkowych preferencji dla Ukraińców ze strony państwa i samorządów oni sami stają się obywatelami drugiej kategorii we własnym kraju.

To też jest sprawa, którą należy się zająć. W mojej ocenie nie było takich działań ze strony państwa, które dawałyby priorytet Ukraińcom, jeśli chodzi o jakiekolwiek świadczenia i usługi. Raczej staraliśmy się w te świadczenia, które nam przysługują, nie we wszystkie, włączyć Ukraińców. Mity, stereotypy, które pan przywołał, są przerysowane. Nie zamierzam idealizować, bo są miejsce i sytuacje, gdzie dochodzi do jakichś incydentów czy drobnych konfliktów. Tak się dzieje wszędzie, gdzie ludzie żyją obok siebie. Bez względu na to, czy są Polakami czy Ukraińcami. Źródłem takich niesprawiedliwych opinii często są miejsca, gdzie jest duże zagęszczenie Ukraińców. Składają się na to emocje,

lęki, obawy, kryzys gospodarczy, którego doświadczamy. To wszystko się na siebie nakłada. Jest jak tykająca bomba. Jeśli nie spróbujemy podjąć wyzwania, które pozwolą tę bombę rozbroić, to będziemy mieć kolejny kryzys. To ostatnia rzecz, której potrzebujemy. A najbardziej cieszyłby się Putin.

W jaki sposób integrować ludzi, którzy nie chcą się integrować z Polakami? Obserwując ukraińską społeczność w Polsce, można odnieść wrażenie, że jest ona mocno hermetyczna.

Nie do końca z panem się zgadzam. Trudno się dziwić, że z powodu sytuacji, w której się znaleźli, czują się nieco zagubieni i skłaniają się ku swoim. Dlatego pomoc musi się zmieniać z czysto socjalnej na włączającą. Sami Ukraińcy tego oczekują. Nie mam wrażenia, że są oni nastawieni na „polski socjał”. Widzę za to coś innego – nawet kobiety, które mają dzieci, jakoś się dogadują, załatwiają opiekę, byle tylko pracować. Od przygotowania pierogów do sprzątania domów. One cały czas coś robią albo szukają zajęcia.

Czy wielokrotnie większa liczba kobiet niż mężczyzn wśród uchodźców z Ukrainy nie jest problemem dla naszego rynku pracy? Przed wybuchem wojny Ukraińcy pracowali przede wszystkim w transporcie, budownictwie i rolnictwie. Może poza rolnictwem to nie jest praca dla kobiet...

To prawda. Jest jednak sektor na polskim rynku pracy, gdzie występuje duży deficyt pracowników. Mam na myśli usługi społeczne. Opieka nad osobami starszymi czy niepełnosprawnymi. Praca w różnego rodzaju placówkach wsparcia. Panie z Ukrainy świetnie się do tego nadają. Zatrudnienie przy tego rodzaju usługach nie wymaga świetnej znajomości języka polskiego. W tym obszarze cały czas mamy lukę. Kobiety bardzo dobrze się w takich zajęciach sprawdzają. W mniejszych miejscowościach, w małych gminach to poważny problem, deficyt miejsc pracy w sektorze usług społecznych jest tam szczególnie widoczny. Mówię to z pełną odpowiedzialnością, bo prowadziłam w przeszłości centrum usług społecznych i największy problem stanowiło znalezienie osób do opieki nad ludźmi starszymi pozostającymi w domach. Co do rolnictwa – nie brakuje tam też pracy dla kobiet. Obserwując ukraińskie kobiety w Polsce, muszę powiedzieć jedno: one naprawdę mają w sobie siłę.

Kto co ma badać, czyli stary spór w starych koleinach



Piotr Semka

Wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego na mityngu PiS we Włocławku wywołała polityczną i medialną burzę. Już sama interpretacja słów, które padły na wiecu, pokazała, jak różnie można rozumieć słowa lidera partii rządzącej



FOT. PIŚ.CiG.PL

Liderzy opozycji i duża część mediów ogłosili, że Kaczyński we Włocławku „zaatakował osoby LGBT”. Najwięcej emocji wywołało określenie „Ja bym to badał”, które padło w dosyć nieczytelnym kontekście. Warto zanalizować burzę wokół słów Kaczyńskiego, gdyż doskonale pokazuje ona trudności w dyskusji o trendach zmian obyczajowych i cywilizacyjnych.

Aby moc ocenić, co zaszło we Włocławku, trzeba zacząć od wiernego przytoczenia cytatu ze spotkania z działaczami PiS. Można na palcach jednej ręki policzyć media, które na taki dokładny zapis się zdobyły. Przytoczmy więc słowa z wiecu w stenograficznym zapisie.

„Musimy mieć pewne zasady. W demokracji zawsze jest walka polityczna, w demokracji zawsze się spierają i kłóca, i to jest normalne, z tym trzeba się pogodzić. Demokracja, mimo sporów, mimo że to czasem jest denerwujące, jest lepsza od dyktatury czy jakiejś formy niedemokracji. Ale to nie znaczy, że te kłótnie nie powinny być ujęte w jakieś ramy przyzwoitości”.

Tych kilka zdań Kaczyńskiego było jakby przygotowaniem do podstawowej

tezy na temat pola sporów ideowych z obecną lewicą. Kaczyński mówił: „Musimy doprowadzić do tego, żeby powróciła prawda. Oczywiście ktoś może się z nami nie zgadzać. Ma lewicowe poglądy, uważa, że każdy z nas może w pewnym momencie powiedzieć, że do godziny – jest w tej chwili wpół do szóstej – byłem mężczyzną, a teraz jestem kobietą. Lewica uważa, że tak powinno być i należy tego przestrzegać. Mój szef, moja koleżanka czy kolega powinni się do mnie zwracać tym razem w formie żeńskiej. Można mieć takie poglądy, dziwne, co prawda – ja bym to badał – ale można”.

ŁUDZIE CZY IDEOLOGIA

Wypowiedź Kaczyńskiego charakteryzował dygresyjny, żartobliwy ton – lider PiS wyraźnie odchodził od tonacji formalnego przemówienia i nawiązywał kontakt z salą. Każdy polityk miewa takie chwile rozluźnienia, kiedy to chce na chwilę osłabić powagę przemówienia ex cathedra i zmierza ku luźniejszej dygresji.

Jednak lider PiS powinien mieć świadomość, że kwestia np. transpłciowości jest dzisiaj niezwykle drażliwym tema-

tem i zawsze służy lewicy do rytualnego oburzenia, uderzania w najwyższe tony. Do tego dochodzi jeszcze skłonność prezesa do wypowiadania się w sposób niejasny. Dlatego nieprzypadkowo uwagę wszystkich przeciwników PiS zwróciło określenie: „Ja bym to badał”.

Kaczyńskiemu, jak można się domyślać, chodziło o to, że trzeba badać tendencje lewicy do absolutnego relatywizowania kwestii płci. To zagadnienie ma znaczenie prawne i w tym sensie wychodzi poza sferę prywatności. Mamy dostatecznie dużo przykładów z Zachodu, gdy deklarowanie przez kogoś, że czuje się kobietą czy mężczyzną, wywołuje całkiem konkretne problemy.

Nie brakuje przykładów kierowania skazańców o cechach ewidentnie męskich do oddziałów więzień dla kobiet pod wpływem czyjejś deklaracji, że „czuje się kobietą”. Inne konflikty występują przy słynnym już sporze o możliwość odwiedzania żeńskich toalet przez osoby o cechach męskich deklarujące się jako kobiety. W sporcie starty zawodniczek o typowej dla mężczyzn wydolności fizycznej wywołują konflikty jako nieuczciwe uprzywilejowanie w stosunku

do zawodniczek o typowo kobiecych cechach budowy i wydolności organizmu.

Problem więc istnieje, natomiast wypowiadać trzeba się o nim z wyjątkową dokładnością i precyzją. A już słusznie złe wrażenia robi opowiadanie tego w stylu zwanym często „aluzjami wujaszka” przy rodzinnym obiedzie.

Tyle uwag o tym, czy Kaczyński swoje przekonania wyraził w roztropny sposób. Ale zupełnie inną kwestią jest to, czy Kaczyński zaatakował osoby transpłciowe.

POWTÓRKA Z KAMPANII PREZYDENCKIEJ

Lewica w odpowiedzi na wystąpienie we Włocławku powtórzyła swoją kampanię oburzenia na rzekomy atak na mniejszości seksualne. Przypomnijmy, że w 2020 r. walczący o reelekcję prezydent Andrzej Duda nawiązał w swoich wystąpieniach do programów szkolnych, mających lansować wiedzę o LGBT według wskazań organizacji homoseksualnych. Poruszenie tego tematu miało głęboki sens. Skoro Rafał Trzaskowski, kontrkandydat Dudy, patronował takim programom na terenie zarządzanej przez siebie Warszawy, to można było przyjąć, że jako ewentualny prezydent Polski będzie chciał rozszerzyć takie zajęcia na wszystkie polskie szkoły, jeśli tylko będzie to umożliwiać istnienie lewicowo-liberalnej większości w Sejmie RP.

Duża część mediów wygumkowała z wystąpień Andrzeja Dudy nawiązanie do praktyk wprowadzania wiedzy o LGBT do szkół warszawskich i w to miejsce ogłosiła wypowiedzi obecnego prezydenta jako cynicznie zaplanowany atak. Jest to bardzo przemyślana strategia, nie tylko w Polsce. Bazuje ona na przekonaniu, że tylko lewica i organizacje homoseksualne mogą wybierać formę i moment poruszenia w debacie publicznej kwestii zmian obyczajowych. Bardzo charakterystyczne jest wypowiadanie często przy takiej okazji przez aktywistów LGBT opinii, czy dane społeczeństwo już dojrzało do danego etapu zmian. Dopóki „nie dojrzało”, dopóty obóz postępu dba, aby o możliwości takich zmian w ogóle nie wspominać.

Taka taktyka jest nie do zaakceptowania przez prawicę, która uważnie obserwuje, jak zmiany obyczajowe są wprowadzane w krajach zachodnich, i słusznie zakłada, że dokładnie w taki sam sposób mogą być implementowane nad Wisłą. A wtedy, gdy prawica podnosi ten temat, rozpoczyna się prewencyjny ostrzał artyleryjski lewicy pod hasłem,

że „znowu ktoś używa karty przeciwko mniejszościom seksualnym dla podzielenia Polaków”. Oczywiście według tej logiki zapowiedzi liberalizacji aborcji nie są żadnym dzieleniem Polaków, tylko naturalnym procesem zmian dostosowujących Polskę do standardów zachodnich.

Ale samo wywoływanie awantury, gdy prawica ostrzega przed niebezpiecznymi z jej punktu widzenia tendencjami, to połowa zagadnienia. Kolejna kwestia to stawianie znaku równości między krytyką technik socjotechnicznych organizacji LGBT a rzekomym atakowaniem pojedynczych osób – czy to homoseksualnych, czy to zmagających się z problemem transpłciowości.

KĄDZY JEST NA CELOWNIKU

W dyskusji dotyczącej wystąpienia Kaczyńskiego we Włocławku mogliśmy obserwować bardzo sprawnie stosowane instrumentarium zamiany krytykowania Kaczyńskiego za jego stosunek wobec polityki lewicy w kwestii obyczajowości na oskarżenie prezesa o zamiar przesładowania konkretnych ludzi.

Najdalej poszedł w tej materii sekretarz Platformy Obywatelskiej Marcin Kierwiński. Na Twitterze ogłosił on: „Kaczyński podobno chce leczyć ludzi. Proponuję zacząć od Suskiego, Mosińskiego i samego Kaczyńskiego. Nienawidzę warto leczyć”. Zauważmy, że Jarosław Kaczyński nie mówił nic o leczeniu, ale Kierwiński sprytnie obszedł to formułą „podobno”.

Z kolei Marcin Matczak, znany szermierz walki o sądy, grzmiał tak: „Prymitywne słowa Kaczyńskiego, kpiące ze złożonej i poważnej kwestii identyfikacji płciowej, ukazują poziom intelektualny i moralny lidera partii rządzącej”.

Wątek sugerowania, że lider PiS chce wysłać kogoś przemocą na jakąś medyczną reedukację, twórczo podchwyciła publicystka tygodnika „Polityka” Agata Czarnacka. Pisała ona: „[...] W przekazie medialnym największy szok wywołały słowa »ja bym to badał«. To zdumiewające nawiązanie do czasów, gdy »psychuszka« oznaczała często więzienie bez sądu i bilet bez powrotu dla dysydentów politycznych. Gdy tak zwane żółte papiery skazywały niemalże na śmierć cywilną. Taką »weaponizację normalności« stosował Związek Radziecki, a w ślad za nim inne kraje demokracji ludowej. [...] Polska nie była wyjątkiem. Zresztą do dziś słowo »normalność« jest w polskiej polityce naładowane emocjami i wieloznaczne”.

W budowaniu dramatyzmu wokół wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego nie zapomniano o cytowaniu statystyk dotyczących samobójstw wśród młodych ludzi zmagających się z problemem tożsamości płciowej. To argument, który używany jest także przy zamykaniu ust w dyskusji na temat postulatów środowisk LGBT. Jakikolwiek mówienie o taktyce organizacji planujących ewolucję obyczajową wywołuje to samo ciągle powtarzane oskarżenie: polemizując z hasłami wiedzy o homoseksualizmie, pisanymi przez aktywistów gejowskich, bierzecie na swe sumienia odpowiedzialność za samobójstwa wielu licealistów.

W KÓŁKO TO SAMO

Dlaczego piszę te rzeczy, które niektórym czytelnikom „Do Rzeczy” mogą wydać się wielokrotnie już opisywanymi zjawiskami? Rzecz w tym, że prawa strona w momentach rozpętywania takich hysterii medialnych w naturalny sposób bywa zaskoczona i defensywna. Na tym polega taktyka lewicy, aby, wywołując takie „shitstormy”, wyrobić wśród prawej strony naturalny lęk przed dalszym polemizowaniem z postulatami środowiska LGBT.

Tymczasem trzeba wykonywać ogromny wysiłek i oddzielać realne problemy, z którymi stykają się osoby transpłciowe, od coraz bardziej opętanej polityki oddawania decyzji o zmianie płci w ręce dzieci, ośmio-, dziesięcio- czy trzydziestoletnich. Na dodatek w coraz większej liczbie przypadków z pozbawieniem rodziców prawa do reagowania na takie decyzje chwiejnych – i bardzo często podatnych na wpływy – młodych ludzi.

W tej mierze bardzo często trudno wskazać, gdzie kończy się wątpliwa praktyka psychologów i terapeutów, gdzie triumf odnosi rewolucyjna technika organizacji LGBT, a gdzie wreszcie zaczyna się firmująca te wszystkie postępowe trendy władza ustawodawcza państwa. Kaczyński, choć w zbyt ogólnikowy sposób, próbował na ten temat mówić. Dobrze by było, gdyby za jakiś czas dokładnie i w sposób bardzo przemyślany przedstawił poglądy swojej partii na ten temat. Nie zmieni to polityki lewicy, aby poruszanie tego tematu zamieniać w rzekome nawoływanie do nagonki, ale pomogłoby to w jasnym definiowaniu tego, co PiS uważa za przekraczanie granic racjonalności, a co za nienaruszalną strefę prywatności jednostki. Proste? Trzeba jeszcze to zrobić.

Skąd te choroby?



FOT. ANDRZEJ STOK



Jerzy Karwelis

Czy nagłe przyznanie się do tego, że maseczki były złe, ma ukryć prawdziwą przyczynę masowych zachorowań i sprawić, by nikt nie łączył jej ze szczepieniami?

Włódzkim wydaniu „Gazety Wyborczej” 20 czerwca ukazała się publikacja pt. „Tylu infekcji jeszcze nie było. Przez izolację i maseczki straciliśmy odporność”. I zaczęło się zamieszanie, jakby wszyscy najedli się jakiegoś szaleju. Artykuł sam w sobie dotyczy tego, że lekarze obserwują niezwykle wysyp przeróżnych infekcji, niezwykle co do swych rozmiarów, a także występowania poza sezonem zwyczajowych zakażeń. Powód tego, opisany w artykule, jest jeden – winne temu są długotrwałe izolacje i nakazy noszenia maseczek w czasach pandemicznych obostrzeń. To poprzez ich ciągłe używanie nasz system odpornościowy miał ulec degradacji w stopniu umożliwiającym byle patogenowi doprowadzenie nas do stanów poważnych.

Z punktu widzenia medycyny wszystko się zgadza, nie jest to rewelacja naukowa, ale wyjątkowe jest podanie tego do wiadomości przez medium, które równo z większością przekaziorów trzymało wysoko gardę pandemicznych

pewników, do których noszenie maseczek należało (DDM – dystans, dezynfekcja i maseczkowanie). To znaczy, że kiedyś dzisiejsza teza „Wyborczej” to było czyste płaskoziemstwo, a dziś nawet można o tym pisać, ba – wysuwać daleko idące wnioski. Przełom znaczy się.

CO MÓWILI PŁASKOZIEMCY?

Kwestia skuteczności noszenia maseczek jako środka zatrzymującego lub spowalniającego transmisję wirusa była od początku pandemii mocno kontrowersyjna. Noszenie maseczek jako pierwsze obśmiały... jastrzębie późniejszych obostrzeń covidowych: profesorowie Gut (główny epidemiolog kraju), minister zdrowia Szumowski oraz główny sanitarysta covidowy, mistrz ekstremalnych setek medialnych – prof. Simon. Potem zmienili zdanie, ale warto sobie przypomnieć, co mówili zgodnie, bo na podstawie nauki, o sytuacjach, w których noszenie maseczek jest konieczne: chirurg w czasie operacji, by nie zanieczyścić pola operacyjnego, medyk obsługujący chorych zakaźnie w zamkniętym pomieszczeniu oraz objawowo chory z kaszlem i/lub katarą.

Potem się okazało, że jednak nie. Wszyscy mają je mieć i wszędzie. I zaczęły jednak pojawiać się pytania, jak to jest. Czy zmieniło się coś nagle w nauce czy jednak panowie zmienili zdanie. Odpowiedzi nikt nie udzielił, choć w różnych częściach świata zaczęły się badania na wyścigi udowadniające dwie sprzeczne tezy, że, owszem, maseczki są kluczowe oraz odwrotnie – że nie powstrzymują wirusa, ba – szkodzą. Do pierwszej tezy

(nosimy wszyscy) musiało się pojawić takie cudo jak „bezobjawowy chory”. No bo jak inaczej niekaszających, bez temperatury, zakuć w bawelniany kaganiec? Takich gagatków wyławiano systemowo za pomocą cudownych testów, o których się teraz okazało, że lepiej było rzucać monetą niż polegać na analizie wydzieliny z nosogardzieli. Po wielu bojach czynniki oficjalne „chlapnęły” i główny inspektor sanitarny prof. Pinkas się wygadał, że maseczki mają głównie rolę psychologicznej presji, widocznego znaku, że wirus jest wśród nas i trzeba się pilnować oraz na ulicy od razu identyfikować niemaseczkowych zabójców staruszek. Po to, by samoobsługowy sanitaryzm ludowy miał narzędzia do swojej obsługi.

Dyskusja się skończyła, ale co mówili u siebie po piwnicach antyszczepionkowcy (okazuje się, że byli tacy nawet przed wynalezieniem szczepionek na COVID-19)? Pierwsze argumenty były na początku logiczne. Maseczki zmniejszają dopływ tlenu do płuc, zwłaszcza mózgu, co jest szczególnie szkodliwe wobec formującego się organizmu najmłodszych, o ledwie zipiących (nawet i bez masek) staruszkach nie wspominając. Na maseczkach osadzają się aerozole przygody z całego dnia, stanowią zbiorniczek wszystkiego najgorszego, czym się oddycha cały dzień. Nie dość więc, że człowiek jedzie na własnych oparach, to ma na ustach filtr, przez który jest w ciągłym oddechowym kontakcie ze wszystkimi patogenami, które napotkał w swym covidowym dniu. Kiedy w czasach przedmaseczkowych takie coś człek by raz wdechnął, drugi raz by wydechnął i byłoby po kłopotach.

Do tego cała kwestia samych maseczek. Choć nauka mówiła o odpowiednich materiałach na maseczki oraz maseczkach specjalistycznych, to zaczęło się wyprawianie brewerii. Każda załóżka liczyła się jako „sztuka”, nawet szalik czy bandanka niefrasobliwie narzucone pod brodę ratowały przed mandatem. Bohaterowie szyli po domach maseczki, pojawiła się moda maseczkowa, trendy, logo firm, nowe nośniki covidowego branding. Z punktu widzenia celowości to kompletny absurd – w okresie przed-maseczkowym prof. Gut sam, śmiejąc się z maseczek, ostrzegał, że jest to środek przynoszenia do domu kondensacji patogenów z całego dnia i zaraz po przyjeździe (jak się w ogóle wychodziło) do mieszkania trzeba maseczkę, jeśli jednorazowa, specjalnie w woreczku zamknąć i złożyć ostrożnie w śmietniku, a wielokrotnego użytku – sterylizować w autoklawie, który jest przecież w zestawie AGD każdego polskiego domu. Co wyszło? Maseczki noszone tygodniami, wyciągane z kieszeni, brudzone palcami, dotykające ust, spuszczone pod nosem, transportujące cały ten syf wprost do ust. Tyle logika.

BADANIA

Jako że jesteśmy już w okresie pocovidowym, to już można się ciekawskim dokopać do podsumowujących badań w tym względzie. Rewelacja „Wyborczej” to tylko znak czasów – do tej pory kwestia nie istniała, bo w postnowoczesnej rzeczywistości, jeżeli czegoś nie ma w mediach, to nie wiadomo, czy w ogóle istnieje. No, jako się rzekło, badań było bez liku i mainstream też miał swoje, z tym że coraz słabsze. Płaskoziemni naukowcy wyklęci narobili swoich z kolei tyle, że powstało metabadanie badające... badania dotyczące skuteczności maseczek. Te po przeanalizowaniu różnych wyników wskazały, że w prawie połowie rezultatów wyszło, że maseczki nie powstrzymują wirusa, w pozostałej części wyników – że wręcz szkodzą. Do czego dziś po półtora roku doszła właśnie „Wyborcza”.

Mieliśmy też dwa ciekawe badania skandynawskie. Duńczycy wylosowali dwie grupy po 3 tys. osób, z których jeden nosił maseczki, a drudzy nie. Po miesiącu zbadali obie i okazało się, że zakażyło się 1,8 proc. tych z maseczkami, a niezamaskowanych – 2,1 proc., a więc statystycznie pomijalna różnica. Symulacje działania maseczek przeprowadzone

przez Norwegów dowiodły, że aby zapobiec jednemu zakażeniu, przez tydzień 200 tys. osób musiałoby nosić maseczki.

CO MÓWIĄ ODKRYWCY?

Jednak „Wyborcza” nawet nie pisze o transmisji. Mamy tu do czynienia z podważeniem podstawowego dogmatu covidowego. Oni tam mówią kwestie wręcz obrazoburcze, że nie tyle przyjęta procedura była nieskuteczna, ale działanie, rekomendacje i mandatuwanie ze strony państwa doprowadziły do pogorszenia się stanu zdrowia i ryzyko wisi dziś nad każdym, kto w sposób długotrwały nosił przykazane maseczki. Jest to więc przewrót kopernikański. To znaczy jako wyłom w monolitycznym przekazie większości mediów. Oczywiście ci straszeni płaskoziemcy, ze skromnym przykładem piszącego te słowa, od początku się obawiali, że nie tyle groźny jest sam wirus, ile nasza na niego reakcja, bo wypycha nas w lejek pogarszających się decyzji i leczenia klina klinem. Czyli zaostrzania reżimów w walce z pogarszającymi się wynikami zdrowotnymi, powodowanymi przez nasze działania, a nie przez wirus.

I wychodzi na „nasze”. Pytanie: Co z tym robi koleżeństwo? No, bo parę mandatów się wystawiło, parę kolegów odbyło, paru starsuszków wywlekło z tramwaju i obaliło za „niemanie”. W dodatku, żeby jeszcze w obecności milczących mediów. A gdzież tam! Pamiętamy przecież to, że dziennikarze byli nawet w awangardzie, szpicy obostrzeń, dokręcając na łamach i konferencjach śrubę rządzącym, że za mało się starają. Gdzie są dzisiaj ówczesni przodownicy covidowych żniw?

Ano... zaczynają pękać na tyle, że są snute różne warianty, dlaczego media tu odpuszczają. Otóż ostatnio natknąłem się na duży artykuł o tym, że zaszczepieni mają się czego bać. Pełen przekaz z antyszczepionkowego podziemia. Ba, nawet sanitarny ból Onet dał artykuł, jakby im to pisał płaskoziemca jakiś.

To ciekawy temat. Otóż szczegółarce tropiący różne zjawiska covidowe utrzymują, że mamy do czynienia z bezprecedensowym wysypem gwałtownych zapaści, trwałych uszkodzeń ciała, nawet śmierci w przypadku młodych wysportowanych atletów, i to pod każdą szerokością geograficzną. Tropiciele tej inicjatywy znanej jako #nagle utrzymują, że ma to ścisły związek z faktem zaszczepienia

sportowców i tym, że szkodliwe działania szczepionek ujawniają się szczególnie w zdrowych, wyczynowych organizmach. Ostatnio potwierdził tę tezę właśnie Onet, snując dywagacje na temat nagłej śmierci argentyńskiego piłkarza Navarro. Co ciekawe, faktu statystycznego zjawiska nie zakwestionowano, a oficjalne źródła podają inną przyczynę tego niezaprzeczalnego zjawiska. Otóż sam Bil Gates stwierdził, że za ten fenomen odpowiada... podwyższony poziom CO₂ na stadionach. To coś takiego mniej więcej jak podanie przez ministra Niedzielskiego przyczyn ponadnormatywnych zgonów 200 tys. Polaków. Okazało się, że zaczęli oni nagle wymierać na przełomie października/listopada 2020 r. z powodów złego odżywiania się i nadużywania.

DLACZEGO TAKI ZWROT?

A więc dlaczego media pękają? Przecież to jest przyznanie się do wcześniejszych win, a więc powinny iść w zaparte. Przecież takie enuncjacje są nie w smak przygotowaniom do jesiennych pandemicznych podejść. Bo jak uzasadnić np. powrót maseczek czy izolacji, skoro wychodzi, że bardziej szkodzą, niż pomagają? W to, że się paru dziennikarzy i wydawców nawróciło, wierzę tak słabo jak w to, że się to dzieje przez przypadek. Jednym z bardziej interesujących tłumaczeń nawrotki medialnej, tej w wypadku „Wyborczej”, jest dywagacja, że chodzi tu o to, że nie da się przykryć niesamowitego zjawiska fali chorób zakaźnych, ale można przekłamać jej przyczyny. Czyli z rzeczywistych powodów – masowo chorują zaszczepieni – przełożyć winę na maseczki. To przez nie potraciliśmy odporność. A to znaczy, że maseczki możemy odpuścić, ale szczepień nigdy.

Ale najgorsze jest to, że nic z tego nie wyniknie. Teraz wiemy, jak było (jest?). I co? I nic? Po prostu przyzwyczailiśmy się do dwójmyślenia, możemy obojętnie przechodzić wobec dwóch sprzecznych faktów, zwłaszcza takich, w których sami byliśmy współudziałowcami. A nasz kompromis polegał na tym, że nosiliśmy maseczkę, ale gdy nikt nie widział, to pod nosem. Jesteśmy więc ofiarami lojalności w stosunku do własnego konformizmu. Dla dzisiejszego psychicznego komfortu będziemy, wedle starego porzekadła, eliminować niewygodne dla siebie prawdy, by oddać się kłamstwu, które nie budzi w nas dysonansu, że daliśmy się nabrać jak dzieci.

Nauczycielska dziura



Łukasz Zboralski

W wielu szkołach nie będzie miał kto uczyć dzieci. Nauczyciele przechodzą na emerytury, rezygnują z pracy, a kandydatów na ich następców nie widać. Główny powód to niskie zarobki. Co nas czeka jesienią?

Wydaje się, że dekady polityki ukrywania problemu doprowadziły nas ostatecznie w systemie edukacji do tego samego, z czym boryka się system opieki zdrowotnej – do niedostatku pracowników.

W samej tylko Warszawie brakuje już ok. 3 tys. nauczycieli, a według ostatnich szacunków w całej Polsce – ponad 10 tys. pedagogów. Niestety, liczba wakatów może jeszcze wzrosnąć, bo właśnie obserwujemy odpływ z zawodu. Z badań przeprowadzonych w styczniu wynikało, że w samej stolicy prawie połowa nauczycieli rozważała odejście z zawodu. Dlaczego? 75 proc. z nich jako powód podało wynagrodzenie, 49 proc. wskazało na trudność we współpracy z dzisiejszy-

mi rodzicami dzieci, 29 proc. narzekało na warunki, w których muszą pracować.

POLSKI PEDAGOG NIE ZAROBI

Zatem pieniądze to niejeden powód nauczycielskich rezygnacji, ale jest chyba najpoważniejszy. I był widoczny od zawsze. Dobrze widziałem go sam, gdy kilka lat temu odwiedziłem podczas nieformalnego zjazdu absolwentów bydgoskiego technikum elektroniczne. Przechadzając się po klasach, natrafialiśmy z kolegami na tych samych nauczycieli, których pożegnaliśmy ponad pół wieku temu. Część z nich dawno mogła być na emeryturach, ale wciąż pracowała. – A kto tu przyjdzie? – mówił mi wtedy zaszepiony wykładowca przedmiotów zawodowych. – Przecież żaden młody fachowiec, który zna się na urządzeniach elektronicznych, nie będzie chciał zacząć za takie pieniądze – wzdychał. I to nie jest wyjątek. W Technikum Mechatronicznym w Warszawie – jednym z najlepszych w Polsce – wciąż uczy nauczyciel, który ma 82 lata, a dyrektor tej szkoły przyznał niedawno „Gazecie Wyborczej”, że „nie pamięta”, kiedy zatrudnił w placówce młodego nauczyciela. Młodzi w jego kadryze to obecnie 40-latkowie. Wielu ma uprawnienia do emerytury.

Wejście do zawodu to chyba najpoważniejszy problem i jedyny, którego nie udało się od dekad rozwiązać. O ile pensje nauczycieli – choć wciąż relatywnie niskie

– udawało się czasem podwyższać, o tyle system awansu zawodowego sprawia, że młody człowiek chcący uczyć w szkole musi pogodzić się z tym, że dostanie na konto co miesiąc mniej, niż gdyby stanął w pierwszym lepszym spożywczaku za ladą. Minimalna pensja nauczyciela stażysty to obecnie 2397,56 zł na rękę (przyjmijmy uproszczone odniesienie do minimalnych zarobków, bo składowe pensji nauczycieli są skomplikowane – w grę wchodzi liczba godzin, dodatki motywacyjne, dodatki za wychowawstwo itd.). Kogo to może skusić? I nie mówmy już nawet o tych, którzy mieliby uczyć przedmiotów zawodowych, czyli wiedzieć coś o jakiejś branży z rynku, ani tych, którzy świetnie władają językami obcymi. Jaki nauczyciel zwykłych przedmiotów, np. ze szkoły podstawowej, ma chcieć zacząć pracować za taką pensję?

Tym bardziej że perspektywa podwyżek jest niewesoła. Dopiero po roku i dziewięciu miesiącach bycia nauczycielem stażystą za 2,4 tys. zł można zostać nauczycielem kontraktowym. Wówczas minimalna pensja to całe... 2466,67 zł. Żeby osiągnąć kolejny próg wynagrodzenia – tytuł nauczyciela mianowanego – trzeba przepracować dwa kolejne lata i potem odbyć następny, dziewięćmiesięczny staż. Minimalna pensja nauczyciela mianowanego to 2800,81 zł na rękę. I znów kolejne dwa lata i dziewięć miesię-



FOT. ANDRZEJ STOK

cy z taką pensją, by móc zostać nauczycielem dyplomowanym, którego minimalne wynagrodzenie netto to 3289,43 zł. W praktyce jeden etat, trochę nadgodzin i wychowawstwo dają w szczytowym osiągnięciu zawodowym trochę ponad 4 tys. zł na rękę miesięcznie. Po prawie dekadzie spędzonej w szkole! W dodatku rządowy Polski Ład skończył się dla 20 proc. nauczycieli niższymi poborami.

System awansu zawodowego sprawia, że młody człowiek chcący uczyć w szkole musi pogodzić się z tym, że dostanie na konto co miesiąc mniej, niż gdyby stanął w pierwszym lepszym spożywczaku za ladą

To smutna prawda o tym, jak wynagradzamy tych, którzy uczą przyszłe pokolenia w Polsce. Najlepiej widać to na przykładzie zarobków nauczycieli w innych krajach. W raporcie OECD sprzed trzech lat (Education at a Glance, 2019 r.) polscy nauczyciele szkół podstawowych z 15-letnim stażem pod względem płac zajęli szóste miejsce od końca. Gorzej

było tylko w przeżywającej wówczas kryzys gospodarczy Grecji, na Węgrzech, Litwie, Słowacji i w Czechach. Polski nauczyciel zarabiał zaledwie ok. 57 proc. średniego wynagrodzenia nauczycieli w Unii Europejskiej i w krajach OECD. Jeszcze gorzej wypadało zestawienie zarobków nauczycieli szkół podstawowych w szczytowej fazie kariery. Gorzej niż polscy pedagogowie opłacani byli tylko ci na Litwie i Słowacji. Wynagrodzenie polskiego nauczyciela wynosiło zaledwie 50 proc. średniej zarobków nauczycieli w krajach UE i krajów OECD.

UCIECZKA DO CHMURY?

Rząd chce zmienić Kartę nauczyciela. To jednak tylko lekkie modyfikacje wprowadzonego 22 lata temu fatalnego systemu awansu zawodowego. Co z tego, że od 1 września 2022 r. nauczycielem mianowanym będzie można zostać o rok szybciej – z pominięciem nauczyciela kontraktowego – skoro z najniższą pensją będzie trzeba przepracować prawie cztery lata? Jak to ma przyciągnąć do zawodu młodych ludzi?

Kolejna zmiana to po prostu mniej biurokracji. Nauczyciel starający się o następny stopień zawodowy nie będzie musiał odbywać sformalizowanego stażu, lecz wystarczy, że wylegitymuje się odpowiednim okresem pracy w szkole. Czyli nadal podwyżki będą przyznawane

nauczycielom za zasiedzenie, a nie za to, jak dobrzy są w swojej pracy.

Nikt w Polsce nie ma odwagi zaproponować, by o wynagrodzeniu nauczycieli decydował dyrektor. On przecież widzi, kto pracuje świetnie, a kto słabiej – i często nie ma to związku ze stażem. Choć jednak wszyscy w kraju oficjalnie uważają demokrację bezpośrednią za wartość, to już w tej szczegółowej sprawie wyrażają przekonanie, że w takim wolnorynkowym systemie wynagradzania wpływ na pensje nauczycieli miałyby lokalne koterie i związki z władzami szkoły czy samorządu. A przecież dyrektorów szkoły mianują te same władze, które wybierane są przez obywateli...

Rząd proponuje też podwyższenie pensji nauczycielom... o 4,4 proc. W obliczu inflacji, która tylko oficjalnie sięga 14 proc., taka podwyżka nie tylko nie zachęci młodych osób do wyboru tego zawodu, lecz także nie zatrzyma exodusu obecnych pedagogów.

Czym skończy się w przyszłym roku ten niedobór nauczycieli? Coraz większymi problemami z zapewnieniem dzieciom porządnej edukacji. Można więc zakładać, że zniechęceni tym rodzice jeszcze częściej niż obecnie będą się decydować na edukację domową. Szlak tu przetarła już pandemia. Projekty takie jak „Szkoła w chmurze” zdobywają ogromną popularność. Trudno się dziwić. Okazało się, że niektóre dzieci potrafią w spokoju same uczyć się z nauczycielem widocznym wyłącznie na ekranie komputera. Rodzice takich pociech sami już wcześniej decydowali się na odebranie ich ze szkół. Teraz, gdy od września część dzieci będzie miała często zastępstwa – albo przemęczonych nauczycieli na kilku etatach w kilku szkołach – rodzice będą mieli dodatkową motywację, by na innym gruncie zapewnić dzieciom lepsze wykształcenie.

To oczywiście będzie niosło kolejne problemy. Już dziś coraz częściej nauczyciele obserwują problemy wychowawcze (nie bez kozery wśród powodów rezygnacji z zawodu wymieniają m.in. coraz trudniejsze relacje z rodzicami). Na kogo wyrosną rzesze młodych ludzi coraz częściej pozabawiane szkolnej socjalizacji – miejsca, w którym nie tylko liczyło się to, czego chcą oni, lecz także w którym trzeba było się też liczyć z tym, czego chcą inni i umieć współpracować w grupie?

Córk wojny



Piotr Góciek

„Stój prosto i się śmieję, śmieję im się prosto w twarz” – wita rosyjskiego agresora Tamara Duda w powieści „Córeczka”. „W tobie Ukrainy znajdzie się dosyć. Bo ty nią jesteś”

Jak to się stało? Wydaje nam się, że wiemy, ale to nieprawda. Odwijamy dopiero prawdę z kolejnych warstw fałszywych przeświadczeń. „Jeśli kiedyś ktoś spisie kronikę tej wojny, to pierwsze trzy zwoje może bez wahania zatytułować »Chaos, anarchia i brawura« – mówi bohaterka powieści »Córeczka« po przybyciu na front. – Składniki tej

sałatki dawno się wymieszały, gdzie swoi, gdzie obcy – nie wiadomo. Gdybyśmy walczyli według zasad kinowych komandosów – czyli najpierw strzelali, a potem zadawali pytania – wszyscy dawno powystrzelaliby się nawzajem”.

To ta sama wojna, ale jeszcze wciąż inna wojna. „Córeczka” Tamary Dudy jest opowieścią o tym, jak zaczęła nakręcać

się spirala walk w Donbasie w roku 2014, tyle że potrzebne nam tu słowo „także”. Bo przede wszystkim jest to kapitalna opowieść o dorastaniu, o silnych kobietach w trudnych czasach, które – żadna nowość dla mieszkańców strefy postsowieckiej – muszą na swych barkach nieść cały świat. O tym, jakim bezkresem bezprawia była Ukraina przedmajdanowa (Na ile się

Dlaczego Donbas? Tamara Duda w rozmowie z tłumaczem objaśnia: „Donbas to punkt zerowy, miejsce mocy, w którym wybrzmiały najważniejsze pytania”. Na zdjęciu: mieszkanka leżącego pod Donieckiem Iłowajśka, który w 2014 r. przetrwał tygodnie ciężkich walk, gotuje obiad na otwartym ogniu. FOT. SPENCER PLATT/GETTY IMAGES



biorcze i trochę wykorzenione. W szkole wykpiwana, bo za chuda (nazywano ją Elfem, a ojciec wołał na nią „Cho no tu!”), oddana pod opiekę babci z Doniecka („W siedemnastej wiosnie życia dowiedziałam się, że mam babcię. O istnieniu Doniecka wiedziałam już z gazet”). Wkrótce właścicielka dobrze prosperującego biznesu, który trzeba było ukrywać, żeby o zarobkach nie dowiedzieli się rekieterzy.

Potem przychodzi Majdan. Dobrze znany świat wokół wchodzi w strefę turbulencji, których skutków nikt się jeszcze nie spodziewa. Tyle że w Doniecku nie wygląda to tak jak w Kijowie. Sąsiedzi w żadne dobre intencje protestujących nie wierzą. A w co wierzą? „Wierzyli w Prawy Sektor, banderowców, chupacabrę i desant Marsjan. Kijowa już nie ma, obrócony w perzynę. Amerykańscy dywersanci zatruli wodę, więc można pić wyłącznie butelkowaną. Stołeczna władza kazała wysadzić w powietrze kopalnię i zatopić Donieck. Na Majdanie spalili »naszych chłopców«, a jednemu z funkcjonariuszy Berkutu wykłuli oczy” – wylicza legendy miejskie bohaterka „Córeczki”. I sztydzi bezlitośnie: „Wtargnęli do domu kobiety z bronią w rękę i przestrelili jej nogę. Do jakiego domu? Do jakiej kobiety? Każdy z opowiadających miał swoją wersję, więc biedaczka kuśtykała z przestrzelonym kulasem od Słowiańska do Gorłówki i z powrotem”.

Pod pomnikiem Tarasa Szewczenki w Doniecku zbierają się tylko nieliczne grupki aktywistów. „Łatwiej było w internecie. Dołączyłam do patriotycznej grupy na Facebooku i VKontakte, bohatersko lajkowałam odpowiednie posty”. Czarny humor, kpina i ironia mieszają się w tej powieści z tragedią, rozpaczą i ze strachem. Znamy ten styl opowieści aż nadto, tak naprawdę to ponadnarodowy, rozpowszechniony głównie w Europie Środkowej i Wschodniej sposób radzenia sobie z grozą XX stulecia. A teraz, jak widzimy, także XXI stulecia.

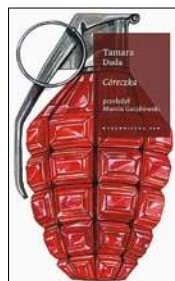
Odejdę na chwilę od „Córeczki” – pamiętam, że w „Dzienniku ukraińskim” Andrij Kurkow odnotowywał skutki szeptanej i oficjalnej propagandy w roku 2014 na Krymie. Niepokój mieszkańców, lęk i tęsknotę za „rosyjskim porządkiem” wywoływały „wzniesiane przez plotki o tym, jak to dziesiątki autobusów z »bandami Bandery« z zachodniej Ukrainy jadą do Sewastopola, aby przygotowywać w mieście protesty i pełne

przemocy rozruchy”. Jeśli chodzi o portret społeczeństwa ukraińskiego okresu przełomu, to obie te książki świetnie się uzupełniają („Córeczka” i „Dziennik ukraiński”; przy okazji – wkrótce ukażą się zapiski Kurkowa z wiosny tego roku, czyli czasu pełnoskalowej wojny).

ODPOWIEŹ ELFA

Rok 2014 to czas przemiany bohaterki „Córeczki”. Historia woła, Elf odpowiada, bo nie może zrozumieć: „Zrzucają flagi Ukrainy z taką łatwością, jakby nasze państwo było z kartonu, a ja nie mogę pojąć – czyli ta flaga, to państwo, były tylko dekoracją? Dlaczego milicja przyczepiła sobie wstążeczki Świętego Jerzego i stoi z założonymi rękoma? Dlaczego śmieją mi się w twarz, kiedy pytam ich o przysięgę i godność munduru? I dlaczego tutaj, w domu, wszyscy są tacy spokojni, nikt nie bije w tarabany, nie wybiega boso na drogę, nie wzywa pomocy? Miasto opanowali pasażerowie autobusów na rosyjskich numerach”.

Genialna projektantka lamp, witraży i żyrandoli, pozeraczka książek i była pracowniczka supermarketu zamienia się w mściciela. Jest w niej wściekłość, odwa-



★★★★★
TAMARA DUDA
„CÓRECZKA”
KOLEGIUM
EUROPY
WSCHODNIEJ
2022

ga, jest wręcz herbertowskie przekonanie: „Stój prosto i się śmiej, śmieć im się prosto w twarz. Nawet jeżeli wokół ciebie nie ma Ukrainy, choćby była tylko pustką i lodem, nawet jeśli zapanują w niej egipskie ciemności, w tobie Ukrainy znajdzie się dosyć. Bo ty nią jesteś”.

Powstają samozwańcze, operetkowe „republiki ludowe”, powstaje i ruch oporu, no a na granicy obwodów – prawdziwy front („Ukraińska władza ustąpiła, rosyjska nie nastąpiła, a to, co powstało w międzyczasie, nie jest godne miana republiki, choćby kryminalnej”). Wojna jest wciąż dziwna, granice przebiegają w sposób nieoczywisty – pamiętamy to z wybitnej powieści Serhija Żadana „Internat”. Peregrynacje wojenne Elfa, jej kolejne role – partyzantki, szpiega,

to zmieniło? Konia z rzędem temu, kto wyważy), wreszcie o miłości, także tej matczynej, także tej babcinej, o miłości, która ratuje świat, bo daje siłę tym, którzy z tym światem zmagać się muszą.

ŚWIAT W STREFIE TURBULENCJI

Główna bohaterka „Córeczki” to dziewczę nad wyraz bystre, przedsię-



Tamara Duda była w Doniecku tylko raz w życiu, „kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o rewolucji i wojnie”, ale jej wizja jest niesłychanie wiarygodna i przekonująca. FOT. VOLODYMYR D-K CC BY-SA 4.0

■ wolontariuszki pomagającej organizować ewakuację – muszą u czytelnika wzbogacać o wiedzę z ostatnich miesięcy wywoływać dodatkowe emocje: oto dzieci ewakuowane wynajętym bussem do Krzemieńczuka, bo tam bezpieczniej. Centrum handlowe w Krzemieńczuku zostało, jak pamiętacie, ostrzelane niedawno rakietami przez Rosjan. Czytamy Dudę i co rusz trafiamy na doskonale znane z serwisów informacyjnych nazwy: Mariupol, Słowiańsk, Mikołajów, Kramatorsk. I dowiadujemy się, jak wyglądała wojna wtedy, już po zaborze Krymu i w trakcie odrywania przez Moskwę wschodniej Ukrainy, a jeszcze przed porozumieniami mińskimi, zanim front okrzepł i stał się miejscem regularnej wojny – wojny, która weszła w nową fazę 24 lutego tego roku.

Wielka jest siła literatury, wielka jest siła talentu. Jak dowiadujemy się z posłowa tłumacza, Marcina Gaczkowskiego, Tamara Duda była w Doniecku tylko raz w życiu, „kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o rewolucji i wojnie”. Ale jej wizja wysnuta z obfitego researchu, niezliczonych rozmów, lektur jest niesłychanie wiarygodna i przekonująca – wiem, bo mogłem porównać ją z relacjami zarówno reporterów, jak i naocznych świadków (Siergiej Łożnica, inspirując się autentycznymi filmikami z YouTube, nakręcił wstrząsający film fabularny „Donbas”). A poza tym to przecież nie jest typowa powieść wojenna,

Książki o wojnie w Donbasie

• SERHIJ ŻADAN „INTERNAT” Wydawnictwo Czarne 2019

Porównywana z „Drogą” McCarthy’ego podróż przez ciche piekło dziwnej wojny. „Czas się zatrzymał, nic nie zostało, nikogo nie żal. Nigdy nie zdołam się stąd wydostać, nikomu nie uda się wydostać stąd żywym, wszyscy tu zostaniemy, wszyscy padniemy pod martwą wodą. Nie wiadomo, gdzie granica, kto swój, kto obcy, przemoc wybucha bez powodu w niespodziewanych miejscach, społeczeństwo rozpadło się na atomy” – boi się Pasza, jej główny bohater.

• PETRO JACENKO „MAGNETYZM” Wydawnictwo Warstwy 2020

Gadżet, uciekinierka z Donbasu, obdarzona jest niezwykłą mocą – gdy dotknie metalu, widzi jego historię: gdzie wyprodukowano pocisk, gdzie go składowano, przez kogo był wyrzuty, w kogo trafił. Realizm zamienia się w realizm magiczny, Gadżet szuka nowego życia, walczy z dawnymi traumami (nie tylko wojennymi), a gorzkim mottem książki jest pytanie: „Dlaczego nie obroniliście swego miasta?”.

• WOŁODYMYR RAFIEJENKO „NAJDŁUŻSZE CZASY” Kolegium Europy Wschodniej 2020

Z chwilą wybuchu wojny w mieście Z przestają działać prawa ludzkie, boskie i fizyki. „Możesz jeszcze za życia zasłużyć na Ukrainę wieczną i piękną, a możesz na wieki prorosyjskie Z”. W postaci miasta Z w Donbasie objawia się już nie Trzeci, ale Piąty Rzym. Skąd brać nadzieję? Mimo wszystko lepiej być głupcem ufnym we wszystko na świecie aniżeli takim, który w nic a nic nie wierzy – odpowiada jeden z bohaterów fantasmagorycznej miejskiej ballady.

• GRZEGORZ SZYMANIK, JULIA WIZOWSKA „PO PÓŁNOCY W DONIECKU” Agora 2016

Reportaż o powstaniu i codzienności tzw. Donieckiej Republiki Ludowej – kim są ci, którzy ją wymarzyli (a nawet opisali na kartach militarnych powieści science fiction), ci, którzy muszą w niej żyć, i ci, którzy są z takiego życia zadowoleni. „Dzieci w Doniecku kończą rosyjskojęzyczne szkoły i rosyjskojęzyczne uczelnie i nie ma dla nich pracy w Kijowie. Dlatego biorą w ręce rosyjską flagę i krzyczą, że tu jest Rosja” – opowiada Zoja.

• TOMÁŠ FORRÓ „APARTAMENT W HOTELU WOJNA” Czarne 2022

Reportaż z Donbasu pióra słowackiego reportera. „Historię, której fragmenty przez trzy lata cierpliwie zbierałem w strefie wojny w Donbasie, rozmawiając z setkami jej uczestników i dokonując analiz, najchętniej nazywam anatomią wojny” – podsumowywał. Ponury list z przeszłości, bo czas zbierania informacji to lata 2016–2019, tymczasem pełnoskalowa inwazja rosyjska sprzed kilku miesięcy zmieniła sytuację. Na gorsze.

to historia dojrzewania do dorosłości, do bycia świadomym obywatelem, odkrywania obowiązków do wykonania, w których nikt nas nie może zastąpić.

PUNKT ZEROWY

Dlaczego Donbas? Tamara Duda w rozmowie z tłumaczem objaśnia: „Donbas to punkt zerowy, miejsce mocy, w którym wybrzmiały najważniejsze pytania”. I dalej: „Właśnie tam ukryto najważniejsze odpowiedzi. Tam, gdzie wszystko się zaczęło, wszystko znajdzie swój koniec, kiedy historia zatoczy kolejny krąg...”. Ciekawa rzecz, Artem Czech podobny tytuł dał swojej książce napisanej po ponad-roczonej służbie wojskowej w Donbasie. (Jego „Punkt zerowy” ukazał się w Polsce nakładem lubelskich Warsztatów Kultu-

ry). Tworzących w okopach pisarzy było więcej, wspominałem niegdyś o świetnym tomie poezji Borysa Humeniuka – „Wiersze z wojny”. Pisarze, pisarki, walczyli i nadal walczą o wolną Ukrainę. Niektórzy oddali życie, jak lwowski poeta Jurij Ruf, zabity przez Rosjan na początku kwietnia.

Punkt zerowy. Punkt zwrotny. Punkt, po osiągnięciu którego nic nie będzie już takie samo. Często ludzie żyjący w przełomowych momentach historii nie dostrzegają ich wagi, potrzebna jest perspektywa dekad i stuleci, potrzebna jest późniejsza refleksja historyków. Mieszkańcy Ukrainy – śmiem twierdzić, że nie tylko pisarze – chwilę przełomu dostrzegają. Polacy, jak sądzę, w dużym stopniu również. A reszta świata?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Rozmowa z byłym
agentem KGB Olegiem
Kaługinem!

Jurij Felsztinski – Tak zabija Putin!

Grzegorz Janiszewski – Polowanie na wrogów Kremla

Tymoteusz Pawłowski – Trucizny i skrytobójstwa

Piotr Zychowicz – Polska hrabianka w Abwehrze

Gerald Blaine – Byłem ochroniarzem Kennedy'ego

Arkadiusz Karbowski – Komandosi Hitlera atakują!

Tomasz Stańczyk – Kresowa saga Weyssenhoffów

Rafał A. Ziemkiewicz – Rzeczpospolita Narodów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Nauki Yanga

Czy chcielibyśmy wskrzesić ulubioną lodówkę? Raczej nie. Z ukochanym psem poważniejsza sprawa.

Techno-sapiens imieniem Yang (gra go Justin H. Min) to coś więcej niż jedno i drugie. W filmie południowokoreańskiego krytyka i reżysera kryjącego się pod pseudonimem Kogonada oglądamy przyszłość, w której powszechną praktyką jest kupowanie sztucznych istot służących za rodzeństwo i opiekunów prawdziwym dzieciom. Kiedy Yang się zepsuje, możliwości są dwie: naprawić albo zutylizować. A gdy naprawić się nie da? W przypadku lodówki wybór byłby prosty. Ale Yang... Yang jest czymś więcej.

Wiele mieliśmy podobnych rozważań, ale Kogonada wznosi je na najwyższy

artystyczny poziom. Jego film, zachowując wszelkie cechy kina gatunkowego (jest odpowiedni sztafaż, jest zagadka, a nawet dwie), staje się medytacją na temat tego, czym w istocie jest człowieczeństwo, co czyni nas wyjątkowymi i decyduje, że jesteśmy szczęśliwi. Wewnątrz Yanga kryje się eksperymentalne oprogramowanie; twórcy dali mu możliwość rejestrowania chwil, które uważa za szczególnie cenne. Co wybierze sztuczna istota? Czym się będzie kierować? Przeglądając nagrania Yanga, jego właściciel Jake (Colin Farrell) odkrywa życie sekretne techno-sapiens, ale spogląda także na życie własnej rodziny w zupełnie nowy sposób.

Imponujący jest sposób, w jaki opowiedziana została ta historia. To

KINO

kino niskobudżetowe, ale zachwycające każdym kadrem. Kogonada to uznany twórca wideoesejów, nowej formy krytyki filmowej, w której pogłębiony komentarz towarzyszy montażowi omawianych cech dorobku danego twórcy lub pojedynczego dzieła. Twórca „Yanga” nakręcił takie eseje m.in. o Robertcie Bressonie czy Stanleyu Kubricku, ale jego ukochanym reżyserem pozostaje Yasujiro Ozu, geniusz japońskiego kina, którego twórczości poświęcił dwie prace. Widać tę fascynację Ozu (twórcą „Tokijskiej opowieści” czy „Dryfujących trzciny”) w „Yangu” w opowiadaniu obrazem, w delikatności i intymności całego filmu. O tym, że kluczowy po pojawieniu się sztucznego człowieka będzie egzamin nie z jego, lecz z naszego człowieczeństwa, fantastyka już opowiadała. Być może ów przybysz nawet nas wzbogaci? Jeśli to optymizm, to tragiczny. Bo co się, u diabła, z nami stało, jeśli życia musi nas uczyć Yang? ©©



★★★★★
REŻ. KOGONADA
„YANG”
(„AFTER YANG”)
USA 2021

wyst. Colin Farrell,
Jodie Turner-Smith,
Justin H. Min



NOWE SERIALE: „MOON KNIGHT”

Bohater zwany Moon Knight pojawił się w komiksach Marvela w roku 1975, w Polsce znany go od 2018 r. („Z martwych”, tom 1; scen. Warren Ellis). Za miniserię wyprodukowaną dla Disney+ odpowiada Jeremy Slater, który mocno przyczynił się do sukcesu hitu Netflixa „The Umbrella Academy”. Moon Knight to prywatnie

Marc Spector, najemnik, który cierpi na rozdwojenie jaźni (nawet rozstrojenie) – każda z jego wersji ma niezwykle zdolności. Oryginał komiksowy jest mroczny, wersja telewizyjna odważniej wprowadza humor, najważniejsze jest jednak, że rolę główną gra Oscar Isaac. ©©

• sezon 1 „Moon Knight”, USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• reż. Jasmila Zbanic, „Quo vadis, Aida”, Polska/Bośnia i Hercegowina 2020

CANAL+

• sezon 4 „Magnum: Detektyw z Hawajów” („Magnum P.I.”), USA 2021

FOX

• reż. Park Chan-wook, „Mała doboszka” („The Little Drummer Girl”), Wielka Brytania 2018



Miłość jeżozwierzy

KINO

Włosi mają pięknych miast bez liku, ale zazdroszczą Francuzom Paryża. Ma się rozumieć nie tego realnego, który pada łupem hord turyków, afrykańskiej bandyterki oraz rozgoryczonych prowincjuszy w żółtych kamizelkach, krzyczących: „Macron démission!”. Obsesja dotyczy Paryża magicznego, składającego się z przytulnych kawiarenek, małych sklepików, antykwaratów, wesołych miasteczek, stylowych mostów na Sekwanie, ulicznych grajków tudzież tysięcy świateł i światełek. Z każdego okna widać wieżę Eiffla. Brakuje tylko Amelii. Centralną postacią jest księgarz, tak staroświecki, że nie ma komórki. Trzyma go przy życiu miłość do literatury oraz



★★★★★
REŻ. SERGIO CASTELLITTO
„KSIĘGARNIA W PARYŻU”
(„IL MATERIALE EMOTIVO”)
WŁOCHY/FRANCJA 2021

wyst. Sergio Castellitto, Bérénice Bejo, Matilda De Angelis

córki, która straciła władzę w nogach i milczy jak zakłeta, choć mózg ma nieuszkodzony. Jak to w Paryżu, musi jednak dojść do rewolucji. Do księgarni z impetem wtargnie aktorka z ADHD. Yolande czytanie mężczy, lecz buzia jej się nie zamyka. Pod wrażeniem energii sąsiadki Vincenzo dojrzewa do decyzji, by wyjść z domu nie tylko na papierosa. Film jest ekranizacją powieści Ettore Scoll, wydanej tuż przed śmiercią autora. Spodziewałem się więc czegoś więcej niż fabuły lekkiej jak piórko, okraszzonej bon motami typu „rezygnacja nie zawsze jest porażką”. Ludzie rzeczywiście powinni trochę zwolnić, smakować życie i czytać książki. Ale dlaczego akurat francuskie? ©©

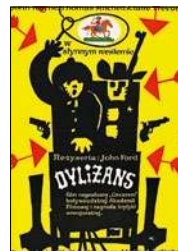
Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TRĄBKA WYTĘSKNIONA

TIP VOD



★★★★★
REŻ. JOHN FORD
„DYŻURNI”
(„STAGECOACH”)
USA 1939

wyst. John Wayne, Claire Trevor, Thomas Mitchell

W Dniu Niepodległości wszyscy, którzy kochają Amerykę (albo jej nienawidzą), powinni obejrzeć western – najbardziej amerykański z gatunków filmowych. Proponuję „Dyżurni” z Johnem Wayne’em, nakręcony przez Johna Forda w słynnej Monument Valley. Król westernu ma tu 32 lata i jeszcze nie jest pomnikową postacią. Zamiast szlachetnego szeryfa gra mściwego rewolwerowca. Dostał za ten występ 3,7 tys. dol., Claire Trevor – 15 tys. Podróżni, osaczeni przez żądnych krwi Apaczów, to USA w pigułce. Garstka porządných obywateli plus zbieg z więzienia, prostytutka, szuler i lekarz pijanica. „Szumowiny” mają jednak swoją godność, a łajdakiem okaże się bankier. Dobrze się to rymowało z ówczesnymi nastrojami bądź też Rooseveltowskim „nowym ładem”. W pierwszej scenie słychać głos trąbki kawalerii federalnej, który bohaterowie zapominają do końca życia. Polacy, Ukraińcy i Białowieżanie też lubią tę melodię.

WYJ, WILKU!

KINO



★★★★★
REŻ. KATARZYNA PRIWIEZIEŃCEW, IGOR PRIWIEZIEŃCEW
„SAMIEC ALFA”
POLSKA 2022

wyst. Adam Bobik, Mirosław Haniszewski, Tomasz Schuchardt

Mizoginia naszej kinematografii, której kamieniami milowymi są „Seksmisja”, „Tato” i filmy Koterskiego, trwa w najlepsze. Polacy czują się coraz bardziej zagrożeni przez płęć piękną. Sekretarka gnębi szefa, żona znęca się nad mężem, teściowa maltretuje zięcia. Pantoflarz Piotr, który musi rzucić palenie, bo tak chce narzeczona, trafia na „kurs ostatniej nadziei”, gdzie poznaje czterech żalonych osobników, marzących o „przejściu do ofensywy” w relacjach z kobietami. Prowadzący kurs terapeuta ma obsesję na punkcie „faszystek”. Niestety, sztycha z coachingu i płciowych stereotypów zamienia się w duszny thriller. Reżyserów debiutantów ciągnie w stronę „High-Rise”, czyli ciężkostrawnego pamfletu na wszystko i wszystkich. Z aktorów najlepiej wypadł Tomasz Schuchardt. Mam nieodparte wrażenie, że „Samiec Alfa” lepiej sprawdziłby w teatrze albo jako radiowe słuchowisko. ©©

Wiesław Chełmniał

GRA TYGODNIA: „TEENAGE MUTANT NINJA TURTLES: SHREDDER’S REVENGE”

Ta krótka (ale odpowiednio jak na swoją długość wyceniona, dostępna też w GamePassie) gra to wehikuł czasu do epoki automatów, NES-ów, SNES-ów i wszelkich ich podróbek oraz klasycznych kreskówek o wojowniczych żółwiach ninja. Stylistyka z pierwszej połowy lat 90. współgra tu

z nowoczesnymi rozwiązaniami, fantastycznym gameplem i doskonałą ścieżką dźwiękową. Do wyboru siedem różniących się umiejętnościami postaci (oprócz żółwi także mistrz Splinter, April O’Neil, a po jednorazowym przejściu przygody – Casey Jones). Świetnie zrealizowany nostalgiczny tytuł



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sprzedający wspomnienia w nowoczesnej, przystępnej formie. Do ogrania solo lub w kooperacji. Millennialsi będą zachwyceni. ©© **Radosław Wojtas**

• **Gatunek:** Akcja, beat’em up
• **Platforma:** XO, PS4, NS, PC
• **Producent, wydawca:** Tribute Games, Dotemu

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Świat z drugiej ręki

Najnowsza powieść Rafała Wojasińskiego nie tylko swoim tytułem nasuwa modlitewne skojarzenia. Niekończące się monologi czy raczej rozmowy tytułowego bohatera z samym sobą przypominają spowiedź, chaotyczną, ale odnoszącą się do niesłuchanie wielu aspektów życia, do historii, do filozofii. Spowiedź osobistą, ale i zbiorową, bo w modlitwie tej słyszemy głosy tych, których nie ma. A przecież byli jeszcze wczoraj i tylko rzeczy pozostały po nich – i one też mają swoje losy. Jak w piosence zespołu Zakopower, każda z nich chciałaby, „żeby ją wziąć na drugą stronę”. Bohater ocala je jednak, przedłużając ich ziemski żywot, a tym samym pamięć o tych, którzy chodzili ulicami miasta, po którym teraz podążamy, krok po kroku, w ślad za Tefilem i jego wyimaginowanym rozmówcą – Rozmarynem, którym tak naprawdę będziesz ty, czytelniku, jeśli sięgniesz po powieść Wojasińskiego.

Dla bohatera „Tefila” życie jest czymś znacznie ważniejszym i poważniejszym niż idea. To cywilizacja usiłuje zrobić z życia ideę, a jemu się to bardzo nie podoba. Dlaczego? Bo ludzkość dokonuje fatalnych wyborów, poczynając od tego, gdy w jakże ważnej dziejowej chwili wskazała ona na Barabasa, nie na Jezusa. Z całą pewnością te nietrafione wybory biorą się z jakże rozpowszechnionej sympatii do tyranów. A to oni winni są zła, którym naznaczyli dni nam dane.

Nowa powieść Rafała Wojasińskiego ma wiele wymiarów, dlatego też uważnie trzeba wsłuchiwać się w Tefilowską logoreę. W krótkim, jednostronicowym wstępie do tej książki wybitny sławista i tłumacz literatury polskiej na angielski Charles Stephen Kraszewski podkreśla, że



FOT. RABEK PETRUSZKA/PAF

ten pisarz „odślania dusze ludzkie równie głębokie, ciekawe i godne poznania jak dusze Lira, Otella i Hamleta”, a »Tefil« to więcej niż powieść, to prorocstwo”.

Jeśli tak jest w istocie, to nie mamy powodów do optymizmu. Tak, na przykład, odnosi się Tefil do „filozofii biegania”, wypionej wprawdzie w „Forrest Gumpie”, wciąż jednak obecnej w naszym życiu. „Ja nie umiem biegać – powiada Tefil. – Bieganie mnie nudzi od samego rana, nie pobiegłbym nawet po tysiąc dolarów. Ludzie biegają, ale nie potrafią przeżyć. Znikają. Nikt nie umie przeżyć. Biegają, budują domy, jeżdżą, zwiedzają, wymyślają nowe silniki, ale nie umieją przeżyć. Ginią gdzieś po lasach, w domach, szpitalach, gdzie wypadnie, wpadają do wody, do studni... Ginią w gliniankach, na pasach, w studzienkach melioracyjnych... Pod kołami samochodów, rowerów, motocykli i pod kopytami koni... Na froncie... Gdzie popadnie. To jest masowe. Wymieranie. Sto pięćdziesiąt pięć tysięcy dziennie. Pięćdziesiąt sześć milionów pięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie. Trumieny interes kwitnie. A będzie nas umierało jeszcze więcej, bo więcej się rodzi. Masowa zagłada”.

No tak, które działki są najdroższe? Naturalnie, na cmentarzach, ale funeralne inwestycje są ryzykowne, całe nekropolie znikają, wystarczy zobaczyć – jak w mieście sportretowanym w powieści – co zostało z cmentarzy żydowskiego czy luterańskiego.

To, kim był Tefil, nie ma żadnego związku z tym, co robił w życiu. Za bohaterem wcześniejszej powieści Wojasińskiego – „Olandy” – mógłby powtórzyć: „Słowa to jedyna racja takich jak ja”. „Kiedyś czyściłem szamba – opowiadał tamten – pracowałem w magazynie z książkami i przy rozładunku drewna, zajmowałem się hodowlą kur i kolczykowaniem byków, ubojem świń i obieraniem cebuli w przetwórnicy warzywnej, sprzątałem w szkołach i paliłem w piecach jako palacz w urzędzie, stróżowałem też na składzie z węglem i wysłodkami buraczanymi. Wszystkie prace lubiłem, ale tak naprawdę nigdy nie wiedziałem, co mam robić w życiu, poza jednym. Wiedziałem, że mam mówić”. Tefil także nie ma powodów, by chwalić się zawodowymi osiągnięciami; był portierem w zakładzie weterynaryjnym, bileterem na kolei wąskotorowej... Ale... „Byłem właściwie szczęśliwy jako podwładny wszystkich podwładnych”. Co należy zadedykować tym, którym marzy się wielka kariera.

Tefil gada; ledwie kończy, już zaczyna, i tak na okrągło; wpada w słowotoki, w których nie tylko pojawiają się całkiem dorzeczne przemyślenia, lecz także myśli godne najtęższych filozofów. Ale przede wszystkim wyciąga wnioski z tego, co widzi i słyszy. I stwierdza: „Wszystko mamy z drugiej ręki. Nie tylko raczy. Także rozum, wiedzę, wiarę”. Wygląda na to, że żyjemy we wszechogarniającym lumpeksie. I tak już nam dobrze, że dobrze nam tak.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
RAFAŁ
WOJASIŃSKI
„TEFIL”
WYDAWNICTWO
NISZA,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Imperium i barbarzyńcy

Specjalnie na lato przetrzymałem sobie na półce powieść „Pamięć zwana Imperium”, bo lubię wakacje ze space operą. Nie żałuję, Arkady Martine (wbrew męsko brzmiącemu imieniu chodzi o autorkę) wzbogaca fantastykę o książkę oryginalną, dobrze napisaną i dającą do myślenia.

Mahit Dzmare, nowa ambasadorka stacji Lsel, przybywa do „planety-serca oraz stolicy Imperium Teixalaanlijskiego”. Imperium jest wszystkim: ekspansywne, niemal wszechmocne. Mahit ma wyjaśnić, dlaczego zginął jej poprzednik, rozeznac się w sytuacji wewnętrznej Imperium i ocenić szanse na ocalenie niezależności stacji Lsel, bo wiele wskazuje na to, że Imperium ma na nią chrapkę. W tego typu freskach zawsze toczy się jakaś gra o tron, więc podobnie jak w „Diunie” znajdziemy się także w centrum skomplikowanej walki o sukcesję.

Tym, co odróżnia – korzystnie – powieść Martine od konkurencji, jest to, że zamiast wyliczać kosmiczne krążowniki i inwestować w malownicze opisy bitew, przygląda się fenomenowi Imperium z innej strony: społecznej, kulturowej, religijnej; od strony soft power. Twór, który ma do zaoferowania jedynie podbój,

nigdy nie będzie prawdziwym imperium. Pamiętacie słowa Marka Aureliusza z filmu „Gladiator”? Mówił do gen. Maximusa, że Rzym jest światłem. Trzeba o nie walczyć, by pokonać ciemność. Wyrznięci Galowie czy Etruskowie byli zapewne innego zdania, ale nie zmienia to faktu, że imperium rzymskie miało do zaoferowania dużo więcej niż miecz. Ale gdzie leży granica? Kiedy fascynacja i naturalny wpływ silniejszej kultury zamieniają się w toksyczny dotyk? Kto, kogo i kiedy ma prawo uważać za barbarzyńcę?

U Martine kluczową kwestią jest pamięć – technologia pozwala w tym świecie korzystać ze wspomnień innych, zmarłych osób. Zatem: także pamięć zbiorowa. Pisarka inspirowała się epizodem z historii Bizancjum, a dokładnie aneksją krótko istniejącego (IX–XI w.) armeńskiego królestwa Ani rządzonego przez Bagratydów. Mnie sposobem objaśniania świata i mecha-

zmów historii książka ta przypomina słynną powieść fantasy „Tigana” Guya Gavriela Kaya, który z kolei inspirował się historią rozdartej zaborami Polski. „Pamięć zwana Imperium” to bardzo dobra książka. Narzekania internetowych recenzentów, że mało w niej akcji, tylko mnie w mym sądzie utwierdzają. ©©



★★★★★
ARKADY MARTINE
„PAMIĘĆ ZWANA IMPERIUM”
ZYSK I S-KA
2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zapiski pisarza z lat 1909–1923; przekład i posłowie Łukasza Musiała. Edycja przywraca oryginalny kształt dzieła, ułożonego wcześniej przez wydawców (pełna wersja ukazała się w Niemczech dopiero w 1990 r.).



FRANZ KAFKA
„DZIENNIKI”
OFFICyna

Podtytuł „Jak Islandia zmieniła świat” jest na wyrost, podobnie jak słowo „historia” w tytule, bo nie jest to wykład historyczny – mamy do czynienia raczej z lamusem ciekawostek. Ale czyta się dobrze, na leżak w sam raz.



EGILL BJARNASON
„WIELKA HISTORIA MAŁEJ WYSPIY”
ZNAK

Premiera polska 30 lat po amerykańskiej. Autor „Hyperiona” i „Pieśni bogini Kali” tym razem proponuje współczesną wersję opowieści o Draculi, w której ważne role odgrywają rumuńscy komuniści i epidemia HIV.



DAN SIMMONS
„DZIECI NOCY”
VESPER

Serial dobry (w Apple TV+), książka lepsza. Mistrz kryminału (m.in. „Śmierć w błękitnej sukience”) o cierpiącym na demencję starcu i ostatniej walce: przywrócona terapia pamięć pomoże rozwiązać zagadkę sprzed lat. ©©



WALTER MOSLEY
„OSTATNIE DNI PTOLEMEUSZA GREYA”
REPLIKA

KOMIKS TYGODNIA:

„LOVE ME PLEASE”
Każdy powinien sobie życzyć komiksowej biografii – na okładce „Love Me Please” Janis Joplin wygląda lepiej niż kiedykolwiek za życia. Walka o akceptację (kłopoty z wyglądem to ledwie mała część), walka z własnymi demonami i uzależnieniami, a jednocześnie geniusz wokalny – wszystko znalazło się w trzymającej się mocno faktów opowieści. Choć jest to przedsięwzięcie francuskie,



NICOLAS FINET, CHRISTOPHER
„LOVE ME PLEASE. HISTORIA JANIS JOPLIN (1943–1970)”
SCREAM COMICS
2022

to widać, że chwytły rysunkowej narracji pożyczono od amerykańskiego klasyka Willa Eisnera (z dobrym zresztą skutkiem). Dodatkowo album zawiera kilkadziesiąt not o ważnych dla Janis postaciach. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pierwszy transport

Zainspirowany rozmową z Barbarą Wojnarowską-Gautier, była więźniarką obozu koncentracyjnego Auschwitz, ofiarą eksperymentów Josefa Mengele, Wojciech Korkuć zdecydował się w 2020 r. wziąć udział w projekcie mającym na celu przywracanie pamięci o pierwszym transporcie Polaków do Auschwitz. 14 czerwca 1940 r. w stronę nowo utworzonego niemieckiego obozu wyruszyła grupa 728 Polaków,

głównie młodych ludzi – harcerzy, studentów, członków podziemnych organizacji niepodległościowych, żołnierzy kampanii wrześniowej, którzy próbowali przedrzeć się na Węgry, do powstającej tam Armii Polskiej.

W latach 2020 i 2021 Korkuć zrealizował w Warszawie w przestrzeni miejskiej projekt przypominający o tym wydarzeniu. Stworzył ekspozycję pełnej kartoteki imion, nazwisk i zachowanych zdjęć pierwszych polskich więźniów Auschwitz. Prezentowana w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, skupiająca się na poszczególnych, najmłodszych osobach z transportu, instalacja Wojciecha Korkucia „Pierwszy transport” jest kontynuacją tamtego projektu. ©©

GDZIE? Warszawa, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski
KIEDY? do 14 sierpnia



FOT. CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ/ZAMEK UJAZDOWSKI



FOT. MUZEUM OKRĘGOWE W TARNOWIE

Z MALOWANYCH WSI

Wizerunki i prace 50 nieżyjących już artystek ludowych, dawnych mieszanek „malowanych wsi” w regionie tarnowskim. Malowanki, wycinanki, ceramika, tradycyjne stroje, zdobienia chat (Muzeum Okręgowe w Tarnowie od prawie 50 lat organizuje konkurs „Malowana chata”) – kolory wiosen, coraz już rzadziej spotykane. Ukłon dla tych, dzięki którym świat tarnowskiej wsi był (jest?) tak barwny i piękny. ©©

GDZIE? Tarnów, Muzeum Etnograficzne
KIEDY? do 31 sierpnia



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Efektowna ściema

Film trwa prawie trzy godziny, więc ścieżka muzyczna zawiera aż 36 nagrań trwających prawie dwie godziny. Tak jak sam film Baza Luhrmanna, będący ciągłą eksplozją bezsensownych błyskotek, tak ścieżka dźwiękowa przypomina krzykliwy produkt skierowany do odbiorcy, który mało wie, kim był Elvis. Po obejrzeniu filmu i wysłuchaniu albumu mam wrażenie, że reżyser poznał twórczość Presleya dzięki 20-sekundowym skrótom piosenek Króla ze Spotify.

Soundtrack zawiera mieszanek podrasowanych (czytaj: zmasakrowanych) nagrań Elvisa, piosenek w wykonaniu odtwórcy głównej roli Austina Butlera i innych aktorów oraz utworów współczesnych gwiazd muzyki (m.in. Måneskin,

Eminem, Diplo, Yola, Denzel Curry). Głównym singlem promującym film jest utwór „Vegas” w wykonaniu raperki Doji Cat. Opiera się on na samplach przeboju „Hound Dog”, ale nie w wykonaniu Presleya, lecz aktorki Shonki Dukureh (?!). Dlatego też album jako całość jest kompletnie niespójny.

Ponoć album ma pokazać, jak wielki jest wpływ Króla na współczesną scenę muzyczną. Mam wrażenie, że najważniejsze dla producenta muzycznego filmu Elliotta Wheelera były szaleńcze tempo soundtracku oraz to, by pojawiało się na nim jak najwięcej przedstawicieli współczesnej sceny hip-hopowej i R&B. To wykonawcy tych nurtów muzycznych sprzedają bowiem dziś najwięcej płyt. ©©



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„ELVIS (ORIGINAL MOTION PICTURE SOUNDTRACK)”
RCA



★★★★★
FASHION CLUB
„SCRUTINY”
FELTE

Współczesny, mroczny blichtrz wywodzący się z gotyckiej sceny lat 80. Fashion Club, czyli Pascal Stevenson, posiada własną tożsamość. Jej głęboki, surowy, gardłowy wokal oraz tępiący hipokryzję tekst są wielkimi atutami tego ważnego, debiutanckiego albumu.

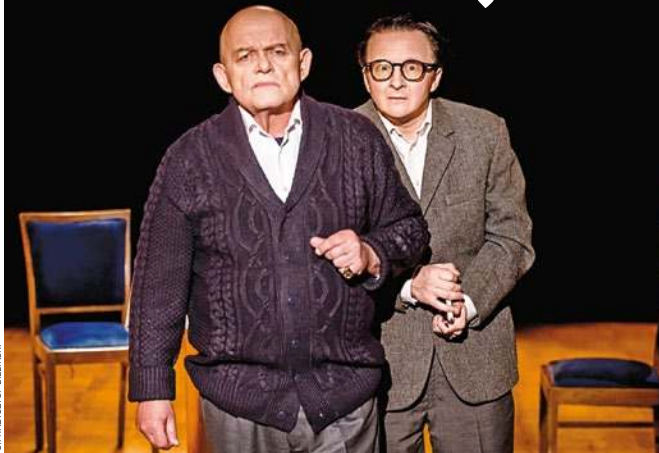


★★★★★
KOMAN BAND
„TWENTY PAST SIX”
GAD

Letnio-nocne klimaty z nostalgicznym powiewem PRL-owskich dancinów. Klawisze budują nastroj, basik funkuję, a saksofonik gra łzawe melodie. Janusz Koman był świetnym aranżerem i mistrzem w tworzeniu muzyki tła. Niepublikowane sesje radiowe z 1980 r. ©©

Wolność, teatr, intonacja

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI



Grzegorz Kondrasiuk

W lipcu warszawski Teatr Dramatyczny zaprasza na przegląd swoich niedawnych premier. Jak co roku, ale tym razem dla niektórych tytułów może być pożegnalny, bo od września dyrekturę Teatru po Tadeuszu Słobodzianku obejmie Monika Strzępka. W ofercie znalazła się „Sztuka intonacji”, bezsprzecznie jedno z wydarzeń mijającego sezonu, realizacja jednej z najlepszych sztuk Słobodzianka, który zbiorom „Kwartety otwockie” dokonał wielkiego powrotu do formy pisarskiej

teatru – krytyka-dramatopisarza-dyrektora. Przypadek zrzucił, że akurat na odejście zaproponował mocną, wręcz manifestacyjną wypowiedź na temat tego, czym jest teatr zawodowy, co go konstytuuje, jakie są jego obowiązki. Jest to wypowiedź wywrotowa w tym sensie, że ostentacyjnie sprzeciwia się większości środowiska teatralnego, które dokonuje rok w rok skrajnego redukcjonizmu rozumienia dzieła teatralnego, sprowadzając pracę w teatrze do aktywistycznej postawy politycznej.

Słobodzianek, dysponujący gorzką wiedzą i brakiem wiary w utopię społeczną realizowaną poprzez sztukę, polemizuje ze środowiskiem postępowym.

Używa figur biograficznych, pokazując, jak utopie się kończą. Zawadski to zniszczony moralnie reżimowy pupil, donoszący na kolegów i nauczycieli; Grotowski – taktyczny konformista. „Wolni jesteśmy tylko w teatrze” – tak brzmią ostatnie słowa umierającego Zawadskiego. Ale znacznie ciekawszy, wręcz fascynujący, jest inny poziom tej polemiki.

Pomysł utworu opiera się na przeciwstawieniu teatru fizycznego (uprawianego przez Grotowskiego) i teatru „sztuki intonacji” (Stanisławski i jego uczniowie). Ta pierwsza, według autora, jest wynalazkiem dworskim, sztuką niewolników zabawiających cesarza. Ta druga jest wyrafinowaną sztuką inter-

pretacji, przynależną ludziom wolnym (w wąskich ramach autonomii sztuki, rzecz jasna...). Słobodzianek tutaj upraszcza, bo chce uderzyć w panoszący się na polskich scenach banał kiepskich performance’ów, fizycznej bezpośredniości rezygnującej z językowych metafor. Ale upraszcza w sposób efektowny, ponieważ używa arcyzmu Ferencgo. Kiedy Mistrz mówi o warsztacie aktora, sztuce intonacji, niuansach interpretacji, wytwarzaniu sensów w teatrze – tym unikalnym i będącym w kryzysie wynalazku zachodnioeuropejskiej cywilizacji – to jednocześnie wykonuje mistrzowską demonstrację, na jakim poziomie taka intonacja i interpretacja powinny być wykonywane. Za dużo dziś w teatrze deklaratywności, posługiwania się ideami bez podparcia, nieweryfikowalnych deklaracji – tymczasem mamy tu i manifest ideowy, i pokaz, na czym polega realizacja idei pięknego, rozumnego mówienia ze sceny.

Dramat dostał reżysera, na jakiego zasługiwał. Anna Wieczur wymyśliła sceniczny świat oszczędny, nieprzystający istoty sprawy. Niewiele środków inscenizacyjnych (czasem akcent muzyczny albo moment uniezwyklenia realistycznego założenia światłem, gestem, sugerującymi introspekcję) to chwalebne unikanie nadmiaru. I tak jest tutaj dużo i gęsto – dużo grania, znaczeń, kontekstów. To koncert aktorski co się zowie, wyrównany, choć z dwiema centralnymi rolami (Lewandowski jest idealnym przeciwnikiem Ferencgo, doskonale precyzyjny w swojej leciutkiej parodii kabotyńskich póź Grot’a). Niech państwo idą na „Sztukę intonacji” – zanim zdejmną. ©

TADEUSZ SŁOBODZIANEK
„SZTUKA INTONACJI”
TEATR DRAMATYCZNY
W WARSZAWIE
REŻ. ANNA WIECZUR

Tytułowy dramat zajmuje pierwszą i trzecią część spektaklu; środkowa to „Powrót Orfeusza”, inny dramat z „Kwartetów...”. Dla widzów nie ma to większego znaczenia, ponieważ oba te teksty łączy – poza tematem – osoba jednego z bohaterów, którego pierwowzorem jest Jerzy Grotowski. Trudno zresztą w przypadku utworu tak wielopiętrowego mówić o jednym temacie, bo rozmowy, które są tu prowadzone, dotyczą eschatologii i sztuki, i jej politycznego uwikłania (z problematyczną kwestią wolności), choć oczywiście na pierwszy plan wysuwa się wątek metateatralny. Jesteśmy zaproszeni do przyglądania się spotkaniom artystów teatru, z ich całą specyfiką: fiksacjami na własnym punkcie, zazdrością, intrygami, narcystycznymi tyradami, przerysowaniem się nazwiskami mistrzów, osiągnięciami, no i nieustannym niepokojem na tle sensu ofiary życia, złożonej, jak to się pięknie i banalnie mówi, na ołtarzu sztuki.

Coś w tym powiedzeniu jednak jest prawdziwego, bo mowa o twórcach awangardy XX w., która ze sztuki uczyniła religię. A bohaterów spotykamy tu nie byle jakich: Jurija Zawadskiego, który był uczniem Konstantina Stanisławskiego i Jewgenija Wachtangowa (Mistrz: Adam Ferency); jego żony Iriny, postaci syntezy wielkich rosyjskich aktorów MChAT (Asystentka: Anna Moskal); Jerzego Grotowskiego (Uczeń/Jerzyk: Łukasz Lewandowski); Tadeusza Kantora (Tadeusz: Modest Ruciński); Ludwika Flaszena (Ludwik: Sławomir Grzymkowski).

Słobodzianek, balansując na granicy fikcji i prawdopodobieństwa, daje tu syntezę nie tylko swoich lektur, lecz także i doświadczeń własnych, ponad 40, lat pracy jako człowieka

Co dalej z Wołyniem?



Wojciech Golonka

Jest rzeczą bez wątpienia paradoksalną, do jakiego stopnia przedstawiciele polskich władz – a zatem zupełnie odrębnego państwa – gotowi są utożsamiać interesy Polski i Ukrainy, zdawałoby się doszczętnie i bezkrytycznie. Ten wszechobecny przekaz i towarzyszące mu postawy tworzą ramy działania i myślenia, realną atmosferę polityczną, która bynajmniej nie jest bez znaczenia, również w przypadku rozpatrywania naszej bolesnej, a nierozwiązanej dotąd wspólnej historii

Od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę Polska niesie naszemu wschodniemu sąsiadowi bardzo daleko idącą pomoc. O skali i determinacji zaangażowania Polaków, ale przede wszystkim naszego państwa, świadczą słowa premiera Mateusza Morawickiego, który uznał, że przetrwanie suwerennej Ukrainy jest wręcz warunkiem sine qua non naszej własnej suwerenności. Abstrahując od meritum tej wypowiedzi, pogląd premiera tłumaczy, dlaczego władze Rzeczypospolitej gotowe są w zasadzie na wszystkie ofiary na rzecz sprawy ukraińskiej, z wyjątkiem bezpośredniej konfrontacji militarnej z Federacją Rosyjską.

Podobna retoryka radykalnego zaangażowania widoczna jest zresztą u innych prominentnych polityków obozu władzy – marszałek Sejmu Elżbieta Witek nazwała Polskę najlepszym ambasadorem Ukrainy na świecie, a prezydent Andrzej Duda mógłby w tym samym duchu zostać uhonorowany tytułem wiceprezydenta Ukrainy honoris causa, co trafnie określałoby jego postawę rzecznika, oddanie i gorliwość w służbie interesów ukraińskiego państwa i narodu.

Jest bowiem rzeczą bez wątpienia paradoksalną, do jakiego stopnia



Prezydent Andrzej Duda oddaje hołd ofiarom rzezi wołyńskiej na terenach nieistniejących już wsi na Wołyniu, 8 lipca 2018 r., 75. rocznica ludobójstwa FOT. JACEK TURCZYK/PAP

przedstawiciele polskich władz – a zatem zupełnie odrębnego państwa – gotowi są utożsamiać interesy Polski i Ukrainy, zdawałoby się doszczętnie i bezkrytycznie. Niezależnie jednak od tego, czy ten stan rzeczy jest tylko silnym wrażeniem, wywołanym przez skalkulowany na potrzeby polityki wewnętrznej bądź międzynarodowej PR, czy może wspomniany dyskurs rzeczywiście wiernie oddaje poglądy decydentów politycznych, jest oczywiste, że ten wszechobecny przekaz i towarzyszące mu postawy tworzą ramy działania i myślenia, realną atmosferę polityczną, która bynajmniej nie jest bez znaczenia, również w przypadku rozpatrywania naszej bolesnej, a nierozwiązanej dotąd wspólnej historii. W tej atmosferze identyfikacji wzajemnych interesów i budowania pogłębionych partnerskich stosunków nie brak zatem optymizmu i nadziei, że obecna sytuacja definitywnie odmieni stosunki polsko-ukraińskie, przez co przeszłość rzeczywiście będzie *passé* – zamknięta. Nurtuje mnie jednak wątpliwość, czy podobne zabliznienie ma nastąpić na oczyszczonych czy wciąż ropiejącej ranie.

Do tych nierozwiązanych – politycznie, moralnie i praktycznie – a rzeczywiście niezmiernie bolesnych kwestii należy przede wszystkim rzeź wołyńsko-galicyska, czyli bestialskie ludobójstwo ludności polskiej na terenach II Rzeczypospolitej w latach 1943–1945 z rąk nacjonalistów ukraińskich, przy udziale także lokalnej ludności ukraińskiej. Wydarzenia te, dzięki uchwale Sejmu Rzeczypospolitej z 2016 r., upamiętniane są 11 lipca Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP.

PYTANIE O CENĘ

Wobec wspomnianej atmosfery politycznej, w związku z zagadkowymi deklaracjami i sygnałami płynącymi z szeroko rozumianej rodziny politycznej Prawa i Sprawiedliwości, zachodzi uzasadnione pytanie, czy w tej kwestii, a ściślej mówiąc: czy i w tej kwestii – bo przecież Zjednoczona Prawica przyzwyczaiła nas do bohaterstwo wykonywanych kroków w tył, jeśli chodzi o afirmację własnego stanowiska na arenie międzynarodowej – nastąpi również zwrot, rozmycie tudzież wyciszenie tego mocno nagłaśnianego w ostatnich latach społecznie i politycznie tematu, który

okazałby się przeszkodą dla strategicznego rozkwitu przyszłej polsko-ukraińskiej współpracy.

Otóż władze Rzeczypospolitej, podczas międzyrządowych konsultacji w Kijowie na początku czerwca, podpisały z przedstawicielami Ukrainy memorandum dotyczące wydania zgód na poszukiwania, ekshumacje, pochówki i upamiętniania ofiar po obu stronach granic. Chodzi zatem o polskie ofiary ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów, jak też, najwyraźniej, o ofiary ukraińskie podczas akcji „Wisła” w latach 1947–1950, wymierzonej przez władze PRL w operujące na ziemiach polskich siły Ukraińskiej Powstańczej Armii oraz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Dokładna treść memorandum nie została podana do publicznej wiadomości, z powyższych informacji wynika jednak, że ceną za możliwość upamiętnienia i godnego pochowania ofiar rzezi wołyńskiej jest przyznanie Ukrainie prawa do upamiętniania (doprecyzowując pojęcie: a więc i czczenia) na terytorium Polski bojowników UPA i OUN, którzy zginęli w starciu z ówczesnymi siłami bezpieczeństwa komunistycznego państwa polskiego. Komentarze polityczne po stronie polskiej pozostawiają zresztą pewne zagadkowe, acz rodzące obawy niedomówienie.

Sygnatariusz memorandum, minister kultury i dziedzictwa narodowego, a zarazem wicepremier, prof. Piotr Gliński, w wypowiedzi dla „Polska Times” pozytywnie ocenił przemianę w obopólnych relacjach, podkreślając zrozumienie dla polskich postulatów ze strony władz ukraińskich. Jednocześnie wicepremier

zaznaczył, że są to kwestie wrażliwe i trudne, a diabeł – ucieleśniony w jego oczach przez Rosję, jej popleczników i pożytecznych idiotów – tkwi w szczegółach. Nie objaśnił jednak, co dokładnie miał na myśli.

Jeszcze bardziej enigmatyczna zapowiedź wybrzmiała ze strony szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michała Dworczyka w wypowiedzi dla Polsat News. Z jednej strony nazwał on memorandum „gestem dobrej woli”, z drugiej oznajmił: „Będziemy mieli do czynienia za chwilę z wielkim egzaminem, który będzie musiała zdać klasa polityczna ukraińska, ale również polska, społeczeństwo ukraińskie, ale również polskie. Na tych emocjach, na tej dramatycznej historii na pewno będą chcieli zbić negatywny kapitał Rosjanie i wszystkie środowiska nieprzychylnie współpracy polsko-ukraińskiej”.

Trudno orzekać z wyprzedzeniem, jaki tym razem „wielki egzamin” czeka społeczeństwo polskie, choć chciałoby się powiedzieć, że ma ono już prawo być znużone kolejnymi turbulencjami po dwóch latach nieskutecznej polityki sanitarnej, chaosie reformy podatkowej, przepychankach na linii Warszawa – Bruksela w kwestii Funduszu Odbudowy, przy galopującej inflacji, kilkumilionowej fali uchodźczej, astronomicznych cenach paliwa oraz w dobie widma kryzysu energetycznego – jednym słowem: Panowie, litości! Przede wszystkim jednak wypowiedź ministra Dworczyka wyraźnie zapowiada „przestrojenie” narracji, z którym może nie być w ogóle po drodze Polakom, ale które należy pokornie przyjąć pod groźbą bycia zaszufładowanym do obozu popleczników Kremla.

Na tym jednak nie koniec – rzecz jest tym bardziej intrygująca, że oprócz wspomnianej przeze mnie perspektywy możliwości czczenia bojowników UPA i OUN na ziemiach polskich, z racji faktu, że byli zwalczani przez komunistów, pojawiły się także wiarygodne dziennikarskie przecieki sygnalizujące, że w imię swoistego dealu od Polaków będzie wymagać się milczenia na temat kultu Stepana Bandery na Ukrainie, w zamian za co Ukraińcy wyrzekną się z kolei kultu Romana Szuchewycza. W tym domniemanym porozumieniu chodzi o to, że Bandera, ikona ukraińskiego nacjonalizmu, był więziony przez Niemców w okresie, kiedy oddziały UPA rozpoczęły czystki etniczne ludności polskiej – dla

Możliwość godnego pochówku ofiar ludobójstwa jest w dobie obecnej po prostu podstawowym standardem wedle „zachodnich wartości”, w obronie których Ukraińcy ponoć przelewają obecnie swoją krew. Wydawanie zwłok pomordowanych ludzi w zamian za coś byłoby jedynie dalszą kontynuacją dokonanego już bestialstwa

Strony ukraińskiej nie ponosi więc za nie żadnej odpowiedzialności, nawet moralnej, podczas gdy Szuchewycz, jak wskazują polscy historycy, należał w tym czasie do ścisłego kierownictwa OUN-B (ciała politycznego, któremu moralnie przewodził Bandera, do którego zresztą odnosi się litera B określająca banderowców), a zarazem do dowództwa podlegającej jej UPA, odpowiedzialnej z kolei za realizację ludobójstwa.

Ponieważ ten wątek nie jest jeszcze potwierdzony, nie chcę mu poświęcać zbyt wiele miejsca, ale trzeba wskazać, że takie rozwiązanie byłoby, po pierwsze, sprzeczne, oznaczałoby bowiem zgodę na kult samego Bandery przy jednocześnie oczekiwaniu potępienia jego duchowych dzieci, tj. banderowców. Po drugie, byłoby niezadowalające dla obu stron – trudno, aby Polacy uznali ten okrojony duet za sympatycznego, gdyż już tylko jednookiego potworka, który miałby z tej racji przestać być odrażający; trudno też, aby przypadło to do gustu ukraińskim nacjonalistom, skoro prezydent Wiktor Juszczenko w 2007 r. uhonorował Szuchewycza tytułem Bohatera Ukrainy (dekret ten anulował następnie Okręgowy Sąd Administracyjny w Donbasie, a jego decyzję podtrzymał Naczelny Sąd Administracyjny Ukrainy). Po trzecie, i przede wszystkim, rozwiązanie to byłoby niewiarygodne – nie ma podstaw, aby sądzić, że brak oficjalnego poparcia ze strony władz ukraińskich dla kultu Szuchewycza skutkowałby jego wykorzenieniem – kult ten kwitnie w najlepszym na zachodniej Ukrainie i wspierany jest przez lokalne samorządy, a zatem takie ustalenie pozostałoby w praktyce martwą literą.

Zresztą w opublikowanym w zeszłym tygodniu wywiadzie na kanale Jung & Naiv ambasador Ukrainy w Niemczech Andrij Melnyk skandalicznie usprawiedliwiał wręcz ludobójstwo wołyńskie rzekomymi prześladowaniami Ukraińców w II RP i insynuował, że Polacy wymordowali dziesiątki tysięcy Ukraińców w czasie drugiej wojny światowej – zaiste wiarygodny partner do dialogu i dealu w sprawie wspólnej polityki historycznej.

KONTYNUACJA DOKONANEGO BESTIALSTWA

Wracając jednak do tego, co bezsprzecznie pewne: jeśli rzeczywiście cieszy niedaleka perspektywa – jak zapowiadają władze – pochówku

po latach ofiar rzezi wołyńskiej, to uważam to za błędne, gdyż moralnie i politycznie nieuzasadnione kupczenie tej powinności wzajemnymi zgodami ze strony polskiej, sprawiającymi wrażenie, że zaplanowane bestialskie ludobójstwo Polaków ze strony nacjonalistów ukraińskich przy udziale ich krajan, jest równoważne z możliwymi akcjami odwetowo-obronnymi ze strony Armii Krajowej czy tępienia ukraińskiego podziemia ze strony aparatu komunistycznego w powojennej Polsce.

Nie twierdzę przy tym, że w dobie konstruktywnego podejścia do wzajemnych relacji państwowych jest rzeczą złą akcentowanie takich faktów, jak śmierć Ukraińców, którzy w czasie ludobójstwa stanęli w obronie swych polskich sąsiadów, czy mówienie

Pojawiły się wiarygodne dziennikarskie przecieki sygnalizujące, że w imię swego dealu od Polaków będzie wymagać się milczenia na temat kultu Stepana Bandery na Ukrainie, w zamian za co Ukraińcy wyrzekną się z kolei kultu Romana Szuchewycza

o krzywdach, które doświadczyły mniejszości narodowe, jak np. wysiedlenie Ukraińców czy Łemków z Polski do Związku Sowieckiego (swoją drogą byli oni ofiarami ówczesnych decyzji Moskwy, podobnie jak przesiedlani po wojnie Polacy). Pamiętajmy jednak, że możliwość godnego pochówku ofiar ludobójstwa jest w dobie obecnej po prostu podstawowym standardem wedle „zachodnich wartości” (mimo inflacji i w tym sektorze), w obronie których Ukraińcy ponoć przelewają obecnie swoją krew. Słowa: „dziękuję”, „proszę”, „przepraszam” nie podlegają w naszej cywilizacji targom, a tym bardziej wydawanie zwłok pomordowanych ludzi w zamian za coś byłoby jedynie dalszą kontynuacją dokonanego już bestialstwa – strona ukraińska, która doświadcza w tej wojnie zbrodni popełnianych na jej obywatelach, ma z pewnością tego świadomość. Pochówek i upamiętnienie ofiar – mowa

przecież o zwykłych cywilach – to kwestia podstawowej sprawiedliwości i pospolitej godziwości, a pamiętajmy, że wciąż żyją potomkowie ofiar, którym samym udało się uciec z życia z tego piekła, które urządzili ich siepacze.

Nie sposób bowiem nie ronić łez na myśl o malutkich dzieciach przybijanych gwoździem do drzwi, rozpruwanych łonach ciężarnych matek, wydłubywanych oczach ofiar – a przecież podobne okrucieństwo było w tym ludobójstwie powszechne. Jaki naród, tym bardziej pretendujący do wspólnoty zachodnich wartości, miałby prawo żądać czegokolwiek w zamian za umożliwienie pochówku tych Bogu ducha winnych ofiar, w obronie których stanęli nawet sami Ukraińcy? Jaki szanujący się rząd, będący w pozycji siły, miałby prawo godzić się, aby zwłoki swych obywateli stały się pośmiertnie przedmiotem szantażu, kupczenia, a nawet niedopuszczalnej rewizji historycznej, jeśli przytoczona przeze mnie informacja o dokonanym „dealu” jest prawdziwa?

CENA NIE GRA ROLI?

Zauważmy przy tym następującą ironię: Francja z Niemcami zmusiły władze Ukrainy do ekspresowego przyjęcia konwencji stambulskiej jako warunku przyznania Ukrainie statusu kandydata do Unii Europejskiej; z kolei Turcja postawiła bardzo twarde warunki, jeśli chodzi o jej zgodę dla akcesu Szwecji i Finlandii do NATO, które najwyraźniej spełniono.

Tymczasem Polska, jak wskazują przytoczone już słowa premiera Morawieckiego, zachowuje się jak osoba, która weszłaby do salonu samochodowego, oznajmiając: „Bezwzględnie potrzebuję kupić samochód, cena nie gra roli, jeśli trzeba, to zadłużę mój ród na pokolenia!”. Przy takim nastawieniu Polacy naprawdę mogą się obawiać zapowiedzianego przez ministra Dworczyka „wielkiego egzaminu”, a po latach budzenia świadomości odnośnie do tej tragedii narodowej przyjdą chwile rozgoryczenia.

Jeśli przedstawiony przeze mnie scenariusz ziści się w swych pesymistycznych barwach, to część z nas będzie wolała znosić zapowiedzianą już infamię „ruskiej onucy” niż przyklaskiwać zginiętemu kompromisom, w ostateczności uwłaczającym pamięci naszych zmarłych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakiś czas temu Tadeusz Płużański na antenie Polskiego Radia 24 stwierdził, że Ukraińcy, broniąc się przed rosyjską inwazją, wzorują się na Żołnierzach Wyklętych. To typowy dla polskiej sceny polityczno-medialnej przykład ignorancji i naiwności w ocenie postaw ideowych naszych południowo-wschodnich sąsiadów. Tego typu głosy wynikają z myślenia życzeniowego. Popierając Ukrainę w jej obronie przed naszym wspólnym wrogiem, wielu komentatorów jednocześnie nieświadomie tej samej Ukrainie próbuje narzucać a to wspólne państwo z Polską, a to wspólnych bohaterów. Tak jakby Kijów w polityce historycznej czy międzynarodowej zamierzał trzymać się spódnicy Warszawy czy też spódnicy którejkolwiek światowej stolicy.

Tymczasem Ukraińcy nie potrzebują brać przykładu z polskiego podziemia antykomunistycznego, bo mają własną tradycję heroicznej walki partyzanckiej przeciwko okupacji moskiewskiej. Ukraińcy mają swoich Żołnierzów Wyklętych. Niestety, są nimi banderowcy. Czy to się nam podoba, czy nie. Żołnierze, broniący kraju przed inwazją rosyjską, nie potrzebują opowieści o Łupaszce, skoro mają Szuchewycza, który też przez wiele lat walczył z NKWD. O tym, że wcześniej najpierw zaaprobował ludobójstwo na Wołyniu, a potem w mniejszej skali powtórzył je w Galicji Wschodniej, już Ukraińcy albo nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć.

„TRAGEDIA WOŁYŃSKA”

Na Ukrainie antypolskie czystki etniczne, dokonane przez UPA, często określane są eufemistycznym mianem „tragedii wołyńskiej”. Były szef tamtejszego Instytutu Pamięci Narodowej, a obecnie parlamentarzysta Solidarności Europejskiej (partii Petra Poroszenki), owiany nad Wisłą złą sławą Wołodmyr Wiatrowycz wpisywał wydarzenia na Wołyniu w kontekst „wojny polsko-ukraińskiej”, w której winą leży po obu stronach, a jeśli już, to bardziej po polskiej. Negował fakt masowej, odgórnie zaplanowanej akcji antypolskiej. O zbrodniach ukraińskich nacjonalistów odwagę mieli pisać tacy historycy jak Ihor Ilijuszyn czy Jarosław Hrycak. Profesor Hrycak, z pozycji liberalno-demokratycznych, postulował przy tym jednak, aby, potępiając antypolskie czystki, jednocześnie pamiętać o chwalebnych kartach historii banderowców.

Znaleźć na Ukrainie kogoś, kto pod imieniem i nazwiskiem – przed wojną czy obecnie, nieważne – uzna jednoznacznie UPA za organizację zbrodniczą, a przy tym nie jest prorosyjskim aktywistą, właściwie nie sposób. Z ukraińskim nacjonalizmem w wąskim i radykalnym tego słowa znaczeniu kojarzona jest głównie OUN, bo to w końcu ugrupowanie polityczne, forsujące konkretną ideologię. Z kolei UPA postrzegana jest raczej jako partyzantka skupiająca się na walce o niepodległość jako taką, a nie na walce o określony kształt przyszłego państwa.

nie dlatego, że nienawidzimy tych przed nami, ale dlatego, że kochamy tych za nami”.

Właśnie taki Szuchewycz funkcjonuje w świadomości Ukraińców: szlachetny bojownik o niepodległość, a nie krwawy zbrodniarz, jakiego z historii znają Polacy. Taki mityczny obraz przywódców OUN i UPA jeszcze na długo przed inwazją zakorzenił się w popkulturze na zachodzie kraju. W słynnej lwowskiej restauracji Kryjówka, stylizowanej na kryjówkę banderowców, klienci od lat zabawiani są inscenizowanymi miniprzedstawieniami z podtekstem historycznym.

Fałszowanie Bander



Maciej Pieczyński

Kult OUN i UPA jest elementem ideologicznej obrony przed rosyjskim imperializmem. Dlatego nie zmusimy Ukraińców do wyrzucenia Bander
na śmietnik historii. Możemy co najwyżej wynegocjować potępienie pojedynczych zbrodni

Bandera i Szuchewycz są na trwającej wojnie obecni, ale nie wszechobecni. Często w oderwaniu od samej ideologii nacjonalistycznej, a praktycznie zawsze z pominięciem zbrodni, za które odpowiadają. Potrzebni są jako personifikacje walki z Moskwą. Wokalista popowego zespołu Botashe w utworze, który stał się jednym z hymnów tej wojny („Ruskiej wojennyj korabl”), śpiewa o tym, że spędza wieczór w gronie przyjaciół, z którymi wspólnie sporządzą „banderowskie smoothie”. Na froncie właśnie tak nazywany jest koktajl Mołotowa. W jednym z tweetów oficjalny profil Sił Zbrojnych Ukrainy zacytował dowódcę UPA, który miał powiedzieć: „Walczymy

Przebrany za upowca kelner goni przez cały lokal zapijaczego, budzącego odrazę, rosyjskiego żołdaka, aby na oczach gości go „rozstrzelać”. Wątków polskich brak.

Ponadto w ostatnich latach im bardziej rosyjska propaganda nazywała Ukraińców banderowcami i straszyla nimi swoich odbiorców, tym bardziej przekorni Ukraińcy, groteskowym półżartem, do Bander się odwoływali, nawet jeśli z samą ideologią nacjonalizmu nie mieli nic wspólnego. Imię zbrodniarza, uznanego przez ukraińską skrajną prawicę za bohatera, dla wielu zwykłych, niezainteresowanych historią Ukraińców stało się krzykliwym hasłem, pozbawionym

treści, ale zagrzewającym do boju z Rosją. Dziś wciąż używanym, ale trochę rzadziej niż wcześniej. Nie dlatego jednak, że sami Ukraińcy odcinają się od Bandery. Bardziej dlatego, że sami Rosjanie zmienili narrację i częściej niż o banderowcach mówią o nazistach z „Azowa”. Do nazizmu nawet półzartem odwoływać się nie przystoi, więc z bogatego spektrum ukraińskiego nacjonalizmu na pierwszy medialny plan wysunęli się „azowcy”, naturalni bohaterowie tej wojny.

Najbardziej wpływowym przedstawicielem kultu OUN i UPA na Ukrainie jest bez wątpienia Petro Poroszenko. W swoich poglądach harmonijnie łączy postawę prounijną, a właściwie proniemiecką, z sympatią dla tradycji OUN i UPA. Po 24 lutego Poroszenko aktywnie wspierał ukraińską obronę terytorialną oraz Siły Zbrojne Ukrainy. Przekazał żołnierzom m.in. dwa uzbrojone, opancerzone pick-upy, nazwane „banderomobilami”. Na drzwiach widnieje wielki czarny „banderomobil” na czerwonym tle. A na masce napis i portret przywódcy OUN-B. O kontrowersje wokół ukraińskiego nacjonalizmu były prezydent był pytany na antenie amerykańskiej telewizji MSNBC. „Po pierwsze, proszę nie wierzyć Putinowi. On wyznaje koncepcję kłamstwa [...], Stepan Bandera nigdy nie był nazistowskim kolaborantem” – przekonywał Poroszenko.

KAŻDY MA „SWOJEGO” BANDERĘ?

Inwazja rosyjska zrodziła wielu nowych bohaterów. Takich, którzy łączą, a nie dzielą. Czczonych zarówno na tradycyjnie banderowskim zachodzie, jak i na rosyjskojęzycznym wschodzie. Sam Zełenski publicznie porównywał agresję Rosji na Ukrainę z napaścią III Rzeszy na ZSRS, udowadniając, że w jego kraju jest miejsce również dla tych, którzy mieli dziadka w Armii Czerwonej, nie w UPA. Obecny prezydent, w odróżnieniu od poprzednika, nigdy nie obnosił się z sympatią do OUN i UPA, a dopytywany o Bandere, dyplomatycznie odpowiadał, że „jakaś część Ukraińców uważa go za bohatera i to jest super”. To wszystko teoretycznie mogłoby sprawić, że w panteonie bohaterów zideologizowani, kontrowersyjni, książkowi Bandera i Szuchewycz ustąpią miejsca młodszemu – walczącym tu i teraz, znanym z ostatnich doniesień medialnych pogromcom „rusni”. Ale na razie nie tyle ustępują, ile występują obok nich, ramię w ramię.

14 października to Dzień Obrońcy Ukrainy, a także dzień utworzenia Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Na zdjęciu: obchody w 2021 r. w Kijowie
FOT. MAXYM MARUSENKO/NURPHOTO/GETTY IMAGES



Na pierwszym froncie zmagają z najeźdźcą znaleźli się rosyjskojęzyczni Ukraińcy z południowego wschodu, gdzie typowy dla Galicji etniczno-językowy nacjonalizm nigdy się szczególnie nie zakorzenił.

Z jednej strony, ukraiński patriotyzm potencjalnie przestaje być zakładnikiem kultu OUN i UPA, rozszerzając swoją bazę również o tych, którzy tej tradycji nie znają lub mają do niej negatywny stosunek. Ale z drugiej strony widoczny jest też proces odwrotny.

Według przeprowadzonego na początku maja sondażu grupy Rejtnynh w 2022 r. aż 74 proc. Ukraińców jednoznacznie pozytywnie postrzega Bandere. Dla porównania: dekadę wcześniej było to jedynie 22 proc. Co istotne, poparcie dla twórcy OUN-B rośnie właśnie na południowym wschodzie kraju. Również wśród rosyjskojęzycznych Ukraińców, którzy najwyraźniej mają nikłe pojęcie o stosunku Bandery do takich jak oni.

Inwazja rosyjska zrodziła wielu nowych bohaterów. Takich, którzy łączą, a nie dzielą. Czczonych zarówno na tradycyjnie banderowskim zachodzie, jak i na rosyjskojęzycznym wschodzie

Coraz większą sympatią cieszy się również Symon Petlura (26 proc. w 2012 r. i 49 proc. w 2022 r.). Wśród postaci historycznych, czczonych przez Ukraińców, Bandere wyprzedza (ponad 90 proc.) Bohdan Chmielnicki. Aż 81 proc. respondentów popiera uznanie OUN i UPA za bojowników o niepodległość Ukrainy. Ta liczba podwoiła się w porównaniu z 2015 r. 71 proc. Ukraińców ma pozytywny stosunek do UPA. Co ciekawe, więcej, bo aż 85 proc., pozytywnie odnosi się do żołnierzy sowieckich walczących z faszyzmem. To dobrze oddaje złożoność ukraińskiej tożsamości, która nie zawsze daje się zmieścić w czerwonej lub brunatnej (czarno-czerwonej) szufladce.

W należącej do Ihora Kołomojskiego telewizji 1+1 dziennikarz Akim Halimow dwa miesiące temu „zdemaskował” mity na temat Bandery. Po pierwsze, lider OUN-B nie był nazistowskim kolaborantem, ponieważ siedział w Sachsenhausen. To argument często powtarzany przez obrońców Bandery, również przez tych, którzy uważają, że nie odpowiada on za rzeź wołyńską (Halimow o tym nie wspomina, bo temat Wołynia w ogóle pomija). Rzeczywiście, ludobójstwo na Polakach przesiedziało w niemieckim obozie koncentracyjnym, to jednak nie zmienia faktu, że był współtwórcą ideologii, która do tego ludobójstwa doprowadziła. Po drugie, Bandera nie był dzieciobójcą.

Jako dowód Halimow prezentuje, rozpowszechniane przez Rosjan, słynne zdję-



Kult OUN i UPA nie ma charakteru antypolskiego, ponieważ opiera się na sfałszowanej, zmitologizowanej historii OUN i UPA, w której ukraińscy nacjonaliści nie mordują cywilów, tylko mężnie walczą z przeważającymi siłami NKWD

cie, na którym widać powieszane polskie dzieci – rzekomo przez banderowców. Dziennikarz zauważa, skądinąd słusznie, że fotografia tak naprawdę przedstawia ofiary chorej psychicznie matki i nie ma nic wspólnego z Wołyniem. O tym, że oprócz tego jest mnóstwo prawdziwych dowodów mordów dokonanych na dzieciach, Halimow już nie wspomina. Każdy ma więc „swojego” Banderę – Polacy zbrodniarza, Ukraińcy zmitologizowanego, oderwanego od prawdy historycznej bohatera, Rosjanie zaś – zmitologizowanego, oderwanego od prawdy historycznej krwiożerczego nazistę.

Za dobry prognostyk została poczytana oddolna akcja sprzątania polskich grobów na Wołyniu. Uczestniczący w niej zwykli Ukraińcy wyrazili Polakom wdzięczność

za wsparcie w obliczu wojny. Co jednak znamienne, informujące o tej inicjatywie media ukraińskie nie epatowały tematem samej zbrodni UPA. Po prostu Ukraińcy posprzątali polskie groby. I tyle.

KULT NIEANTYPOLSKI, ALE...

Kult OUN i UPA nie ma charakteru antypolskiego, ponieważ opiera się na sfałszowanej, zmitologizowanej historii OUN i UPA, w której ukraińscy nacjonaliści nie mordują cywilów, tylko mężnie walczą z przeważającymi siłami NKWD. To nie oznacza, że temat Wołynia można odpuścić. Niedawno Witold Jurasz z Onetu na podstawie swoich źródeł napisał o tym, że PiS chce przymknąć oko na kult Bandery, ograniczając się do krytyki Szuchewycza i Kłaczkiwskiego, jako bezpośrednio odpowiedzialnych za rzeź wołyńską. Przedstawiciele obozu rządzącego, rzecz jasna, zaprzeczyli.

Niedawno ministrowie kultury obu krajów podpisali memorandum zapowiadające, że trzy miesiące po zakończeniu wojny Polacy i Ukraińcy usiądą do rozmów celem uregulowania sporów o pamięć historyczną. Politycy PiS zapewniają, że już teraz toczą się zakulisowe negocjacje w sprawie Wołynia. Tak czy inaczej, wojna nie może usprawiedliwiać milczenia na temat „krwawej niedzieli”. Nie da się zmusić Ukraińców, żeby się odcięli od UPA, traktowanej jako antysowiecki ruch oporu. To by dało efekt odwrotny

do zamierzonego. Rosjanie nie potrafią swojej narracji ani siłą, ani propagandą narzucić Ukraińcom. A cóż dopiero o wiele słabsza Polska?! Rezygnacja z krytyki Bandery dawałaby się literalnie wytłumaczyć jego odsiadką w Sachsenhausen i nieobecnością na Wołyniu.

Trudno sobie jednak wyobrazić, aby tak marne okoliczności łagodzące mogły uzasadnić kapitulację rządu, teoretycznie dbającego o pamięć narodową. Jedyna możliwa opcja to zgniły kompromis o następującej treści: Polska uznaje UPA za organizację, w przerwach między czystkami etnicznymi walczącą o niepodległość Ukrainy, Ukraina zaś potępia zbrodnie dokonane przez UPA na Polakach. Ponadto – Warszawa potępia antyukraińską politykę II RP i zbrodnie Polaków na Ukraińcach. Wreszcie – Kijów odblokowuje ekshumacje polskich ofiar w zamian za odnowienie legalnie postawionych w Polsce, ale nielegalnie zniszczonych (lub zdemontowanych) pomników UPA. Ostatni warunek, postawiony jeszcze za czasów prezesury Wiatrowycza w UIPN, został w zasadzie podtrzymany przez jego następcę, liberalnego Antona Drobowycza.

Takie ustalenia to maksimum, które możemy uzyskać, o ile oczywiście w ogóle zależy nam na jakichkolwiek ustępstwach Kijowa w kwestii polityki historycznej. Zawsze przecież polska władza może potępiać OUN i UPA nie po to, aby cokolwiek uzyskać, a po to, by mieć alibi przed prawnym elektorałem. Tylko jaki to ma sens?

Z Poroszenką i Wiatrowyczem żaden kompromis nie był możliwy. Zełenski nie ma wyrobionych poglądów na OUN i UPA, nie jest zakładnikiem galicyjskiego elektoratu, ma silną pozycję jako bohater wojny. Poza tym widać chemię między nim a prezydentem Dudą. Wielu Ukraińców walczy z imieniem Bandery na ustach, ale to imię więcej ma wspólnego z pustą mantrą, powtarzaną z przyzwyczajenia, niż z obiektem głębokiego i nieprzejednanego kultu ideologicznego. Za to wszyscy Ukraińcy wiedzą, kto im na Zachodzie pomaga najbardziej. Dlatego kompromis z Polską w sprawie historii (zgniły dla Polski, ale jednak jakiś) nie kosztowałby Zełenskigo wiele. Ale nawet Zełenski tej niskiej ceny nie zapłaci, jeśli nikt znad Wisły nie będzie od niego tego oczekiwał. Trzeba więc próbować.

Federacja czy suwerenność?



Jan Fiedorczuk

Między budową federacji polsko-ukraińskiej a podporządkowaniem się Moskwie jest jeszcze cały wachlarz rozwiązań pośrednich. Nie wiążmy sobie rąk poprzez ograniczenie wyboru do tych dwóch skrajnych opcji, ponieważ nie skorzystają na tym ani Polska, ani Ukraina

W ostatnim numerze „Do Rzeczy” (nr 26/2022) Piotr Semka w artykule „Logika wolności kontra logika lęku” podjął się polemiki z moim niedawnym, okładkowym tekstem „Przepis na katastrofę” („DRz” nr 25/2022). Szanownym czytelnikom w tym miejscu przypomnę jedynie, że w rzeczonym artykule krytycznie zrecenzowałem pomysł powołania federacji polsko-ukraińskiej, który to od pewnego czasu jest lansowany przez wielu publicystów (przede wszystkim związanych z umowną prawą stroną debaty publicznej). Wskazywałem, że próba realizacji tej utopii oznaczałaby dla Polski katastrofę w wymiarze geopolitycznym, gospodarczym i społecznym.

„Po co szafować określeniami: »śmiertelne zagrożenie«, »groźna fantazja«? Rysowana tak ostrym piórem publicystyka łatwo może zderzyć się z kontrokreśleniami »niebezpieczny eskapizm« czy »głupia krótkowzroczność«” – pisze Piotr Semka. Tego, czy mój tekst popada w „niebezpieczny eskapizm”, osądzać oczywiście nie będę i pozostawiam to do oceny czytelnikom, jednakże chciałbym zaznaczyć, że zdecydowany ton mojej wypowiedzi był dyktowany powagą omawianego tematu. Dyskusja o federacji polsko-ukraińskiej jest w rzeczywistości odstoną szerszego sporu na temat

polskiej suwerenności. Jest to kwestia fundamentalna, a zatem i mój zdecydowany charakter wypowiedzi nie powinien dziwić.

POTRZEBA MOCNYCH SŁÓW

Niestety, idea państwa polsko-ukraińskiego stała się w ostatnich tygodniach przedmiotem debaty publicznej. Boleję nad tym, ale takie są fakty. Tygodnie mijają, a w przestrzeni medialnej pojawiają się kolejne głosy entuzjastów tego konceptu. Wyróżnić należy tutaj przede wszystkim prezydenckiego doradcę prof. Andrzeja Żybertowicza, który niedawno zastanawiał się, czy „konceptacja jakiejś unii polsko-ukraińskiej albo Rzeczypospolitej wielu narodów nie mogłaby być wspaniałą przysgodą dla pokolenia młodych ludzi”. Drugi warty odnotowania głos wybrzmiał w ostatnim numerze dwutygodnika „Najwyższy Czas”, gdzie projektowi federacyjnemu poświęcono nawet okładkę, a redaktor naczelny Tomasz Sommer otwarcie opowiedział się za stworzeniem państwa polsko-ukraińskiego, krytykując jednocześnie „złudzenia” zwolenników niepodległości i suwerenności. Nie będę w tym miejscu wymieniał kolejnych tego typu wypowiedzi i jedynie zaznaczę, że w ostatnich tygodniach było ich na pęczki (ciekawych odsyłam do moich poprzednich artykułów – „Przepis na katastrofę” oraz

Logika w kontra logika lęku



Piotr Semka

Modliwoci są dwie – albo będziemy spełniać rosyjskie życzenia, albo szukać sojuszników. Ukraina jest dla Polski dobrym partnerem. Wolę logikę wolności, w ramach której ktoś, kto chce dołączyć do wspólnoty wolnych państw, może liczyć na pomoc innych demokratycznych narodów. I wskazanie, że Rosja może to rozszerzyć, jest zawsze logiką akceptowania zachcianek rosyjskiej władzy

Utopia 2022 – publicystyczna nazwa federacyjnego państwa polsko-ukraińskiego – tytuł na pierwszej stronie „Do Rzeczy” brzmiący niezwykle stanowczo. Jeszcze bardziej jednoznaczne sądy można było znaleźć w tekstach Jana Fiedorczuka i Wojciecha Górnika na temat dyktatorów Polski w obywatelskich relacjach z Ukrainą. Idea polsko-ukraińskiej federacji może wyglądać atrakcyjnie na papierze, gdy w zakamarkach gabinetów rysujemy mapy neogeograficznego imperium, jednak konsekwentna realizacja tego projektu straciłaby dla Polski prawdziwą katar – po prostu Fiedorczuk i Górnika ostro określić.

Koncepcja polsko-ukraińskiego państwa wiąże się ze śmiertelnym zagrożeniem dla naszej wspólnoty narodowej. Urzeczywistnienie tej idei oznaczałoby destabilizację regionu, groźbę wojny, niebezpieczeństwo dla polskiej suwerenności i wolności. Wskazywanie, że Rosja może to rozszerzyć, jest zawsze logiką akceptowania zachcianek rosyjskiej władzy.

To, co mnie w tekście mojego kolegi po piórze drażni, to metoda srogich zaklęć, i to od razu „na najwyższym C”. Po co szafować określeniami: »śmiertelne zagrożenie«, »groźna fantazja«?

„Niebezpieczne fantazje na prawicy” – gdzie je skrupulatnie wyliczam i recenzuję).

Powaga zaistniałej sytuacji stanie się oczywista, jeżeli uświadomimy sobie, że oto na naszych oczach do debaty publicznej została wprowadzona (i to przez przedstawicieli prawicy!) kwestia likwidacji polskiego państwa narodowego. Projekt federacji nie sprowadza się bowiem do propozycji sojuszu militarnego czy też zacieśnienia współpracy gospodarczej z Ukrainą. Mamy do czynienia z koncepcją likwidacji dwóch suwerennych państw i powołania zamiast nich zupełnie nowego organizmu politycznego. Silniejszego czy słabszego – tego nie wiemy, na pewno jednak będzie to państwo inne, nowe.

Idea zniesienia polskiego państwa narodowego jest ostrożnie traktowana nawet na lewicowo-liberalnych salach, gdzie panuje przekonanie, że zbyt szybkie podniesienie tego tematu może Polaków jedynie odrzucić od pomysłu federalizacji Unii Europejskiej, dlatego też wolą oni stosować taktykę „gotowania żaby”. Tym bardziej uważam za szkodliwe, że w ostatnim czasie część przedstawicieli prawicy z otwartą przyłbicą podjęła ten temat, zmieniając jedynie obiekt adoracji – zamiast roztopienia się w państwie unijnym, za czym optuje obóz postępu, wskazano na ideę wielonarodowej Rzeczypospolitej. Pomijam już katastrofalne konsekwencje geopolityczne i gospodarcze, jakie wiążą się ze scaleniem naszego państwa z Ukrainą, ale niepokojący wydaje się już sam pomysł, jakoby Polska z naczelnego



obiekty naszej lojalności politycznej miała zostać sprowadzona do bytu, owszem, dalej istotnego, ale jednak drugorzędного względem samej federacji. Jakże w tej sytuacji nie bić na alarm? Właśnie dlatego, że te głosy padają po prawej stronie debaty publicznej, należy mieć się na baczności.

NIETRAFIONA DYCHOTOMIA

Tutaj też pojawia się mój fundamentalny problem z artykułem Piotra Semki. Mój polemista zgryzanił przemożną część swojej uwagi nie tyle na problemie państwa federacyjnego, ile na kwestii pomocy, jaką winniśmy udzielić Ukrainie, i korzyściach, jakie możemy uzyskać z sojuszu z Kijowem. Ja piszę o federacji, on – o sojuszu. Ta podstawowa niekompatybilność naszych artykułów sprawia, że mówimy obok siebie i nie słyszymy się wzajemnie i niczym w Lemowskiej powieści jesteśmy skazani na wieczny monolog powodowany niemożnością zrozumienia drugiej strony.

Co więcej, jak rozumiem, Piotr Semka sam podchodzi z rezerwą do koncepcji federacyjnej, pisząc po prostu o potrzebie współpracy z Ukrainą. Ja przynajmniej nie znajduję w jego artykule żadnego wezwania do budowy nowego państwa dwunarodowego: „Podstawowa kwestia, która dzieli mnie z Fiedorczukiem i Golonką, to ocena, czy taki alians jest korzystny dla polskiej racji stanu czy też na odwrót – jest dla niej zagrożeniem. Uważam, że sojusz obu państw, nieko-

niecznie jako federacja, jest kluczowy dla naszego bezpieczeństwa”.

Z artykułu mojego polemisty wyłania się następująca dychotomia – mająca być odpowiedzią na mój artykuł – albo sojusz z Ukrainą, albo ścieżka Armenii, czyli uleganie dalszym szantażom Moskwy z cichą nadzieją, że czołgi ze znakami „Z” nie przekroczą linii Bugu. „Przyjmowanie logiki, że pomoc Ukrainie jest niebezpieczna, bo rozdrażni przeciw nam Rosję, jest naiwnością godną wiedzy o polityce papieża Franciszka” – twierdzi Semka. I trudno mu nie przyznać racji. Problem w tym, że ta riposta jest odpowiedzią na tekst, którego nigdy nie napisałem. W moim artykule po prostu nie padają żadne stwierdzenia dotyczące sojuszu z Ukrainą – w żadnym miejscu nie wskazuję, czy taki alians jest korzystny dla Polski czy też nie, a tym bardziej nie twierdzą nigdzie, że Warszawa winna kierować się „logiką lęku” i podążać drogą Armenii.

Co więcej, uważam, że jeżeli ktoś działa podług „logiki lęku”, to są to właśnie federacjoniści. Genezą i główną przesłanką całego projektu państwa polsko-ukraińskiego jest wszak lęk przed Rosją. Prowadzeni tym lękiem zwolennicy federacji nie wahają się pogrzebać obecnego państwa polskiego na rzecz utopijnych, nieskonkretyzowanych miraży. Próby przybliżenia np. kosztów realizacji

takiego projektu nie są, jak twierdzi mój polemista, przejawem „małostkowości”, tylko próbą zobrazowania konsekwencji tegoż projektu dla polskiego społeczeństwa. Zanim Polacy skoczą na główkę do basenu z napisem „federacja”, powinni przynajmniej wiedzieć, czy jest w nim woda.

W swoim artykule tłumaczyłem ponadto, że realizacja koncepcji Marka Budzisz, Romualda Szeremietiewa czy Marka Jakubiaka, dotycząca budowy wspólnego, dwunarodowego państwa, oznaczałaby wciągnięcie Polski w otwartą wojnę z Rosją. Wszak po proklamowaniu takiej federacji Putin nie prowadziłby wojny jedynie z jej wschodnią częścią zamieszkaną przez Ukraińców. Cała długa granica polsko-białoruska zostałaby użyta jako brama wjazdowa dla rosyjskiej artylerii. Co więcej, to Polska – jednocząc się w postaci federacji – weszłaby do wojny jako strona aktywna, a zatem

państwa NATO nie byłyby zobligowane do udzielenia nam pomocy. Tak, w swoim pierwszym tekście pomyśli federacji faktycznie określiłem mianem „śmiertelnego zagrożenia” i nadal podtrzymuję tę opinię.

Utopijne koncepcje budowy wielonarodowej Rzeczypospolitej stanowią abstrakcję nie tylko dla polskiego społeczeństwa, lecz także dla samych Ukraińców. Federacja to westchnienie grupki polskich romantyków za nigdy niezrealizowaną obietnicą wielonarodowej Rzeczypospolitej. To próba wskrzeszenia przednowożytnego projektu, który nie przystaje do dzisiejszych czasów. Neopierścienie sentymenty polskiej prawicy, nawet niesione najlepszymi intencjami, mogą mieć opłakane skutki.

Dychotomia, którą projektuje Piotr Semka – „logika wolności” kontra „logika lęku” – jest po prostu nieadekwatna do omawianego tematu. Dysponujemy całym wachlarzem możliwości i ograniczanie się do zero-jedynkowego wyboru między dwoma skrajnymi opcjami (albo federacja, albo Putin), to wiązanie sobie rąk. Między budową państwa polsko-ukraińskiego a porzuceniem Kijowa na pastwę Moskwy jest jeszcze cała paleta pośrednich możliwości.

Uszlachetnieni

Pod Krakowem położona jest wieś Bolechowice, niegdyś własność biskupstwa krakowskiego. W aktach miejscowej parafii można odnaleźć XVII- i XVIII-wieczne metryki rodziny Macałów, mieszkańców okolicznej wsi Więckowice. Nazwisko to do dziś występuje w tej parafii. Z tego właśnie rodu pochodził „uczciwy” włościanin Jacek (Hiacynt) Macała (1755–1821), który przeniósł się do Krakowa. Tamże przyuczył się do zawodu paszтетnika. W roku 1789 został przyjęty do ksiąg prawa miejskiego.

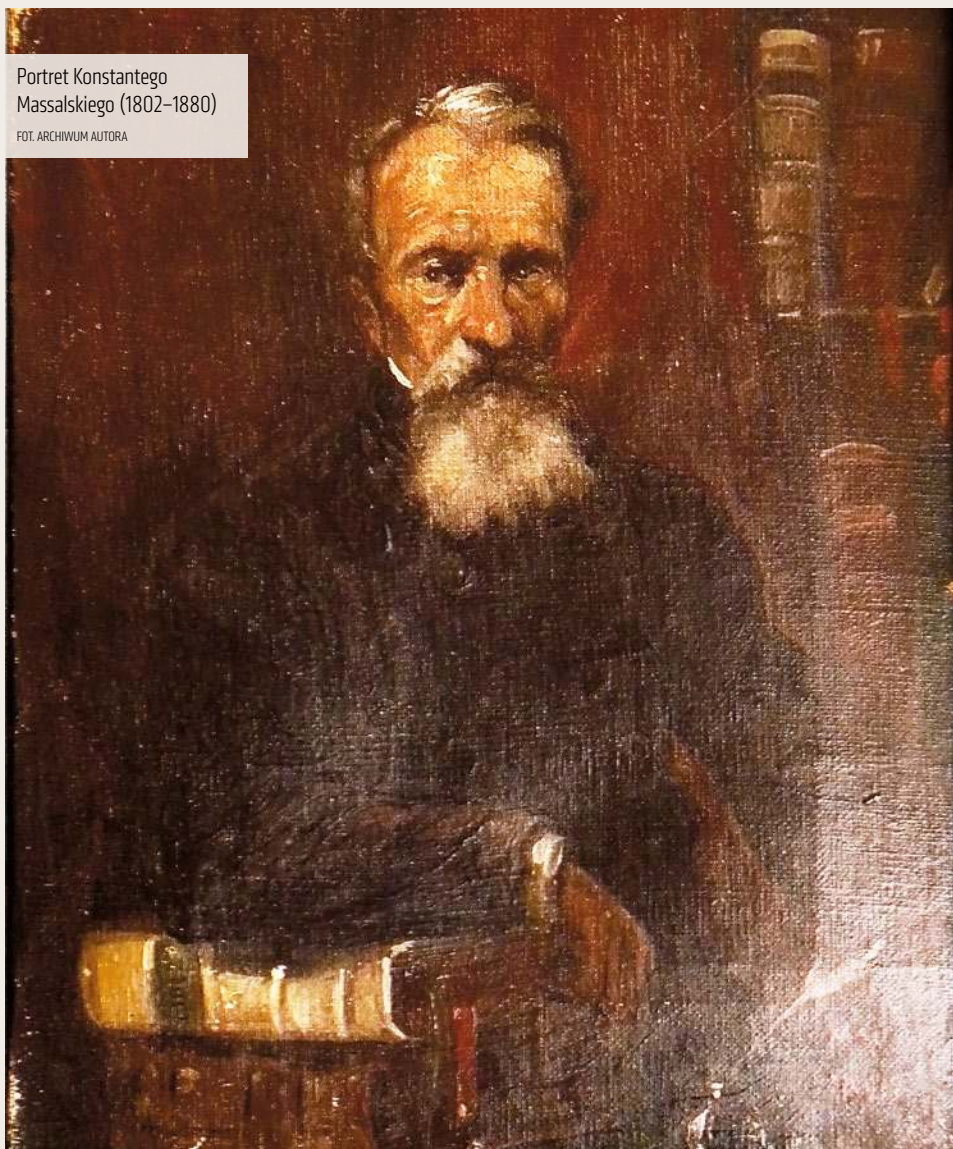
Zanim jednak tak się stało, zyskał możnego protektora, który być może wypatrzył go podczas wizytacji miejscowej parafii i ściągnął do służby w swojej rezydencji. Tym opiekunem był miejscowy biskup sufragani Józef Olechowski (1735–1806), dwukrotny administrator diecezji krakowskiej. Musiała to być szczególna przyjaźń, ponieważ purpurat oficjalnie pożyczył swemu faworytowi znaczną sumę pieniędzy, za którą ów kupił dwie nieruchomości na krakowskim Stradomiu.

W jednej z nich istniała Oberża pod Wołem, która stanowiła rodzinny interes i źródło utrzymania. Biskup w istocie nazywał się Oleszko vel Oleszek i pochodził z chełmskiej rodziny mieszczańskiej. W miarę awansu w hierarchii kościelnej postarał się dla siebie i rodziny o odnowienie rzekomo zarzuconego szlachectwa. Trudno dziś orzec, w jakim stopniu zarówno ta historia, jak i pochodzenie żony biskupiego bratanka z rodu Massalskich (o czym dalej) wpłynęły na Hiacynta Macała w kierunku zmiany nazwiska. W metrykach krakowskich parafii odnajdujemy przy narodzinach jego kilkunastu dzieci coraz to inne formy nazwiska, takie jak „Macałkiewicz”, „Macalski” czy „Masalski”. Wreszcie w okresie porozbiorowym, obok nazwiska występującego już w formie Massalski, pojawiło się słowo „szlachetny”.

Czasy porozbiorowe, a zwłaszcza Rzeczypospolitej Krakowskiej, sprzyjały takim wpisom w aktach metrykalnych,

Portret Konstantego Massalskiego (1802–1880)

FOT. ARCHIWUM AUTORA



Tomasz Lenczewski

Upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej ułatwił przechodzenie rodzin plebejskiego pochodzenia do sfery ziemiaństwa. Ich potomkowie uchodzą dziś bezprawnie za potomków szlachty

JAK KRAKOWSCY MIESZCZANIE STALI SIĘ KSIĄŻĘTAMI MASSALSKIMI

których nikt nie weryfikował. Swoje trzy córki oberżysta wydał za szlachciców z rodu Ostaszewskich, Jabłońskich i Lipińskich. Ten ostatni miał Hotel Drezdeński przy krakowskim rynku.

PROFESOR UNIwersYTETU Jagiellońskiego

Jedynym męskim potomkiem Jacka Macałki vel Massalskiego, który doczekał pełnoletności, był Konstanty Massalski (1802–1872). Ukończył on studia na wydziale filozofii i prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz uzyskał doktorat obojga praw. Dzięki protekcji Stanisława hr. Wodzickiego, prezesa Senatu Krakowskiego, został jego sekretarzem. W latach 1827–1829 był zastępcą profesora w katedrze prawa rzymskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Rozwój kariery przerwał bogaty ożenek z Izabelą Wiżeńską, wnuczką krakowskiego mieszczanina i lekarza, która odziedziczyła po dziadku dobra ziemskie Lelowice koło Miechowa. Dzięki temu stał się ziemianinem i osiadł na wsi. Lokalnie był uważany za szlachcica, piastował urząd sędziego pokoju i należał do Towarzystwa Rolniczego. Mieszkał na terenie Królestwa Polskiego, był obywatelem Rzeczypospolitej Krakowskiej, a po 1846 r. – poddanym austriackim.

Współczesny krakowski pamiętnikarz Kazimierz Girtler dobrze pamiętał pochodzenie społeczne Konstantego, którego znał od szkolnej ławy. Poza jednym dość wieloznacznym listem nie zachował się żaden materialny dowód, że ten świeżo upieczony ziemianin mówił cokolwiek o swoim pochodzeniu. Wydaje się, że znał prawdę, a swoim synom starał się zapewnić należyte wykształcenie; córki z kolei – dobrze wydać za mąż. Girtler pisał o nim: „W charakterze pełen godności, gotowy na posługi obywatelskie, często sędzia polubowny w najdrażliwszych interesach zyskał sobie powszechny szacunek”.

Wytrzymał na majątku do 1862 r., a później wyjechał do Warszawy, gdzie całkowicie oddał się działalności społecznej w ramach Stowarzyszenia Merkury, stanowiącego pionierską spółdzielnię spożywców nastawioną na pomoc uboższym

warstwom stolicy. Po śmierci żony, której zabytkowy grób do dziś zachował się w najstarszej części Powązek, wyjechał do syna na Litwę, a u drugiego pod Krakowem zakończył życie. Spoczął na cmentarzu Rakowickim, w grobowcu skazanym dziś na zagładę.

ZIEMIAŃSKIE ŻYCIE Z TYTUŁEM

Ziemiańskie życie kontynuowali synowie Konstantego – Władysław i Józef. Ich losy były jednak odmienne. Władysław, zaangażowany w powstanie styczniowe w charakterze naczelnika cywilnego powiatu miechowskiego, musiał uciec z terenów Królestwa Polskiego. Po powrocie został uwięziony, w związku z czym nie był w stanie objąć dziedzictwa w Lelowicach, które przypadło formalnie rodzeństwu. Dwór przetrwał do dziś, a sam majątek wskutek fatalnego gospodarowania rodziny został stracony na początku XX w. Władysław wszedł w sferę ziemiańskie Galicji dzięki ożenkowi z Marią Konopką. Zakupił od historyka Józefa Szujskiego majątek ziemski Kurdwanów. Jego potomkowie władali nim do 1945 r., a w dworze mieszkali nieco dłużej. Władysław był aktywnym działaczem ziemiańskim, uczestnikiem

wielu wystaw rolniczych w Galicji, m.in. we Lwowie, gdzie poznał autentycznego przedstawiciela książęcej rodziny i uczonego dr. Urbana Wareg-Massalskiego.

Losy jego brata Józefa Massalskiego były odmienne. Wykształcony w dziedzinie rolnictwa we Francji, poślubił Klaudię Biallon z Genewy. Jako poddany austriacki osiadł w guberni mińskiej, gdzie pracował w administracji majątków jednego z najbogatszych ziemian Józefa Słotwińskiego. Wkrótce objął dzierżawę jednego z większych jego folwarków. Tam doczekał liczного potomstwa, które żyło do wybuchu pierwszej wojny światowej w Rosji i austriackiej Galicji. Do ostatnich przedstawicieli rodu należała wnuczka prof. Konstantego, Helena z Massalskich Kołaczewska (1916–2019), druga żona komunistycznego luminarza Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Była poetką i autorką m.in. wielu tekstów piosenek, z których największą popularność zdobył walczyk nadwiślański „Na prawo most, na lewo most”.

W odróżnieniu od swoich przodków i licznych stryjów miała nieco błękitnej krwi, jako że była po kądzieli córką autentycznej potomkini książęcego rodu, Haliny Massalskiej, której dziadek ze strony matki był powstańcem styczniowym z Mińszczyzny. Jej pamiętnikarskie zapiski są dowodem na to, jak legenda o mitycznym pochodzeniu książęcym ojca oddziaływała na rodzinę i budziła w niej poczucie dumy. Wielu potomków Władysława i Józefa zginęło w czasie wojny, m.in. w powstaniu warszawskim oraz w niemieckich obozach zagłady. Linia męska wygasła w 1946 r.

BUDOWANIE LEGENDY RODOWEJ

Proces budowania legendy o książęcym pochodzeniu od Jacka Massalskiego, rzekomego i nieistniejącego syna jednej z gałęzi rodziny książęcej z Grodzieńszczyzny, rozpoczęli dwaj synowie prof. Konstantego. Towarzyszyła temu legenda o ucieczce przodka z Litwy po ścięciu biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego z magnackiej gałęzi rodu Massalskich.

Tworzeniu tej historii sprzyjało wiele faktów. Władysław, bohater powstania styczniowego, ożenił się



Nekrolog Stanisława Massalskiego, wnuka Konstantego

■ z córką dziedzica dóbr Mogilany, którą Konopkowie kupili od ostatniej przedstawicielki magnackiej gałęzi książąt Massalskich. Z kolei Józef, który osiadł w guberni mińskiej, gospodarował w dawnych majątkach autentycznych książąt Massalskich, co z dumą podkreślał wobec Słotwińskich. Wszystko to wpisywało się w tradycję rodu. Zdaniem Michała Wawrzeckiego, wnuka Konstantego Massalskiego, malarza, również zaangażowanego w budowę rodzinnej legendy, powstała na Litwie nawet jakaś galeria przodków. Ponadto wnuczka Józefa Massalskiego, ziemianina, Irena z Erben-Holanów Dunin-Borkowska, przez całe życie tworzyła wielkie drzewa zarówno swoich rzekomych przodków książąt Massalskich, jak i Dunin-Borkowskich, którzy notabene nigdy Duninami nie byli. Kolorowe duże plansze z herbami są przykładem, do czego prowadzi próżność.

Z zachowanych do dziś archiwaliów rodzinnych widać, że wszyscy żyli mrzonkami. Poprzez związek z Konopkami Władysław Massalski znalazł się jako książę w najszlachetniejszym herbarzu Adama Bonieckiego, a także jako szlachcic w rocznikach Jerzego hr. Dunin-Borkowskiego. Krakowski archiwista Teodor Łuszczynski umieścił ich wszystkich w „Silva Heraldica”, jako potomków książąt Massalskich, jednakże ze znakiem zapytania. Dzieło to wydała z tym zastrzeżeniem Biblioteka Kórnicka PAN. Współcześnie genealog Marek Minakowski przez lata umieszczał



Izabela z Wiżeńskich Konstantowa Massalska (1809–1872) FOT. ARCHIWUM AUTORA

Żukowski, dodając bez uzasadnienia źródłowego tytuły książęce Konstantemu Massalskiemu i jego synowi Władysławowi. Ostatnim akordem był referat pt. „Konstanty Massalski, książę, wykładowca prawa rzymskiego na UJ”, wygłoszony pośród innych poświęconych wielkim rodom na sesji naukowej w Tarnobrzegu – „Wielkie rody na ziemiach polsko-litewskich XVI–XX w.”. Na szczęście dla autora tekst nie został ogłoszony drukiem.

Nie ma już dziś bezpośrednich potomków Jacka Macałki noszących nazwisko Massalski. Z perspektywy dziennej nazwisko to niewiele im pomogło w karierze, ponieważ poza Konstantym nie pochodził z ich grona nikt wybitny. Nazwisko co najwyżej pomogło kolejnym generacjom w utrzymaniu dobrego imienia w sferach ziemiańskich, do których aspirowali i lgnęli. Potomkowie Konstantego Massalskiego zdobywali wyższe wykształcenie, zazwyczaj techniczne. Towarzysko traktowano ich jako przedstawicieli szlachty, niekiedy nawet figurują we wspomnieniach jako potomkowie dawnych książąt Massalskich. Co ciekawe, nie byli oni uznawani za autentycznych członków rodu przez prawdziwych książąt Massalskich mieszkających w Warszawie i posiadających dobrze udokumentowane drzewa genealogiczne. Część z nich używała „kopertowo” tytułu książęcego, co widać w almanachach i nekrologach z okresu międzywojennego. Czasem dopisywali sobie przydomek Warega, zaczerpnięty być może wskutek znajomości z autentycznym przedstawicielem rodu.

Nigdy jednak nie byli szlachtą w sensie prawnym, nie można ich nawet podciągnąć pod tzw. szlachtę niewylegitymowaną, a mylne zaszerogowanie do tej grupy społecznej utrzymało się tylko dlatego, że nikt nie przeprowadził badań genealogicznych nad ich rodowodem. Ze zwykłej niewiedzy lub z powodu niezdrowych ambicji ich dalsi krewni do dziś lansują legendę rodzinną o ich szlacheckim pochodzeniu i książęcym tytule na płatnych stronach genealogicznych typu Geni czy My Heritage.

Problem dopisywania się do genealogii innych rodów skutkiem zmiany metrykalnego nazwiska w sposób naturalny nie jest zjawiskiem odosobnionym w polskiej genealogii przez lata opartej na bezkrytycznych herbarzach, gdzie nawet te najbardziej obiektywne mogą się mylić. Współczesne badania genealogiczne, opierające się na aktach stanu cywilnego oraz innych źródłach urzędowych, powoli weryfikują to zjawisko. Ponadto pokutuje nadal zjawisko błędnie utożsamiające sferę ziemiańską ze szlachecką. Wiele bowiem rodów ziemiańskich, nierzadko dobrze skoligaczonych z wieloma szlacheckimi domami, historycznie i prawnie nie miało nic wspólnego ze szlachtą.

W Polsce zapomina się, że nazwisko same, choćby książęce, nic w istocie nie znaczy. Etymologicznie nazwisko Massalski pochodzi od miejscowości Masalsk koło Kaługi i jest związane z potomkami dawnych książąt, dziś w Polsce wygasającymi. Ich model genetyczny związany z Rurykowiczami jest zresztą akurat określony. Oznacza również szlachtę różnego pochodzenia, jeśli przodkowie ich pochodzili z kresów. Natomiast w Polsce takie nazwisko jest stosunkowo świeże, bo powstało na przełomie XVIII i XIX w. od stopniowego przekształcania słowa „Macał”. Szczególnie rozwinęło się w drodze słowotwórczej ewolucji na obszarze Polski Centralnej, głównie w Świętokrzyskiem, w Małopolsce i na Śląsku. Historia potomków nieistniejącej linii książąt Massalskich, w rzeczywistości pochodzących od prostego włościanina, który przeniósł się do miasta i awansował do grupy rzemieślniczej, jest przykładem tego, jak wiele historii rodzinnych czeka jeszcze na źródłowe wyjaśnienie i sprostowanie związanych z nimi legend.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rysunek dworku w Lelowicach
FOT. MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORLICACH

ich z tytułem książęcym w swojej wielkiej internetowej genealogii oraz w książkach. Po interwencji przedstawiciela książęcej rodziny sprostował ten błąd w Internecie, jednak dotąd niektórzy potomkowie Jacka Macałki nadal figurują u niego jako szlachta.

Niestety, zapis Minakowskiego powielił bezkrytycznie w swoich naukowych publikacjach poświęconych studentom i wykładowcom Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Przemysław M.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Numer 44165

Często modliłam się w obozie i prosiłam Boga, żeby dał mi siłę i sprawił, że ten cały koszmar się skończy. Bo to był prawdziwy koszmar. Doszłam do kresu wytrzymałości. Wyszłam z bloku i podeszłam do drutu, który podłączony był do prądu. Wystarczyło tylko zrobić krok, dotknąć ogrodzenia, a wszystkie męki zakończyłyby się w jednej sekundzie. W Auschwitz można było zobaczyć ciała ludzi, którzy woleli zakończyć swą gehennę, rozpostarte na ogrodzeniach. Ja też stałam i nie widziałam innego wyjścia”.

Na szczęście pani Alina Dąbrowska nie skoczyła na druty. Zdecydowała się walczyć. Stawką tej walki było życie. Zwyciężyła. Dzielna kobieta przeżyła uwięzienie w pięciu obozach koncentracyjnych: Auschwitz, Ravensbrück, Malchow, Buchenwald i Leipzig. Do tego dwa marsze śmierci.

O swoich dramatycznych przeżyciach Alina Dąbrowska (numer obozowy 44165) opowiedziała dziennikarzowi Wiktorowi Krajewskiemu. Tytuł książki – „Wiem, jak wygląda piekło” – nie jest ani na jotę przesadzony. Głód, katorżnicza praca, straszliwe choroby, sadyzm strażników i kapo. Eksperymenty medyczne „Anioła Śmierci”, dr Mengele. Pani Dąbrowska znalazła się w samym epicentrum zbrodniczego systemu stworzonego przez III Rzeszę w celu pastwienia się nad ludźmi.

Gdy czytałam książkę, włos jeżył mi się na głowie. „W Ravensbrück prowadzono przedziwne badania na żywych ludziach – wspomina bohaterka książki. – Niemcy traktowali więźniarki jak przedmioty eksperymentów. Szczególnie zapadła mi w pamięć kobieta, której obcięto nogi do kolan i w zamian wstawiono patyki...”

„Wiem, jak wygląda piekło” to nie tylko drastyczny opis kolejnych okropności kace-tów. To opowieść z głębokim humanistycznym przesłaniem. Przedstawiona przez osobę z dużym doświadczeniem życiowym. Autorka mówi o konieczności wybaczenia i pojednania. Snuje rozważania o mrocznej stronie ludzkiej duszy.

– Wiedząc, do czego zdolni są ludzie – pyta Krajewski – co pani myśli na ich temat? Człowiek z natury jest dobry czy zły?

– Ludzie są tacy, jacy są”.

Trudno się nie zgodzić. ©©



★★★★★

ALINA
DĄBROWSKA,
WIKTOR
KRAJEWSKI
„WIEM, JAK
WYGLĄDA
PIEKŁO”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć
ostatniego
Jagiellona

W chwili podpisania unii lubelskiej Zygmunt August miał 49 lat, jednak od dłuższego czasu nie cieszył się dobrym zdrowiem. Był chory wenerycznie, co spowodowało bezpłodność, a do tego dochodziły jeszcze kamica nerkowa, reumatyzm i gruźlica. Wiedział, że nie będzie mu pisane długie życie, i dlatego tak spieszył się z integracją Polski i Litwy. Nie widział też żadnego następcy i zdawał sobie sprawę z tego, że o przyszłości zadecyduje elekcja. A jej wynik był trudny do przewidzenia.

W tej sytuacji wypełniał obowiązki monarsze i umiłał sobie czas zabawami i romansami. Na ogół przebywał w ulubionym Knyszynie, gdzie oddawał się niezbyt wyszukany rozrywkom, tak jakby chciał zapomnieć o zbliżającym się końcu życia.

Próbował jednak się jeszcze ratować. Odwiedzał go różnego rodzaju znachorki, zasięgał rady u astrologów. Jak można było podejrzewać, napary i czary nie pomagały, a przepowiednie się nie sprawdzały. Król z dnia na dzień tracił siły.

Otaczali go wówczas różnego rodzaju karierowicze, którzy usiłowali zrobić kariery dzięki łasce schorowanego monarchy. Należeli do nich bracia Jan i Jerzy Mniszchowie, których rodzina właśnie wtedy startowała do wielkiej kariery. Ostatnie lata panowania Zygmunta Augusta spowodowały, że niebawem

ród ten zaliczono w poczet magnatów.

Wiosną 1572 r. zdrowie władcy uległo gwałtownemu pogorszeniu. Obok ataków kamicy nerkowej pojawiały się krwotoki z ust, a bóle reumatyczne spowodowały, że władca właściwie nie mógł chodzić. Pojawiły się gorączka, ataki kaszlu i jeszcze silniejsze bóle. Udrczony monarcha zmarł w Knyszynie 7 lipca 1572 r., w wieku 52 lat. Był ostatnim męskim przedstawicielem dynastii zasiadającej od blisko 200 lat na tronie polskim.

Po śmierci króla doszło do skandalicznych wyda-rzeń. Dworzanie rzucili się do rabowania jego majątku, w czym podobno przodowali Mniszchowie. Nagie ciało króla leżało na łożu do chwili, aż polecił je przykryć przybyły na miejsce biskup krakowski.

Zabalsamowane tymczasowo zwłoki złożono na zamku w Tykocinie, gdzie miały oczekiwać na przewiezienie do Krakowa. Uroczysty pogrzeb odbył się dopiero w lutym 1574 r., prawie dwa lata po śmierci ostatniego Jagiellona. Uroczystości trwały dwa dni i król spoczął u boku ojca w kaplicy Zygmuntowskiej. Jedenaście dni później na Wawelu koronowano Henryka Walezego na króla Polski, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że skończyła się pewna epoka, a przyszłość była niewiadoma. Nic już nie miało być takie jak wcześniej... ©©

Otwarcie wystawy IPN „Szlaki Nadziei” w Pretorii. Na zdjęciu: ambasador RP w RPA Andrzej Kanthak (pierwszy z prawej) i prezes IPN dr Karol Nawrocki (w środku)

FOT. MIKOŁAJ BUJAK (IPN)

Opowiedzieć siebie światu



Radosław Wojtas

Nie ma co popadać w bombastyczne tony, ale jak często słyszą państwo, że przygotowana w Polsce, opowiadająca o Polsce, realizująca polską politykę historyczną, eksponowana gdzieś w świecie wystawa została ekspozycją stałą w zagranicznym muzeum?

Pretoria, stolica Republiki Południowej Afryki. Jedno z najbogatszych miast RPA i całego kontynentu. Metropolia z rozległymi terenami zielonymi i dziesiątkami tysięcy kwitnących na fioletowo krzewów jakarandy (stąd nazywa się Pretorię „Jacaranda City”). O burzliwej historii RPA oraz jego urokliwej dziś stolicy przypomina tu m.in. Freedom Park. Park Wolności to instytucja kultury, w której skład wchodzi muzeum i miejsce upamiętniające ludzi, którzy przez lata budowali wolność Republiki Południowej Afryki. Opowiada o historii kraju i kontynentu – od zarania ludzkości, przez czasy przedkolonialne,

kolonialne, obie wojny światowe, apartheid, aż do dziś.

To właśnie to miejsce wybrano jako jedną z pierwszych lokalizacji do zaprezentowania polskiej wystawy „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności”. Ten międzynarodowy, realizowany przez Instytut Pamięci Narodowej projekt przypomina wędrówkę ponad 116 tys. Polaków – cywilów (prawie 38 tys.) i żołnierzy gen. Władysława Andersa – oraz szlak bojowy 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, a także historię drugiej wojny światowej z polskiej perspektywy.

Został zainaugurowany na Zamku Królewskim w Warszawie 18 marca, wtedy też otwarto wystawy w Warszawie, Gdańsku oraz Lublinie. Pierwszymi miastami, w których poza Polską IPN zaprezentował wystawę (przy udziale polskiej ambasady w RPA), były właśnie Pretoria oraz położony od niej o niecałą godzinę drogi Johannesburg.

– Dlaczego zaczęliśmy od RPA? Ważny był dla nas aspekt historyczny. W wyniku wojennej zawieruchy do RPA trafiła spora grupa Polaków, którzy znaleźli w tym kraju schronienie. Chcieliśmy przybliżyć mieszkańcom południowej Afryki, w jaki sposób Polacy tam trafili – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Rafał Leśkiewicz, rzecznik prasowy Instytutu Pamięci Narodowej. – A było to efektem

wyjścia żołnierzy gen. Andersa ze Związku Sowieckiego. Ta historia stanowi część lokalną wystawy w RPA, bo projekt w każdym z krajów, w których będzie prezentowany, składa się z części ogólnej i lokalnej – dodaje dr Leśkiewicz.

KIERUNEK – AFRYKA

W części lokalnej wystawy dla RPA widzimy m.in. koloryzowane zdjęcia z lat 40. ubiegłego wieku, a wśród nich fotografię z 1945 r., przedstawiającą grupę chłopców ewakuowanych z ZSRS do Związku Południowej Afryki (ówczesne dominium brytyjskie, dziś RPA) czy defiladę w obozach wojskowych pod Pietermaritzburgiem (także dzisiejsze RPA), gdzie znalazło się w 1942 r. ok. 3,2 tys. polskich żołnierzy. Na innej, wykonanej po 1942 r. fotografii uwieczniono Polaków na ćwiczeniach strzeleckich. Nasi żołnierze, trafiając na drugi koniec świata, chcieli być jak najlepiej przygotowani na dzień, w którym znów staną oko w oko z wrogiem.

– Poprzez tę wystawę i towarzyszące jej działania przypominamy o wysiłku zbrojnym żołnierzy gen. Władysława Andersa czy też gen. Władysława Maczka, którzy przelewali krew, wyzwalaając z rąk niemieckiego okupanta kraje Europy Zachodniej – mówi „Do Rzeczy” dr Karol Nawrocki, prezes Instytutu Pamięci Na-

rodowej. – Nie możemy zapominać o tysiącach cywili, w tym głównie dzieciach, z których kilkaset znalazło schronienie i opiekę w Związku Południowej Afryki. Obok nich przebywali tu również polscy żołnierze. Polacy znaleźli się także w kilku innych krajach południowej i wschodniej Afryki. Przypominamy mieszkańcom dzisiejszej Republiki Południowej Afryki niezwykłą historię polskiej odysei wolności – dodaje.

Podczas otwarcia wystawy w Pretorii Andrzej Kanthak, ambasador Polski w RPA, przypominał historię 500 polskich dzieci, których rodzice zostali zabici, deportowani lub uwięzieni. Dzieci, dla których bezpieczną przystanią okazała się jedna z prowincji dzisiejszej RPA. – Znalazły tu swój drugi dom i opiekę. Polacy nigdy nie zapomnieli tej wspianą łomyślną gościnności – mówił ambasador. Ocenia się, że w sumie ponad 18 tys. obywateli polskich zostało skierowanych do 22 polskich osiedli na terenie Afryki Południowo-Wschodniej.

Część wspólna ekspozycji zaczyna się od streszczenia najważniejszych wydarzeń drugiej wojny światowej. Przypomina podstawowe fakty – że konflikt ten zaczął się od ataku Niemiec na Polskę, że dwa tygodnie później zostaliśmy zaatakowani ze wschodu przez Rosję. Że celem niemieckiej okupacji była biologiczna eksterminacja narodu polskiego, że tylko tu za pomoc Żydom groziła kara śmierci. Że sowiecki okupant był równie bezwzględny, masowo wywożąc Polaków w bydłowych wagonach w głąb ZSRS. Opowiada o walce Polaków w kraju i poza jego granicami oraz o losie cywilów.

Projekt skierowany jest do trudnego odbiorcy – takiego, który nie wie prawie nic o historii Polski albo którego wiedza o nas i naszej przeszłości jest zdeformowana przez nieprawdziwy przekaz. Jak takiego kogoś zaciekać? Właśnie nawiązaniami do historii lokalnej – krajów i miast, do których „Szlaki...” docierają – a także za sprawą syntetycznej formy i atrakcyjnych archiwaliów, w tym kolorizowanych zdjęć.

TRWAŁY ŚLAD

Tego samego dnia, gdy otwierano wystawę w Pretorii – 26 kwietnia, w przededniu Święta Wolności w Republice Południowej Afryki – identyczną ekspozycję zaprezentowano w Johannesburgu. W obu miastach „Szlaki Nadziei”

gościły przez miesiąc, opuściły więc Afrykę jeszcze w maju, ale w RPA pozostanie po nich trwały ślad.

Ekspozycja zainteresowała bowiem działające w Johannesburgu Narodowe Muzeum Historii Wojskowości. To istniejąca od 1947 r. placówka, która pierwotnie miała być poświęcona drugiej wojnie światowej, ale ostatecznie stała się miejscem przypominającym ofiarę, jaką w trakcie różnych konfliktów składali mieszkańcy dzisiejszej RPA. Opowiadając o największym z konfliktów w dziejach świata, nie pomija się tu obecności Polaków na terenie południowej Afryki. Od teraz o Polakach będzie tu znacznie więcej. Przygotowana przez IPN wystawa „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności” została bowiem ekspozycją stałą w tym muzeum.

To oznacza, że każdego roku obejrzy ją ponad 80 tys. odwiedzających Narodowe Muzeum Historii Wojskowości. Rokrocznie muzeum to odwiedzą wycieczki szkolne z ponad 160 szkół i kilkadziesiąt grup wysyłanych tam przez Południowoafrykańskie Narodowe Siły Obronne. Wszyscy oni usłyszą o gen. Andersie, o zbiorowej odysei obywateli polskich w latach drugiej wojny światowej, o Polsce.

– Włączenie wystawy IPN do ekspozycji stałej w Muzeum w Johannesburgu to wydarzenie, jak dotąd, bez precedensu. Świadczy o tym to, że przyjęta przez nas strategia budowania potencjału Polski za granicą poprzez opowieść historyczną ma sens – mówi prezes IPN.

SZEŚĆ KONTYMENTÓW

Projekt „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności” to przedsięwzięcie, które realizowane będzie przez cztery lata. Rozpoczął się w związku z przypadającą w tym roku 80. rocznicą rozpoczęcia wędrówki armii gen. Andersa ewakuowanej z ZSRS, zakończy się w roku 2025, kiedy obchodzić będziemy 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej. Swoim zasięgiem objąć ma ponad 50 państw na sześciu kontynentach. Przetłumaczona zostanie na 20 języków.

Wystawa, która po zakończeniu projektu dostępna będzie w formie multimedialnej, to jeden z elementów całego projektu. Kolejnym są takie działania towarzyszące jak konferencje naukowe, konkursy, koncerty, wydawnictwa. „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności” może także być okazją do pozyskania nowych

fotografii, dokumentów i innych źródeł historycznych dotyczących żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych i ludności cywilnej, którą udało się ewakuować z ZSRS w 1942 r.

IPN zapowiada, że jednym z filarów projektu, który przyniesie trwały efekt, będzie zadbanie o miejsca pamięci zlokalizowane w różnych zakątkach świata – od Azji, Bliskiego Wschodu, Europy, Afryki aż do obu Ameryk. Na razie, przy okazji afrykańskiej odsłony „Szlaków...”, zaprezentowano efekty prac konserwatorskich na cmentarzu w Rusape w Zimbabwie, na którym spoczywa kilkunastu spośród ponad 700 mieszkańców osiedla dla uchodźców, funkcjonującego w latach 1943–1946 w dawnej Rodezji Południowej. Ale prace w tym miejscu



Wystawa „Szlaki Nadziei” w muzeum w Johannesburgu będzie ekspozycją stałą

FOT. AMBASADA RP W RPA

prowadzone były jeszcze przed „Szlakami...”, w roku 2019, staraniem Ośrodka Dokumentacji Deportacji, Wypędzeń i Przesiedleń przy Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie i Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Sfinansował je Instytut Pamięi Narodowej.

Do tej pory wystawa „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności” prezentowana była w trzech miastach w Polsce (Warszawa, Lublin, Gdańsk), w RPA (Pretoria, Johannesburg), Kazachstanie (Nur-Sułtan), Iranie (Teheran, Isfahan) oraz Stanach Zjednoczonych (Houston). Projektowi patronują prezydent RP Andrzej Duda, Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz córka gen. Andersa, Anna Maria Anders, ambasador RP we Włoszech i w San Marino.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Włoczyk

Cofnięcie przez amerykański Sąd Najwyższy barbarzyńskiego wyroku z 1973 r. rozwścieczyło amerykańską lewicę. Proaborcyjni aktywiści zrobią wszystko – nie wyłączając przemocy – by stanąć na drodze rozpoczynającej się wielkiej kontrrewolucji pro-liferów

Jane's Revenge – wszystko wskazuje na to, że nazwa ta stanie się symbolem fali przemocy, którą proaborcyjni ekstremiści w USA przygotowują dla amerykańskiego społeczeństwa. Ta powstała dwa miesiące temu grupa fanatyków prawa do aborcji na celownik wzięła przede wszystkim centra pomocy kobietom w ciąży, prowadzone przez pro-liferów. Na razie jej najgłośniejszym „sukcesem” jest podpalenie siedziby organizacji Life Choices w Longmont w Kolorado, do którego doszło dzień po ogłoszeniu przez Sąd Najwyższy, że konstytucja USA nie gwarantuje jednak uniwersalnego prawa kobiet do aborcji. Inne ośrodki tego typu są dewastowane, a ich pracownicy zastraszani. Znakiem firmowym Jane's Revenge stało się hasło malowane na ścianach i oknach atakowanych budynków: „Jeżeli aborcja nie jest bezpieczna, to wy także”. FBI rozpoczęło właśnie szerokie śledztwo w sprawie serii ataków przeprowadzanych przez członków tej ekstremistycznej grupy (jej ideowym wyznaniem jest „walka z patriarchalną supremacją”). Nawet Facebook uznał, że posty promujące działalność tej organizacji należy cenzurować i opatrywać odpowiednimi ostrzeżeniami.

Przejawów nienawiści wobec obalenia wyroku Roe vs. Wade jest dużo więcej. Wiele mogą o tym powiedzieć konserwatywni sędziowie SN, którzy od niemal dwóch miesięcy (od przecieku zapowiadającego zlikwidowanie aborcyjnego precedensu) dostają pogróżki, a pod ich domami gromadzą się regularnie agresywne tłumy. Podobnie zastraszani są ci republikańscy politycy, którzy szczególnie aktywnie wspierają postulaty ruchu pro-life.

Świat po Roe



Z jednej strony agresywni aktywiści fizycznie grożą obrońcom życia, a z drugiej strony reprezentujący ich politycy z Partii Demokratycznej obiecują, że wykorzystają każde dostępne narzędzie, by uniemożliwić lub co najmniej utrudnić ograniczenie prawa do aborcji.

PIĘCIU SPRAWIEDLIWYCH

Wyrok w sprawie Dobbs vs. Jackson, który unieważnił Roe vs. Wade (oraz powiązaną z nim decyzję w sprawie Planned Parenthood vs. Casey), rozwścieczył amerykańską lewicę, ponieważ oznacza, że z grubsza połowa stanów – te, które rządzone są przez konserwatystów – będzie mogła zdelegalizować aborcję. Niektórzy pro-liferzy do końca mieli nadzieję, że sędziowie stwierdzą, iż konstytucja USA zabrania „przerwywania” ciąży, ale był to scenariusz bardzo mało realistyczny. Pięciu sędziów (w tym troje nominowanych przez Donalda Trumpa) stwierdziło zamiast tego, że konstytucja w ogóle nie wypowiedzała się w sprawie aborcji, w związku z czym decyzja w tej sprawie powinna należeć do obywateli za pośrednictwem wybieranych przez nich polityków.

„Wyrok w sprawie Roe był haniebnym od samego początku. Argumentacja była wyjątkowo błędna, a decyzja szkodliwa – napisał sędzia Samuel Alito w uzasadnieniu decyzji. – Zamiast uspokojenia Roe oraz Casey zaogniły debatę i pogłębiły podziały. Uważamy, że wyroki w sprawach Roe i Casey muszą zostać zmienione. Czas, by w zgodzie z konstytucją uznać, że kwestia aborcji regulowana jest przez reprezentantów wybranych przez obywateli w wyborach”.

Decyzja SN z 24 czerwca była jedyną logiczną, skoro nawet najbardziej prominentni zwolennicy legalizacji aborcji przyznawali, że wykorzystanie w tym celu najważniejszego sądu w Ameryce było bardzo wątpliwe. Takiego zdania była choćby słynna Ruth Bader Ginsburg, zmarła w 2020 r. skrajnie liberalna sędzia SN, która przed swoją nominacją (w 1993 r.) publicznie mówiła, że argumentacja w sprawie Roe vs. Wade była bardzo słaba i aborcja powinna być zagwarantowana przez ustawodawcę, a nie sąd. W 1973 r. siedmiu sędziów na dziewięciu stwierdziło bowiem, że 14. poprawka do konstytucji gwarantuje pośrednio prawo do prywatności,



Wiec przed Sądem Najwyższym USA w Waszyngtonie. Fot. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

które to prawo daje z kolei możliwość dokonania aborcji. Ta dwustopniowa interpretacja urąga logice, tym bardziej że ta sama poprawka wprost gwarantuje obywatelom prawo do życia. I właśnie na ten fragmencik 14. poprawki liczyła część pro-liferów oczekująca wyroku idącego o wiele dalej – zabraniającego aborcji w całej Ameryce.

Cieężko nie uznać Roe vs. Wade za barbarzyński wyrok, ponieważ uznawał on, że aborcja powinna być legalna przez cały okres ciąży i poszczególne stany mogą (ale nie muszą) wprowadzać pewne restrykcje dopiero w drugim i trzecim trymestrze. Efektem tego są ultraliberalne przepisy m.in. z Nowego Meksyku i Oregonu, gdzie matka może zabić swoje dziecko z dowolnego powodu aż do porodu. Decyzja w sprawie Dobbs vs. Jackson dotyczyła z kolei prawa z Mississippi, które zabraniało aborcji na życzenie po 15. tygodniu ciąży. Dla amerykańskiej lewicy nawet tak niewielkie ograniczenie jest nie do przyjęcia w świetle ultraliberalnego wyroku Roe vs. Wade.

Jak podkreślał „The New York Times” w specjalnym wydaniu z okazji publikacji decyzji Dobbs vs. Jackson, sędzia Samuel

Alito, który był autorem opinii konserwatywnej większości, przygotowywał się do obalenia Roe vs. Wade od lat 80., gdy pracował jeszcze w Departamencie Sprawiedliwości. W 1985 r. ten 35-letni wówczas prawnik przestrzegał administrację Ronalda Reagana, by nie próbować zbyt pośpiesznie obalać wyroku legalizującego aborcję w całej Ameryce. Alito był zdania, że wzywanie wówczas SN do obalenia tego precedensu nie miało by najmniejszego sensu, ponieważ instytucja ta nie była jeszcze na to gotowa. Oczekiwanie na odpowiedni moment trwało kolejne cztery dekady, aż wprowadzenie do SN przez Donalda Trumpa trzech konserwatywnych sędziów pozwoliło znaleźć większość, która przywróciła normalność.

I chociaż Alito (praktykujący katolik) wyraźnie napisał w opinii większości, że decyzja w sprawie Dobbs vs. Jackson nie oznacza, że SN zamierza znieść inne ważne precedensy, np. legalność „małżeństw” gejowskich, to i tak demokraci biją na alarm. Jak bowiem podkreślił inny konserwatywny sędzia Clarence Thomas (bodaj najbardziej prawicowy w całym SN), sąd powinien się też zająć w przyszłości innymi precedensami, które poprzez tzw. aktywizm sędziowski pomogły zinstytucjonalizować rewolucję obyczajową. Amerykańska lewica szczególnie obawia się obecnie, że tzw. małżeństwa gejowskie zostaną niedługo uznane na powrót za kwestię, którą powinny rozstrzygać poszczególne stany.

INTERES KORPORACJI

Dzięki wyrokowi z 24 czerwca aborcja jest już nielegalna w Wisconsin, Dakocie Południowej, Missouri, Kentucky, Oklahomie, Arkansas i Alabamie (stan na 29 czerwca). Z kolei w Luizjanie i Utah sądy zablokowały tymczasowo zaostrożenie prawa aborcyjnego. W Teksasie sędzia pozwolił tymczasowo na dokonywanie aborcji do szóstego tygodnia w kilku klinikach, ale niedługo zapewne republikanie postawią na swoim i ten drugi najludniejszy stan w USA będzie pod względem prawa antyaborcyjnego bliźniaczo podobny do Polski.

Powrót do stanu sprzed Roe vs. Wade zaktywizował najważniejszych demokratycznych proponentów legalnej aborcji. Joe Biden nazwał wyrok SN „wyrazem ekstremalnej ideologii i tragiczną pomyłką”. Ograniczanie prawa do aborcji to według niego „antyamerykańska praktyka”.

Alexandria Ocasio-Cortez wezwała z kolei, by Kongres usunął konserwatywnych sędziów SN, co jednak wobec sprzeciwu republikanów w Senacie jest kompletnie nierealne. Pojawiają się też pomysły rozbudowania składu SN o kilku liberalnych sędziów, ale Joe Biden zdaje się krytycznie na to patrzeć, rozumiejąc, że w takim przypadku za kilka lat republikanie mogliby zrobić to samo i instytucja ta zamiast dziewięciu sędziów mogłaby niedługo liczyć kilkunastu lub kilkudziesięciu, co na pewno nie przydałoby jej powagi. Demokraci najbardziej liczą dziś na przegłosowanie federalnej ustawy, która dawałaby Amerykankom gwarancję prawa do aborcji. Obecnie, z uwagi na sprzeciw republikanów w Senacie, jest to niemożliwe (demokraci musieliby mieć 60 głosów), ale wszystko może się zmienić w kolejnych wyborach. Partia Bidena liczy, że obalenie Roe vs. Wade będzie ogromnym bodźcem dla jej wyborców. Z kolei część najbardziej liberalnych stanów, np. Kalifornia, obiecuje, że będzie sprowadzała do siebie kobiety, które będą chciały dokonać aborcji.

Carol Tobias, szefowa National Right to Life Committee, największej organizacji pro-life w USA, świętuje obalenie barbarzyńskiego precedensu, ale widzi też zagrożenia, jakie niesie ze sobą pro-aborcyjna mobilizacja lewicy.

– Z jednej strony niektóre stany oferują swoje usługi kobietom mieszkającym w stanach chroniących dzieci, a z drugiej strony administracja Bidena obiecuje, że zrobi wszystko, by aborcja była na wyciągnięcie ręki. Widzimy też, jak największe firmy oferują swoim pracownikom darmowe wyjazdy aborcyjne do innych stanów. Dla takich korporacji to zimna kalkulacja: opłacenie zabicia nienarodzonego dziecka i tak wychodzi taniej niż płacenie za urlop macierzyński i dopisywanie do ubezpieczenia kolejnego członka rodziny – mówi „Do Rzeczy” Carol Tobias.

Czy kontrrewolucja w USA rozleje się na inne państwa? Na razie widać ogromne oburzenie w zachodnich elitach liberalno-lewicowych na odwrócenie wyroku z 1973 r. Jednym z pierwszych zagranicznych efektów Dobbs vs. Jackson była zapowiedź przedstawicieli głównych francuskich partii, że prawo do aborcji należy zapisać wprost w konstytucji, by podobna historia nie zdarzyła się we Francji.

Nie można jedną ręką dostarczać Ukrainie broni, a drugą kreślić planów pokojowego rozwiązania sytuacji – powiedziała w maju rzeczniczka MSZ Rosji Maria Zacharowa, reagując na włoski plan pokojowy dla Ukrainy, przedstawiony przez ministra spraw zagranicznych Luigi Di Maio podczas wizyty w siedzibie ONZ w Nowym Jorku. Włoski plan pokojowy pojawił się tydzień po majowej wizycie premiera Maria Draghiego w Białym Domu. Podczas owego spotkania z Joe Bidenem Draghi nalegał, aby „nadał wspierać Ukrainę i wywierać presję na Moskwę, a także zastanawiać się, jak budować pokój”. Jednocześnie zaznaczył, że „wszystkie strony, w tym USA, muszą podjąć wysiłek, by usiąść przy wspólnym stole”.

– Chcemy, aby Rosja została osłabiona do tego stopnia, że nie będzie mogła robić takich rzeczy, jakie robi, najeżdżając na Ukrainę – oznajmił 25 kwietnia w Polsce sekretarz obrony USA Lloyd Austin.

Tymczasem prezydent Stanów Zjednoczonych w tekście opublikowanym 31 maja na łamach dziennika „New York Times” skorygował cele, które stawia sobie jego administracja w obliczu rosyjskiej agresji. „Cel Ameryki jest jasny: chcemy demokratycznej, niezależnej, suwerennej i zamożnej Ukrainy będącej w posiadaniu środków potrzebnych do odstraszania i obrony przed dalszą agresją. Jak powiedział prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, ta wojna »ostatecznie zakończy się tylko dzięki dyplomacji«. Każde negocjacje odzwierciedlają realia w terenie. Szybko zaczęliśmy wysyłać Ukrainie znaczną ilość broni i amunicji, aby mogła walczyć na polu bitwy i mieć jak najsilniejszą pozycję przy stole negocyjnym” – napisał Joe Biden.

Zaznaczył przy tym wyraźnie, że celem władz w Waszyngtonie nie jest doprowadzenie do obalenia Władimira Putina i że Stany Zjednoczone nie zachęcają Ukrainy do militarnego uderzenia poza swoimi granicami ani jej tego nie umożliwiają. „Nie chcemy przedłużać wojny tylko po to, aby zadać ból Rosji” – zadeklarował amerykański prezydent. I dodał, że nie będzie w żaden sposób naciskać na Ukrainę, aby zrzekała się ona części swoich terytoriów w celu zawarcia pokoju z najeżdżcą.

CZTERY WŁOSKIE PUNKTY

W świetle tych deklaracji włoski plan pokojowy nie odbiega od celów, które

Historia zawiedzionej miłości



Olivier Bault

Rosjanie muszą być rozczarowani Włochami, z którymi przez lata łączyły ich handel i dostawa surowców. Italia wspiera Ukrainę

stawia sobie administracja Bidena na Ukrainie (w przeciwieństwie do niektórych opinii, które można było usłyszeć w polskich mediach). Najlepszym dowodem na to jest właśnie negatywna reakcja Rosji w czasie, gdy władze w Kijowie przyjęły go z dużo większą przychylnością i otwartością, dziękując Rzymowi za podjęte wysiłki na rzecz pokoju.

W skrócie czteropunktowy włoski plan pokojowy zakłada natychmiastowe zawieszenie broni i demilitaryzację linii frontu pod nadzorem ONZ, rezygnację ze wstąpienia do NATO przez Ukrainę w zamian za możliwość szybkiego wstąpienia do Unii Europejskiej, podjęcie negocjacji między Moskwą a Kijowem w sprawie Krymu i Donbasu, które to regiony pozostałyby częścią Ukrainy, ale miałyby otrzymać specjalny statut autonomii, gwarantujący m.in. prawa

Włosi proponują w planie pokojowym m.in. rezygnację ze wstąpienia do NATO przez Ukrainę i podjęcie negocjacji w sprawie Krymu i Donbasu

językowe i kulturowe jej mieszkańców, oraz zawarcie wielostronnego traktatu o pokoju i bezpieczeństwie w Europie z udziałem Rosji.

Realizacja planu miałaby być nadzorowana przez międzynarodową grupę mediacyjną z udziałem przedstawicieli ONZ, UE i kilku krajów: Chin, Francji, Izraela, Kanady, Niemiec, Polski, Turcji, USA, Wielkiej Brytanii i Włoch. Przypomnijmy, że 31 maja ambasador USA przy



Premier Włoch Mario Draghi podczas szczytu UE w Brukseli, 31 maja 2022 r.
FOT. THIERRY MONASSE/GETTY IMAGES

w zaspokajaniu energetycznych potrzeb Włoch (stanowi tylko 10–13 proc. importu w stosunku do ok. 40 proc. w przypadku gazu), ale nawet w przypadku gazu od samego początku rosyjskiego najazdu na Ukrainę rząd Draghiego zaczął prowadzić intensywne rozmowy z krajami arabskimi i afrykańskimi, doprowadzając do podpisania nowych umów gazowych m.in. z Algierią, Katar, Angolą, Kongiem i Mozambikiem. Na festiwalu Green & Blue, który odbywał się w Mediolanie 5–6 czerwca pod hasłem „Climate Changers – Historie, pomysły i ludzie ratujący świat”, minister transformacji ekologicznej Roberto Cingolani ogłosił, że „w drugiej połowie 2024 r., zimą 2024–2025 r., powinniśmy móc powiedzieć, że nie kupujemy gazu z Rosji”. Jak zaznaczył, podpisane już teraz kontrakty z sześcioma krajami afrykańskimi powinny zagwarantować od 2025 r. dodatkowy import tego surowca w wysokości 25 mld m sześć. (w tym kilka miliardów metrów sześciennych w tym roku i 18 w przyszłym roku). Jak mówił Cingolani, obecny import gazu rosyjskiego to ok. 29–30 mld m sześć. – W ciągu 30 miesięcy uniezależnimy się od dostaw z Rosji, utrzymując jednocześnie kurs w kierunku dekarbonizacji na poziomie 55 proc. – zapewnił minister.

Jeszcze w marcu włoski parlament wydał zgodę na pierwszy pakiet broni dla Ukrainy. Chodziło o lekkie zestawy przeciwpowietrzne Stinger czy przeciwczołowe Milan, granatniki przeciwpancerne, amunicję, karabiny maszynowe i moździerze. Dowiedzieliśmy się tego z dziennika „Il Fatto Quotidiano”, który miał dostęp do dokumentu z listą przesłanego uzbrojenia. Sam włoski rząd nie ujawnia, jaką broń i w jakiej ilości wysyła na Ukrainę. Wiadomo jednak, że pod koniec maja minister obrony Rosji chwalił się zniszczeniem na Ukrainie działa 155 mm produkcji włoskiej, które miało być częścią trzeciego pakietu uzbrojenia dostarczonego Ukraincom (tym razem bez głosowania we włoskim parlamencie, gdyż rząd oparł swoje kolejne rozporządzenia dotyczące dostaw broni na marcowym głosowaniu).

PROATLANTYCKI KURS

Choć kurs proatlantycki rządu Draghiego i jego wsparcie dla Ukrainy w jej obronie przed rosyjskim atakiem nie budzą wątpliwości, to nie ustają napięcia wewnątrz koalicji rządzącej, a raczej wewnątrz dwóch partii wchodzących

ONZ Linda Thomas-Greenfield zadeklarowała poparcie ze strony Stanów Zjednoczonych dla włoskich propozycji pokojowych.

W przeciwieństwie do rządów w Berlinie i Paryżu Włochy, głosami premiera Draghiego oraz prezydenta Mattarelli, lobbują w stolicach europejskich za przyspieszoną ścieżką przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej i robiły to, jeszcze zanim 27 krajów 23 czerwca ostatecznie zatwierdziło status kandydata Ukrainy. Samo nadanie tego statusu wcale nie przesądza o tym, że Ukraina zostanie szybko przyjęta do UE. To jednak ważny etap, któremu wcześniej sprzeciwiały się niektóre państwa członkowskie. – Status kandydata [dla Ukrainy] spotyka się ze sprzeciwem prawie wszystkich dużych państw UE z wyjątkiem Włoch – mówił premier Draghi po wcześniejszym

spotkaniu szefów państw i rządów, na którym przyjęto szósty pakiet sankcji przeciw Rosji, zakładający m.in. odcięcie od rosyjskiej ropy.

O szybkiej ścieżce dla Ukrainy mówił też prezydent Sergio Mattarella 9 czerwca w obecności przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen. Mattarella uważa, że należałoby także umożliwić podobną przyspieszoną ścieżkę wejścia do Unii Mołdawii i Gruzji oraz krajom Bałkanów Zachodnich.

SANKCJE I BRONĲ

Pomimo dużego uzależnienia Włoch od rosyjskich węglowodorów w przeciwieństwie do Budapesztu Rzym nie próbował blokować embarga na rosyjską ropę w ramach szóstego pakietu sankcji przyjętego 30 maja. Co prawda, rosyjska ropa nie odgrywa tej samej roli co rosyjski gaz

■ w skład obecnej wielkiej koalicji, która miała postawić włoską gospodarkę na nogi w czasach pandemii. Chodzi o lewicowy Ruch 5 Gwiazd (M5S) byłego premiera Giuseppe Contego, do którego należał minister spraw zagranicznych Luigi Di Maio, oraz o Ligę Matteo Salvini, która ma trzech ministrów w rządzie Dragiego.

Zarówno Conte, jak i Salvini wypowiadają się przeciw wysyłaniu broni na Ukrainę. Według nich Włochy nie powinny stawiać się stroną konfliktu i powinny działać na rzecz pokoju, a nie wojny. Natomiast w przypadku M5S konflikt doprowadził w końcu w drugiej połowie czerwca do rozłamu, kiedy minister Di Maio odszedł i utworzył nową grupę w parlamencie z udziałem kilkudziesięciu parlamentarzystów.

Również Silvio Berlusconi wyraził wątpliwości co do dostaw ciężkiego uzbrojenia z Włoch na Ukrainę, a jego centroprawicowa partia Forza Italia jest częścią wielkiej koalicji.

Nawet wewnątrz centrolewicowej Partii Demokratycznej – również członka wielkiej koalicji – pojawiły się głosy sprzeciwu wobec pełnego wsparcia dla polityki rządu, wyrażane przez lidera tej formacji, Enrico Letta. W przeszłości tradycyjnie włoska lewica była nastawiona pacyfistycznie i nieprzychylnie do NATO, a nawet manifestowała swoje prosowiewskie sympatie. A Partia Demokratyczna wywodzi się częściowo z dawnej partii komunistycznej.

Najbardziej jednoznacznie pro-ukraiński głos we włoskiej układance politycznej wydaje się pochodzić obecnie z opozycji, z ust Giorgii Meloni, liderki Fratelli d'Italia (Bracia Włochy), jedynej liczącej się partii, która nie chciała wejść wraz z lewicą do wielkiej koalicji pod premierostwem byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego. W samorządach Fratelli d'Italia pozostaje w sojuszu z Forza Italia i Ligą, natomiast w Parlamencie Europejskim jej posłowie zasiadają w grupie EKR, do której należy także polski PiS.

W ostatnich tygodniach to jednak głównie Salvini znalazł się w ogniu krytyki za przyjęcie „pacyfistycznej” postawy wobec wojny na Ukrainie. Taka postawa wydaje się podejrzana w obliczu jego dawnej afiszowanej sympatii dla Władimira Putina. Tym bardziej że Matteo Salvini konsekwentnie, w imię rzekomych starań o pokój, stara się nie

potępiać zbyt jednoznacznie działań wojennych Rosji.

Kompletnie nie wypalił pomysł Salvini ogłoszony pod koniec maja – chciał pojechać na rozmowę z rosyjskim prezydentem do Moskwy, gdzie miał namówić Rosjan do wznowienia rozmów pokojowych. Został za to skrytykowany przez wszystkie formacje polityczne i również wewnątrz własnej partii. W dodatku wyszło na jaw, że to ambasada rosyjska miała mu załatwić bilet lotniczy.

Berlusconi, który utrzymywał wręcz przyjacielskie relacje z Putinem, na początku kwietnia, po ujawnieniu egzekucji cywilów w Buczy, powiedział na wiecu partyjnym, że jest „głęboko rozczarowany i zasmucony” zachowaniem Władimira Putina. – Znam go od ok. 20 lat i zawsze wydawał mi się demokratą i człowiekiem pokoju – oznajmił dalej Berlusconi, obnażając typową dla

Sondaże pokazują, że spada odsetek Włochów opowiadających się po stronie Ukrainy. Na początku czerwca deklarowało to 49 proc.

Włochów – i nie tylko dla nich – wielką naiwność w podejściu do władarzy Kremla. Jednakże półtora miesiąca po tych deklaracjach w rozmowie z „Corriere della Sera” Berlusconi stwierdził, że należy dążyć jak najszybciej do pokoju i w tym celu „zjednoczona Europa musi złożyć propozycję pokojową, starając się skłonić Ukraińców do zaakceptowania żądań Putina”.

W podobnym tonie wypowiadał się były lewicowy premier z Partii Demokratycznej i były członek Włoskiej Partii Komunistycznej Massimo D'Alema na festiwalu gospodarki, który odbywał się w pierwszym tygodniu czerwca w Trydencie. – Nie ma mowy o prawdziwym pokoju, jeśli nie uwzględnimy tych racji po stronie rosyjskiej. Chodzi o kwestię jej bezpieczeństwa i obrony praw jej mniejszości w republikach byłego ZSRS – mówił.

Tęgo rodzaju głosów jest więcej we Włoszech w kręgach zarówno politycznych, gospodarczych, jak i militarnych. Powstała nawet na przełomie maja i czerwca nowa partia rusofilskich

pacyfistów pod nazwą Forza Russia, czyli Naprzód, Rosjo!, z byłym rzecznikiem M5S na swoim czele. Składa się ona z ludzi z różnych środowisk politycznych, gospodarczych i akademickich, których łączy najwyraźniej sympatia dla Putina.

CORAZ MNIEJ WSPARCIA

Sondaże prowadzone co miesiąc przez instytut badawczy Ipsos od początku wojny pokazują zresztą, że systematycznie spada odsetek Włochów opowiadających się w tym konflikcie po stronie Ukrainy – z 57 proc. w połowie marca do 49 proc. na początku czerwca. Rośnie za to grupa nieopowiadających się po żadnej ze stron – z 38 proc. w połowie marca do 44 proc. na początku czerwca. Odsetek przyznających rację Rosji lekko wzrósł z 5 do 7 proc.

W tym samym czasie poparcie dla sankcji przeciw Rosji, „nawet jeśli mają skutkować wzrostami cen niektórych produktów spożywczych i energii”, spadło z 55 proc. do 47 proc. Jednakże to partie najbardziej pronatowskie i pro-ukraińskie w obliczu obecnych wydarzeń – Fratelli d'Italia oraz Partia Demokratyczna – są na czele sondaży, prowadząc nieustanny bój o pierwsze miejsce w politycznym rankingu, podczas gdy największe sondażowe straty odnotowują Liga i M5S, czyli partie, w których najbardziej kwestionuje się dostawę broni i politykę sankcji.

Do tej pory Włochy utrzymywały bardzo dobre relacje z Rosją, również te gospodarcze, i nie dotyczyło to tylko importu węgłowodórów. Dziennik „Il Giornale” na swoim portalu napisał 4 czerwca: „Włochy odgrywały wiodącą rolę w europejskiej agendzie Kremla, rolę kraju, na którym można było polegać i z którym przez lata budowano relacje oparte nie tylko na gazie i ropie, lecz także na intensywnym handlu, wymianie informacji wywiadowczych i stosunkach trójstronnych w miejscach występowania kryzysów oraz w relacjach transatlantycznych. Jest to tradycja, która wywodzi się z czasów zimnej wojny i która utwierdziła się po upadku muru berlińskiego. [...] Wszystko to w dużej mierze bez rezygnacji z lojalności wobec sojuszu atlantyckiego czy Unii Europejskiej”. Stąd dziś, pisze autor „Il Giornale”, opierając się na narracji rosyjskiej i deklaracjach rosyjskich przywódców, rosyjskie poczucie „zdrady” ze strony Włoch i złość na rząd Maria Dragiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEMCY ZNOSZĄ ZAKAZ REKLAMOWANIA ABORCJI

Niemiecki Bundestag przegłosował usunięcie z kodeksu karnego paragrafu 219a. Zdaniem ministra sprawiedliwości Marco Buschmanna był to zapis „absurdalny”, bo lekarze nie mogli wśród pacjentek rozpoznawać informacji, które te mogły znaleźć w Internecie. Zniesienie tego prawa ma też skutkować uchynieniem wszystkich wyroków skazujących lekarzy za informowanie o aborcji, które zapadały od 1990 r.

z ratusza dane na temat mieszkańców – nazwiska, adresy, daty urodzenia, informacje podatkowe i numery kont. Następnego dnia trochę zabalował w barze i zasnął na ulicy. Zgubił pendrive z danymi ponad 450 tys. osób. Burmistrz na konferencji uspokajał, że dysk „był zaszyfrowany”.

ZAKAZAŁ DOMÓW, SAM W TAKIM MIESZKA

Michael Werner-Boelz, socjolog i lider Zielonych z Hamburga, wspierał zakaz budowy domów jednorodzinnych i szeregowców w tym mieście. Tymczasem – jak zauważono w mediach – sam od 30 lat mieszka w jednym z domów jednorodzinnych z ogrodem. Co ciekawe, jest to lokal największej firmy komunalnej należącej do miasta, więc polityk płaci rekordowo niski jak na Hamburg czynsz w kwocie 650 euro miesięcznie. ©©

Łukasz Zboralski

ONZ NIE WYBACZA

BBC przeprowadziła śledztwo dotyczące mobbingu w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Z dokumentu „Sygnaliści: Wewnątrz ONZ” wynika, że ci, którzy padli ofiarą oszustw i wykorzystania seksualnego, gdy tylko próbowali to zgłaszać, zostali ukarani lub zwolnieni z pracy.

DUMA ROSYJSKIEJ MOTORYZACJI

Rosyjski AvtoVAZ odkupił większociowy pakiet w firmie za jednego rubla od francuskiego Renault i wrócił do produkowania samochodów. Pierwszym modelem ponownie produkowanym będzie Łada Granta. Nie będzie w niej ABS, poduszka powietrzna ani

elektronicznego systemu powiadamiania o wypadkach drogowych. Silnik o mocy 90 KM spełniał będzie wymogi normy Euro 2.

ZGUBIŁ DANE CAŁEGO MIASTA

Przedstawiciel firmy obsługującej sprawy podatkowe mieszkańców japońskiego miasta Amagasaki pobrał



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Politycy żyją dłużej

Do polityki garną się ludzie, którzy nic nie osiągnęli, a więc nieudacznicy i daramozjadzy. Polityka to dla nich deska ratunku, mogą godnie żyć, nie dając w zamian nic – zauważył już Józef Piłsudski i od tego czasu niestety niewiele się zmieniło.

Jeszcze w XIX i na początku XX w. wybrańcy narodu żyli podobnie długo jak zwykli obywatele. Akurat to w ostatnich dekadach mocno się jednak zmieniło. Politycy w krajach rozwiniętych zaczęli istotnie żyć dłużej od swoich wyborców. I nie są to różnice na poziomie błędu statystycznego. W niektórych państwach, jak USA, przewidy-

wana długość życia prominentów w wieku 45 lat wynosi przeciętnie o siedem lat więcej niż w przypadku zwykłych śmiertelników.

Dlaczego się tak dzieje? I w których krajach ta tendencja jest najbardziej widoczna? Odpowiedzi na to pytanie postanowili poszukać niezawodni anglosascy naukowcy. Dane do badania zebrali aż z 11 krajów: Australii, Austrii, Francji, Holandii, Kanady, Niemiec, Nowej Zelandii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i Włoch. Zgromadzone informacje statystyczne dotyczyły co najmniej okresu od 1945 do 2014 r. Łącznie naukowcy z Uniwersytetu

Oksfordzkiego przeanalizowali żywot ponad 57,5 tys. polityków, z których 40,6 tys. już przeniosło się na tamten świat. Wyniki badania opisali zaś na łamach „European Journal of Epidemiology”. Wynika z nich, że z roku na rok mocno rosła dysproporcja we wskaźnikach śmiertelności między politykami, czyli przedstawicielami elit, a zwykłymi zjadaczami chleba.

Zdaniem badaczy politycy żyją dłużej, bo m.in. mniej palą, są bogatsi i mają lepszą opiekę medyczną. Ich bardziej narażone na szwank serca ratują zaś leki na nadciśnienie. O groźnym dla lewicy wirusie filipińskim nic nie wspomniano... ©©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polski Ład 2.0 – na koszt dzieci i wnuków

Rząd – próbując wyjść z twarzą z katastrofy spowodowanej przez tzw. Polski Ład, w ramach którego zamierzał odebrać dużo nielicznym i tylko nieco bogatszym, by rozdać po trochu licznym i tylko nieco biedniejszym – poniewczasie postanowił jednak nieco bogatszych złupić nieco mniej, ale za to dobrać się do skarbonek naszych dzieci i wnuków.

Tak zwany Polski Ład miał bowiem polegać głównie na umiłowanej przez ten rząd redystrybucji dochodów – nieco bogatsi mieli zostać mocno oskubani, by rząd mógł podzielić część zarabianych przez nich pieniędzy między swoich biedniejszych wyborców; a wybory – jak wiadomo – za pasem; zresztą wybory zawsze za pasem. Cała operacja miała pozostać dla finansów publicznych z grubsza neutralna – jej koszt szacowany był na niewyżej kilka miliardów złotych w skali roku.

Gdy jednak okazało się, że operację tę przeprowadzono tak koszmarnie nieudolnie, iż nawet obdarowani prezentami wyborcy poculi się wystrychnięci na dudka, rząd doszedł do wniosku, że jeśli chce wygrać wybory, to nie ma wyboru i musi złupić nieco bogatszych nieco mniej, a że rozdanych wcześniej prezentów nie może i nie chce odebrać, a o obniżeniu wydatków budżetu nie chce nawet słyszeć, to na ich sfinansowanie musi znaleźć dodatkowe pieniądze. Tym

razem chodzi już jednak nie o kilka, a o co najmniej kilkanaście miliardów złotych w skali roku – jedne szacunki mówią o 15 mld zł rocznie, inne o aż 30 mld zł.

Pieniądze te – pieniądze na tzw. Polski Ład 2.0, który właśnie zajmuje miejsce niesławnego tzw. Polskiego Ładu 1.0 – oczywiście także trzeba będzie komuś – prędzej czy później – zabrać. I w ten oto sposób dochodzimy do sedna sprawy – tym razem rząd postanowił bowiem obciążyć swymi prezentami głównie wszystkie nasze przyszłe dochody – nie tylko zresztą nasze, lecz także naszych dzieci i wnuków. Albowiem te – niech będzie, że „tylko” 15 mld zł rocznie (czyli w ciągu 10 lat już, bagatela, 150 mld zł) będzie pochodziło z kredytu – z długu, który rząd dziś w naszym imieniu, lecz przecież bez pytania nas o zgodę, zaczyna zaciągać; długu, który to my będziemy musieli co do grosza spłacić – wraz z odsetkami, na które musimy zacząć się składać natychmiast. Z odsetkami, które – jak wiadomo – kosmicznie urosły i w najbliższym czasie będą nadal tylko rosnąć, a nie maleć.

Co na to nasze dzieci i wnuki, do których skarbonek właśnie włamał się rząd? Cóż, w Polsce nie tylko dzieci (i ryby) nie mają głosu; w Polsce głosu nie mają – jak widać – także dorośli podatnicy, których rząd, bez pytania ich o zdanie, zadłuża, jak bardzo mu się podoba i na tak długo, jak mu się podoba. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wojenne zakłęcie nie działa

Marcin Wyrwał, dziennikarz Onet.pl, z którym wywiad niedawno publikowaliśmy w naszym tygodniku, napisał tekst, w którym apeluje o realistyczne podejście do sytuacji na ukraińskim froncie. Wyrwał stawia sprawę jasno: wygrana Rosji jest bardzo prawdopodobna, Ukraińcy są coraz bardziej osłabieni, a Zachód nie pomaga im w wystarczającym stopniu. Być może – stawia tezę Wyrwał – nie może, bo

Wyrwał zauważa jeszcze jedną rzecz, o której także w naszym tygodniku pisaliśmy wielokrotnie, a która jest nadal tabu w debacie publicznej: sankcje znacznie bardziej uderzyły we wprowadzający je Zachód niż w Rosję. To będzie mieć odbicie w nastrojach społecznych; widać to już nawet w Polsce, choć nasz kraj w swoim emocjonalnym zapale idzie dalej niż jakikolwiek inny.

Pora zatem postawić pytanie: a co, jeśli zrealizuje się wariant, przed którym także ja wielokrotnie przestrzegałem? Wariant, w którym Ukraina będzie musiała zgodzić się na niemiły dla siebie kompromis albo – jeśli takiej zgody nie będzie – zostanie po prostu pokonana i zmuszona do przyjęcia rosyjskich warunków? To nie znaczy, że Rosja wygra całe strategiczne starcie, ale wygra tę jego część, która rozgrywa się na Ukrainie. Żeby nie próbowała przeć dalej, Zachód musi być uzbrojony. A zwłaszcza musi być uzbrojona Polska. Tymczasem władza wszystkie swoje działania planowała dotąd tak, jakby było jasne, że Ukraińcy zwyciężą w naszym imieniu, a my nie będziemy się musieli martwić. W jaki sposób rządzący chcą przekonać ludzi, że mają pogodzić się z nagłą, gwałtowną, głęboką pauperyzacją, bo taka jest cena wojny? To zakłęcie już nie działa. Innego nie widać. ©©

**A co, jeśli
Ukraina będzie
musiała
zgodzić się
na niemiły
dla siebie
kompromis?**

sam nie ma już sprzętu. Takie informacje się już pojawiały. Niedawno szef sztabu brytyjskiej armii ostrzegał, że uzupełnienie braków sprzętowych wynikających z przekazywania uzbrojenia Ukrainie zająć może kilka lat.

W Polsce miejsca na takie wątpliwości nie ma. Kto je wyraża, ten jest „ruską onucą”. Wydaje się jednak, że polska klasa polityczna jest wciąż na wojennym „hajcu” i jej przeświadczenie o wypełnianiu dziejowej misji coraz brutalniej rozmija się z realiami.

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 73d4878ad8



Łukasz Warzecha

Zgodnie z propozycją Komisji Europejskiej, nad którą 8 czerwca głosował Parlament Europejski, od 2035 r. dla aut osobowych i dostawczych miałyby obowiązywać zerowa norma emisji CO₂, co w praktyce oznacza zakaz sprzedaży nie tylko samochodów spalinowych, lecz także wszelkiego rodzaju hybryd

Dziennikarz motoryzacyjny Interii i zarazem popularny youtuber Paweł Rygas w swoim najnowszym filmie pochwalił się, że pojechał na wakacje do Chorwacji dacią Jogger, którą jego redakcja dostała do testów długodystansowych. Alternatywnie mógł wybrać do tej podróży nowiutkiego, ekskluzywnego audi Q4 e-tron, czyli SUV-a z napędem całkowicie elektrycznym. Dlaczego zatem zdecydował się jednak na rumuńskie popularne i tanie auto z fabrycznym LPG? To proste: elektryczne audi ma na autostradzie zasięg... 330 km. A do przejechania było ok. 1,4 tys. km. Rygas czekałby zatem cztery kilkugodzinne ładowania, a dacię wystarczyło zatankować w trasie raz. Tankowanie, jak wiadomo, trwa kilka minut.

Rygas opowiedział tę anegdotę w związku ze sprzeciwem Niemiec wobec terminu wycofania z Unii Europejskiej samochodów spalinowych. Zgodnie z propozycją Komisji Europejskiej, nad którą 8 czerwca głosował Parlament Europejski, od 2035 r. dla aut osobowych i dostawczych miałyby obowiązywać zerowa norma emisji CO₂, co w praktyce oznacza zakaz sprzedaży nie tylko samochodów spalinowych, lecz także wszelkiego rodzaju hybryd, jako że są one również wyposażone w silniki tradycyjne. Przeciw propozycji KE było 249 europosłów, w tym wszyscy z PiS i z KO (poza Magdaleną Adamowicz, która się wstrzymała). „Za” oddało głos 339 europosłów, w tym dziwierni z Polski: Marek Balt, Marek Belka, Robert Biedroń, Włodzimierz Cimoszewicz, Łukasz Kohut, Bogusław Liberadzki, Leszek Miller, Sylwia Spurek oraz Róża Thun. Większość należy do frakcji Socjalistów i Demokratów, Spurek –

Szaleńcze plany UE



FOT. ADRIAN STOK

do Zielonych, a Thun – do Odnowy (Renew Europe). Po tym głosowaniu potrzebna jest jeszcze zgoda na poziomie Rady Europejskiej, a z tym, jak widać, będą problemy. Wkrótce do sprzeciwu Niemiec, o którym pierwszy powiedział niemiecki minister finansów Christian Lindner, należący do FDP, koalicjanta SPD, dołączyły kolejne państwa: Portugalia, Słowacja, Bułgaria i Rumunia. W ubiegłym tygodniu pojawiło się też jasne przeciwnie stanowisko polskiego rządu. Rzecznik Piotr Müller powiedział, że konsultowaliśmy się w tej sprawie z Czechami. Natomiast minister klimatu Anna Moskwa, przed spotkaniem Rady UE, dodała, że wyznaczanie jakiejkolwiek daty granicznej byłoby nieodpowiedzialne. Niestety, z tych buńczucznych deklaracji nic nie zostało podczas spotkania Rady UE w Luksemburgu. Ministrowie środowiska zgodzili się po 16 godzinach narady... praktycznie na to, co było propozycją od początku: rok 2035 jako koniec sprzedaży nowych aut spalinowych w Unii. Rzekomy kompromis ma polegać na rozważeniu w przyszłości, czy nie dopuścić też aut hybrydowych. Ale to, prawdę mówiąc, nie jest to żaden kompromis. To ostateczne zabicie prawdziwej motoryzacji w Europie.

Trzeba natomiast powiedzieć jasno: próba skasowania pojazdów spalinowych w Unii nie jest tylko zwykłą konsekwencją innych planów wynikających z Zielonego Ładu. To znacznie więcej: to próba odebra-

nia ogromnej grupie obywateli wolności, jaką daje indywidualna motoryzacja. To naprawdę jest wojna ideologiczna, za którą stoi lewicowy paradygmat. Jego częścią jest marzenie o kontroli nad ludźmi, o wyznaczaniu im granic, kolektywizacji. A także przekonanie, że sposób życia głupiej tłuszczy mają narzucać koncesjonowani mędrcy. To wszystko widać jak na dłoni w Zielonym Ładzie, a szczególnie właśnie w kwestii odrzucenia aut spalinowych.

WTÓRNA RACJONALIZACJA

Technologia silnika spalinowego, wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie doszła do kresu. W grze było wiele bardzo interesujących projektów – choćby wdrożony już przez Mazdę silnik benzynowy o samoczynnym zapłonie, dotąd zarezerwowanym dla diesli – ale zostały zarzucone z powodu nacisku na przymusową elektryfikację. Ta tymczasem jest technologicznie mocno niedojrzała. Auta na ładowaną z sieci baterię, które dominują obecnie, jeśli idzie o samochody na prąd, są w porównaniu z pojazdami spalinowymi skrajnie niepraktyczne. Ich zasięgi mocno ustępują zasięgom samochodów tradycyjnych, a już zwłaszcza w realnych warunkach – w zimie i z wykorzystaniem wielu odbiorników prądu na pokładzie. Charakterystyczne, że gdy jedzie się autostradą albo drogą ekspresową, nie sposób zauważyć samochodu elektrycznego poruszającego

się z maksymalną dozwoloną prędkością. Wszystkie – nawet te luksusowych marek – jadą 80–90 km/h, bo powyżej tej prędkości zasięg spada drastycznie. Wygląda to żałośnie.

Zatem jeździ się wolniej, a do tego trzeba doliczyć czas ładowania. To przynajmniej kilkadziesiąt minut, i to pod warunkiem, że znajdzie się od razu wolną ładowarkę. Najszybsze ładowarki wymagają ogromnej mocy, a tu z kolei ogranicza nas infrastruktura. Polski system energetyczny nie wytrzymałby masowej elektryfikacji transportu i wątpliwe, czy wytrzyma ją za 13 lat. Ale to nie tylko polski problem. Brytyjski rząd ogłosił w drugiej połowie ubiegłego roku projekt ustawy, która umożliwiałaby wyłączanie losowo wybranych punktów ładowania aut elektrycznych – również tych prywatnych – na czas nawet do dziewięciu godzin, aby uniknąć przeciążenia systemu w godzinach szczytu. I to zapewne byłaby rzeczywistość wielu krajów.

Szczególnie zabawne bywa obserwowanie, jak właściciele elektryków dokonują wtórnej racjonalizacji swojej decyzji i na wszelkie sposoby przekonują, że np. dwie dodatkowe godziny postoju w dłuższej trasie, które trzeba spędzić w pobliżu punktu ładowania, to wspaniała sprawa. Problem w tym, że decyzja o tych dwóch godzinach postoju nie pochodzi od nich – to przymus, jeśli chcą dojechać na miejsce. Ja, poruszając się swoim spalinowym autem, mogę także zrobić sobie dwugodzinny postój – jeśli chcę, to mogę sobie na to pozwolić ze względu na czas, mam taki kaprys i chcę w tym czasie np. zwiedzić jakieś ciekawe miejsce. Bo miejsce postoju także mogę sobie wybrać. To ja jestem panem sytuacji, a nie mój samochód.

Zresztą cała argumentacja w sprawie przymusowego przejścia na samochody na baterię opiera się na racjonalizowaniu absurdów, które z tego wynikają, i przekonywaniu, że pewne cechy auta spalinowego są nam „niepotrzebne”. Mówi się np., że zasięg nie ma znaczenia, bo i tak większość tras pokonywanych dziennie to raptem kilkadziesiąt kilometrów. Zapomina się, że samochód ma być narzędziem uniwersalnym, a jego zaletą jest właśnie to, że w razie czego bez problemu przejedzie i kilkaset kilometrów.

Oczywiście jest całkiem możliwe, że jakaś grupa ludzi doszłaby do wniosku, że faktycznie nie muszą mieć samochodu zdolnego do bezproblemowego pokonania 1 tys. km z parunastominutowym posto-

jem. Wszystko byłoby w porządku, gdyby był to ich wybór. Przecież samochody elektryczne mogą się świetnie nadawać do codziennych dojazdów do pracy czy na zakupy, zwłaszcza jeśli ktoś ma dom, a do tego panele fotowoltaiczne i oprócz tego ma jeszcze „normalny” pojazd. Kluczowa jest tu jednak możliwość dokonania wolnego wyboru – i to wyboru, który nie powinien być finansowany z cudzych pieniędzy, a to jest niestety standardem. Tylko dlatego samochody elektryczne stały się tak popularne choćby w Norwegii – gdzie w większości gospodarstw posiadających elektryki, zwłaszcza poza dużymi miastami, jest jeszcze samochód spalinowy na wypadek, gdyby trzeba było jechać gdzieś dalej. Również z naszych pieniędzy rząd finansuje program „Mój elektryk”.

EWENEMENT W HISTORII ŚWIATA

Podsumowując: auto elektryczne ma mały zasięg, na długim dystansie musi poruszać się wolno, żeby drastycznie go nie skrócić, podróż trzeba planować tak, aby trafić na punkty ładowania, które niekoniecznie w danym momencie będą dostępne, a do tego mogą być centralnie odłączane, a samo ładowanie trwa wielokrotnie dłużej niż tankowanie samochodu spalinowego. Właściciel pojazdu na baterie staje się praktycznie jego niewolnikiem. Samochód przestaje pełnić rolę służebną i być przyjemnym narzędziem swobodnego przemieszczania się. To my musimy się dostosować do niego, a nie on do nas. Faktycznie oznacza to cofnięcie nas o całą epokę w rozwoju. Mając do dyspozycji tak uniwersalne i dobrze działające narzędzie, jakim jest samochód spalinowy, mamy się go wyrzec i ewentualnie – jeśli kogoś będzie stać – zamienić na coś, co bez przymusu i finansowanych z publicznej kasy promocji byłoby rozwiązaniem niszowym.

Nacisk UE na odejście od silnika spalinowego jest ewenementem w historii świata. Nigdy jeszcze na taką skalę nie wymuszano na obywatelach przyjmowania wadliwej, niedopracowanej technologii, mającej tak wielki wpływ na ich codzienne życie, która w warunkach wolnego rynku pozostałaby niszowa. Przynajmniej dopóty, dopóki by jej znacząco nie dopracowano, na co na razie się nie zanos. Mimo że kwestia czasu ładowania i pojemności akumulatorów jest kluczowa nie tylko dla elektrycznej motoryzacji, lecz także dla mnóstwa branż, od bardzo wielu lat nie nastąpił w niej żaden znaczący przełom. I żadnego nie widać na

horyzoncie, choć teoretycznie powinno być ich już kilka, wziąwszy pod uwagę to, o ilu obiecujących rozwiązaniach można było przeczytać. Trzeba też pamiętać, że w sytuacji niedoboru surowców i odcięcia Rosji od zachodniego obiegu gospodarczego, co zapewne potrwa bardzo długo, pod znakiem zapytania staje też możliwość produkowania samych akumulatorów – kluczowego elementu aut na baterię. Na dodatek, choć odejście od aut spalinowych ma pomóc „ratować planetę”, nigdzie nie znajdziemy informacji, jaki mianowicie ten ruch UE ma mieć wpływ na klimat.

Znacznie ciekawsza jest technologia wodorowa. Auta na wodór to również auta elektryczne, ale tankowanie wodoru jest jak tankowanie benzyny – trwa kilka minut. Zasięg jest również porównywalny z benzyną. Są jednak problemy z produkcją wodoru – bardzo energochłonną – a także z jego transportem i przechowywaniem. Gdyby zostały pokonane, auta wodorowe miałyby szansę obronić się w warunkach wolnego rynku.

Gdyby szaleńcze plany UE się spełniły, obudzimy się za kilkanaście lat w nowej rzeczywistości. Właściciele samochodów spalinowych będą obłożeni kolejnymi specjalnymi podatkami – to już widzimy w polskich „kamieniach milowych” i wbrew temu, co twierdzi Mateusz Morawiecki, jest to tam zapisane całkiem wprost. Te bodźce finansowe będą służyć temu, aby jedynie najbogatsi mogli sobie pozwolić na pozostanie przy dającej wolność tradycyjnej motoryzacji. Elitę będzie stać. Pozostali będą albo skazani na kulejące autka na prąd, najpewniej nawet nie własne, a jedynie wynajmowane, bo na własne nie będą sobie mogli pozwolić, albo będą musieli korzystać z komunikacji zbiorowej. Jednym słowem – będzie to transportowa komuna: motoryzacja dla wybranych, dla plebsu ścisk w zbiorkomwie. Ewentualnie rowerek, co lewica przyjąłaby z dzikim zachwytem.

Niedawno jechałem do Pragi – to z Warszawy ponad 700 km. Musiałem tam być ok. 17. rano coś jeszcze miałem do zrobienia. Zdążyłem bez problemu, po drodze zaliczyłem jedno tankowanie, które trwało kilka minut. Próbowiałem sobie wyobrazić, jak ta podróż wyglądałaby, gdybym miał auto na baterię. Co najmniej godzina planowania, dostosowanie trasy pod ładowarki, znacznie wcześniejszy wyjazd, bo jechać nie da się za szybko, poszukiwanie hotelu z odpowiednią liczbą przyłączy... Nie, dziękuję.

Słoneczny patrol



FOT. ADDEBSTECK



Joanna Bojańczyk

Nasz romans ze słońcem był burzliwy. Przez dwadzieścia wieków zaciekle się przed nim broniliśmy. Dobre strony słonecznego przeciwnika dostrzegliśmy dopiero 100 lat temu

Rzuciliśmy się na nie z entuzjazmem, ale szybko okazało się, że korzystając z jego łask, umiar jest jak najbardziej wskazany. Dziś rozumiemy złożoną naturę słońca i potrafimy je poskromić. Wiemy, że chroni przed jednymi chorobami, ale powoduje inne. Gospodarujemy nim rozsądnie, bardzo go potrzebujemy, tęsknimy za nim przez długie zimowe miesiące. Podróżujemy daleko, żeby go złapać jak najwięcej. Ale gdy już je mamy, boimy się, czy nam nie zaszkodzi... Rak skóry czyha. Czy nie za dużo się opalałimy?

„Od początków chrześcijaństwa, czyli przez ponad 2000 lat, ludzie Zachodu traktowali słońce nie jako dobroczyńcę, ale jako agresora” – pisze francuski historyk Pascal Ory, autor książki „Wynalazek opalenizny” (Wydawnictwo Champs/Flammarion). Powody ku temu były dwojakie. Po pierwsze: kobiety z wyższych klas chciały białą skórą odróżnić się od wieśniaczek pracujących w polu. Po drugie: w religii obraz czystości kobiety, model Maryi kojarzony jest z bielą.

W literaturze wysokiej i popularnej, w malarstwie, w podręcznikach urody motyw był jeden: piękno kobiety jest synonimiczne z białością jej skóry. Białogłowy, bladolicie... Nie było mowy, żeby beztrudno rzucić się w objęcia boga Ra. Pod koniec XIX w. potrzebny był cały system zabezpieczeń: kapelusz, parasolka, woalka, wybielacze do skóry.

Pierwsze sygnały zmian pojawiają się na początku XX w., dając początek długotrwałej i prawdziwie gorącej relacji ludzi ze słońcem. W latach 20. lekarze dochodzą do wniosku, że słońce, woda i powietrze są dobre dla zdrowia, że leczą choroby, szczególnie gruźlicę.

Właśnie gruźlica zapewnia popularność Zakopanemu, które na początku XX w. staje się ulubionym kurortem kaszlących błądawców. I nie tylko gruźlików. W Zakopanem instaluje się na dłużej czy na krócej bohema artystyczna: Szymanowski, Witkacy, Malinowski, Żeromski, Schulz, Nałkowska, Kasprówicz, Gombrowicz. Gruźlica i romanse... W rodzinnej „czarodziejskiej górze” na mocne wysokogórskie słońce wystawiają się blade twarze osłabionych mieszcuchów. Zamożniejsi sezon zimowy spędzają na Łazurowym Wybrzeżu. Lekarze zalecają łagodny klimat „dla zdrowotności”.

OPALANIE BEZ UMIARU

W Paryżu Gabrielle Chanel i Jean Patou zalecają opaleniznę już nie tylko dla zdrowia, lecz także dla urody. Jak kiedyś blada twarz świadczyła o tym, że dama nie rusza się z salonu, tak teraz, w latach 20., na przynależność do elity wskazuje muśnięte słońcem oblicze. Wakacyjnym pobytem w ekskluzywnych miejscowościach nadmorskich – Deauville, Biarritz, Nicea, Zoppot, Ostenda – należy się pochwalić w towarzystwie. Opalenizna to symbol statusu społecznego. Słońce

legitymizowane. Ale nie tylko ono – lecz także sporty plenerowe.

Jednak kij ma dwa końce. Na śródziemnomorskim słońcu można się ładnie opalić, ale można także się nieźle spiec. I to już jest nieprzyjemne, zwłaszcza dla ludzi o jasnej karnacji. To podsuwa pewien pomysł niejakiemu Eugeniuszowi Schuellerowi, założycielowi L'Oreala. Gdy nabawił się oparzeń słonecznych, wpadł w furję. A ta poskutkowała wynalazkiem. W ten sposób w 1935 r. urodził się pierwszy produkt przeciwsłoneczny: francuski Ambre Solaire. Z dzisiejszego punktu widzenia produkt był mało wyrażony – zawierał tylko filtr anty-UVB. Chronił przed oparzeniem, ale przepuszczał promienie UVA, odpowiedzialne za raka skóry i przedwczesne starzenie.

Po twarzy Brigitte Bardot, dzisiejszej 80-latki, widać, jak bardzo euforia opalania w latach 50. i 60. była bezkrytyczna. W jej wypadku na szczęście nie okazała się niebezpieczna – skończyło się na zmarszczkach.

W Polsce jeszcze w latach 60. nie mieliśmy nowoczesnych wynalazków, takich jak Ambre Solaire, ale też słońce u nas nie takie jak w Cannes i sezon wakacyjny krótszy. Długo Polkom służył zwykły olejek do opalania, prosta mikstura w kolorze ciemnowiśniowym, której aromat roznosił się na plażach Półwyspu Helskiego. Kto umiał zdobyć, smarował się masłem kakaowym. Większości wystarczał krem Nivea.

Po wojnie przybyło nam wybrzeża, a razem z nim pięknych plaż. Przybyło także wczasowiczów, nad morze jeździła już nie tylko inteligencja. Razem z Funduszem Wczasów Pracowniczych nad Bałtyk ruszyły tysiące letników. Panie w grubych jednoczęściowych kostiumach, a jak która nie miała (nie miała większość), to opalała się po prostu w staniu. Panowie w długich gatkach z wełny. Po powrocie w biurze porównywano kolory opalenizny.

BIKINI, TOPLESS

Tymczasem rewolucja czaiła się całkiem niedaleko. 5 lipca 1946 r., tydzień po próbie atomowej na atolu Bikini w Mikronezji, Francuz Louis Reard prezentuje dwuczęściowy kostium kąpielowy, o którym mówi, że jest najniższy na świecie. Pana Rearda, inżyniera mechanika samochodowego z dyplomem, wojna zmusiła do zajęcia się rodzinną firmą bieliźniarską. Ducha wynalazczości przerzucił ze sprządek na koronki.

Na początku nikt nie chciał wystąpić w rzeczonyj garderobie. W końcu modelka się znalazła: Michalina Bernardini, tancerka i striptizerka z Casino de Paris. Kostium na razie nie miał jeszcze nazwy, ale pan Reard pomyślał, że bikini, słowo, które znalazło się na ustach całego świata, będzie najlepszą reklamą.

O sprawie piszą od razu gazety, władze Włoch i Belgii zakazują bikini na swoich plażach, francuski kurort Biarritz wydaje w tej sprawie specjalny dekret. Zabiera nawet głos żona sekretarza generalnego Francuskiej Partii Komunistycznej Maurice'a Thoreza: „Ta burżuazyjna moda poniża klasę robotniczą. Bikini kosztuje tyle, ile miesięcznie zarabia sekretarka”. Przyciśnięty do muru autor powiększa trochę dolną część stroju, z górą się nie poddaje.

Nie będzie już powrotu do obudowanego kostiumem jednoczęściowym ciała. Opalenizna całego ciała wchodzi na stałe do kanonów urody. Prasa kobieca prześciga się w poradach, jak przedłużyć efekt złocistej skóry jeszcze po powrocie z wakacji. Od lat 80. już nie tylko bikini, lecz także topless stają się akceptowane na europejskich plażach.

SŁOŃCE ZA I PRZECIW

Pod koniec lat 70. zapala się lampka ostrzegawcza. Thomas B. Fitzpatrick, dermatolog z Harvard Medical School, ustala klasyfikację niebezpieczeństw promieni słonecznych w zależności od fototypu skóry. Już wiadomo, że dłuższe przebywanie na słońcu bez zabezpieczenia może być niebezpieczne. Krok po kroku wiedza o zgubnych efektach opalania przenika do świadomości powszechnej. I tu do gry wkracza przemysł kosmetyczny, który w odkryciu pana Fitzpatricka widzi potencjalną żyłę złota. Najpierw idąc na całość: ekran totalny, który blokuje dostęp promieni UV, oraz zakaz przyspieszaczy opalania.

Pisząca te słowa, ma własny wkład do tematu. W latach 70., na studiach, pracowałam jako au pair w pięknej willi w kurorcie Deauville nad Atlantykiem. Rodzice dziewczynki, którą się zajmowałam, często urządzali przyjęcia i byłam na nie zapraszana. Był sierpień, pełnia sezonu, wszystkie panie pięknie opalone, tylko ja jedna biała. O fototypach pana Fitzpatricka nie słyszałam, postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce. Posmarowałam się magicznym przyspieszaczem, który miał mnie uczynić mulatką w ciągu 24

godzin. Nazajutrz rano obudziłam się bez czekoladowej skóry, za to z potwornym swędzeniem. Całą skórę miałam szczelnie pokrytą czerwonymi wypryskami. To była alergia na składnik przyspieszacza opalania: bergamotkę. Niestety, na przyjęciu nie mogłam być obecna.

Ale potężny przemysł kosmetyczny nieustannie rozwijał coraz to nowsze technologie linii tzw. słonecznych. Kremy, mleczka, spreje, mgiełki, suche olejki. Zaczęto mówić o promieniach podczerwonych, które co prawda nie spalają skóry, ale rozgrzewają komórki. W 1989 r. powstała pigułka przeciwsłoneczna. Lekarka dietetyczka Marie Béjot powołuje do życia Oenobiol, lek doustny na bazie karotenu i przeciwutleniaczy, który ma zminimalizować nietolerancję na słońce i zmniejszyć objawy starzenia skóry. Jednak w Polsce w roku 1989 mamy większe problemy niż opalanie, pigułka przechodzi u nas bez echa. Dopiero dekadę później zaawansowane produkty ochrony słonecznej przybývają do nas razem z wolnym rynkiem. Jest tego coraz więcej: przed opalaniem, w trakcie i już po. Wyjeżdżając na wakacje, powinniśmy być uzbrojeni w walizkę płynów, kremów, aerozoli.

Niektórzy sprawy załatwiają bez wyjazdu nad morze. Łóżka opalające stają się niebezpiecznie modne w latach 90. Kobiety chcą wyglądać jak Pamela Anderson, bohaterka serialu „Słoneczny patrol”, którego akcja rozgrywa się na plaży. Idolą pań jest Doda, mężczyźni podziwiają wizerunek Aleksandra Kwaśniewskiego w amerykańskim stylu... Lekarze znowu ostrzegają: łóżko może być jeszcze groźniejsze niż oparzenie słoneczne. Charakterystyczny żółto-brązowy kolor, które daje solarium, jest kojarzony z obciążeniem. Moda na solarium jednak szybko nie przemija, a uzależnionych od ciągłego opalania (tzw. tanoreksja) nie brakuje. Ofiarom tego uzależnienia wciąż wydaje się, że wyglądają zbyt blade. Konsekwencją mogą być choroby skóry ze śmiertelnym czerniakiem na czele.

Dziś, w trzeciej dekadzie XXI w., wygląda na to, że wszelkie nerwice związane z bezmyślnym podążaniem za modą minęły. Białoskóre nie wstydzą się swoich nóg, kto chce być opalony, może, przymusić nie ma. Moda pozwala na indywidualizm. Ceny wycieczek nad morzem w sezonie letnim 2022 r. też nie sprzyjają opaleniznie. Chyba że wybierzemy RODOS (czyli Rodzinne Ogrody Działkowe) albo własny balkon.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ



Z kwestarzem po dworach i zaściankach

Nigdy nie zobaczymy na naszych drogach podróżującego od dworu do dworu, od karczmy do karczmy kwestarza. Była to figura pocieszna, bez której nie sposób wyobrazić sobie dawnej Rzeczypospolitej. Jak pisze Gloger: „Wiele zakonów miało księży lub braciszków wyłącznie kwestowaniu dla swego klasztoru poświęconych. Pomiędzy nimi słynęli bernardyni, którzy dobierali ludzi ze światem obytych, dowcipnych, wesołych i zacnych. Tymi obdarzony przymiotami braciszek, mając dużą parokonną lub trzykonną brykę, objeżdżał dwory szlacheckie, zbierając kwestę w zbożu, zapasach spiżarnianych i w pieniądzech”.

W XVII i XVIII w. trudno było zresztą wyobrazić sobie szlachecki zjazd, bankiet i święto bez zaproszonego do stołu braciszka, który bywały był w dworach i pałacach, słynął jako żywa kronika opowieści, podań, anegdot, rejestr spraw sądowych, plotek i legend. Jak wyżej nadmieniałem, kwestarzami bywali najczęściej bernardyni, którzy wedle swojej natury bywali rubaszni. Jak pisał ks. Kitowicz: „Głosy formują sobie zaraz w młodości grube, skąd powstało żartobliwe przysłowie, że reformaci nowicjuszom swoim łamą chrząstkę w nosie, a bernardyni konew piwa wielką o dwu uchach duszkiem wypijać dają”. Reguły były surowe – winowajców przywiązywano nagich do słupa i ćwiczono różgami jak kota. „Która to surowość w Polsce zadawniona u bernardynów może stąd pochodzić, że do tego zakonu pospolicie udają się ludzie hajdamacy, awanturnicy, żołnierze, ludzie pasji rozbujanych, których pohamowanie łagodnymi sposobami jest utrudnione”.



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

Pracę zakonników opisał Ignacy Chodźko w „Pamiętnikach kwestarza”. Kiedy młody brat Michał Ławrynowicz wyjeżdża na pierwszą kwestę, ksiądz gwardian udziela mu lekcji psychologii społecznej, jak skłonić do datków napotkanych ludzi, których dzieli na trzy kategorie. „Są tacy, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza jak bocianów na wiosnę. Tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc dla pocziwiej i dobroduszej gawędki. Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprowadzić, od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy”. Najgorsi są jednak wielcy panowie, u których „hojność od humoru zależy; otóż w tym sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarciem, wesołą dykteryjką. Potrzeba panie bracie umieć narzucić wędkę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku koncept ucześcić i wyciągniesz barana albo dukata”.

Kwestarze jeździli zwykle kałamaszkami, czyli lekkimi brykami. Każdy miał pacholka albo chłopca do posługi, a na podorędziu puzdro z flaszkami gorzałki, aby pokrzepić się w drodze. Historia zapisała liczne sposoby dowcipnego skłaniania do dawania datków. Przyjechawszy do dworu, kwestarz prosił pana o rozmielenie talara na drobne. A kiedy pan już wyłożył wszystkie szelągi i grosze na stół, mówił: „Dajże, dobrodziej, i talara twardego, abym

miał czym za monetę zapłacić”. Przyjechawszy do młyna, prosił o pozwolenie zmielenia beczki żyta bez miarki. „No, kóżby takiej małej rzeczy odmówił? Miel księżę choćby dwie. Da – choćby jedną, kiedy mnie ją dasz dobrodziej”. Chcąc nie chcąc, musiał gospodarz dać żyta na wóz.

Ojciec Ławrynowicz zaproszony na obiad przez starostę staje przed trudnym zadaniem, jak podzielić cztery jarząbki między pięciu gości, nie przecinając ich jednak na kawałki. Zakonnik przyjmuje wyzwanie, po czym dzieli pieczyście wedle grup trójkowych: „Jegomość dobrodziej, Jejmość dobrodziejka i jarząbek to troje; panicz, panienka i jarząbek to troje; kwestarz i dwa jarząbki to znowu troje”. Starosta, zdumiony konceptem bernardyna, daje mu kilka baranów i inne nagrody.

Zkolei kiedy Ławrynowicz przyjeżdża do pewnej okolicy szlacheckiej koło Pińska, opowiada miejscowym Januszom, że w klasztorze braciszkanie pozdzierali sobie gardła z mocnego śpiewania, a jedyne lekarstwo – nosić na piersiach kawał tłustej słoniny! Wyjeżdża zatem z wozem załadowanym polciami tłuszczu. W miarę upływu czasu bryka brata Ławrynowicza zmienia się w cały tabor beczących baranów, kóz oraz kolejnych wozów wyładowanych zbożem i mięsem dla klasztoru, co tworzy niezwykle obrazek.

Kwestarze jeździli po naszych drogach jeszcze do początków XIX w. Potem kasata klasztorów w Królestwie Polskim i na ziemiach zagarniętych przez Rosję zrujnowała na długo barwne życie zakonne. Nigdy już nie oglądano na gościńcu skrzypiącej bryki i rumianego braciszka podrzemującego nad lejcami. ©

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA MOTO G82 5G

Swietny, duży ekran OLED z odświeżaniem 120 Hz, pojemna bateria, głośniki stereo, aparat z optyczną stabilizacją obrazu oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości – oto największe zalety jednego z najlepszych „średniaków” dostępnych obecnie w sprzedaży.

Największą zaletą modelu Moto g82 jest piękny 6,6-calowy ekran OLED o rozdzielczości Full HD+ (2400 x 1080) oraz częstotliwości odświeżania ekranu wynoszącej aż 120 Hz. Kolory są nasycone, a czerń naprawdę głęboka.

Ważący 173 g smartfon ze „średniej półki” ma też bardzo pojemną baterię (5000 mAh), która obsługuje szybkie ładowanie 30 W. Przy intensywnym użytkowaniu taki akumulator powinien wystarczyć na cały długi dzień zabawy ze smartfonem. Ci, którzy używają smartfona rzadziej, będą musieli szukać gniazda raz na dwa dni.

Sercem urządzenia jest procesor ze średniej półki Qualcomm Snapdragon 695 5G, współpracujący z 6 GB pamięci RAM. W testowanym modelu jest też 128 GB pamięci na dane (użytkownik ma z tego do swojej dyspozycji ok. 113 GB). Pamięć można rozbudować za pomocą karty microSD (do 1 TB) lub użyć tego slotu na drugą kartę SIM. Plussem jest to, że smartfon działa pod kontrolą czystej wersji Androida 12. W codziennym użytkowaniu taka konfiguracja dla wielu użytkowników będzie wystarczająca. System działa sprawnie, aplikacje przełączają się płynnie, można nawet zagrać w prostsze gry,

choć oczywiście o najnowszych, bardzo wymagających grach lepiej raczej zapomnieć.

W testowanym modelu sprawnie i szybko działa czytnik linii papilarnych ukryty w przycisku Włącz/Wyłącz. Nieźle sprawuje się również funkcja rozpoznawania twarzy. Zaskakująco przyzwoicie jak na tę półkę cenową grają też głośniki stereo. Oczywiście smartfon jest również wyposażony w moduł NFC, który umożliwia płatności zbliżeniowe. Jest też obsługa 5G, co może być przydatne w coraz większej liczbie polskich miast.

Do dyspozycji jest też kilka obiektywów. Aparat główny ma 50 Mpx (jasność f/1,8) oraz optyczną stabilizację obrazu. W dobrych warunkach oświetleniowych robi nieźle zdjęcia. W gorszym świetle na zdjęciach wyraźnie widać już jednak szumy. Do dyspozycji jest też obiektyw szerokokątny (8 Mpx), choć jest on wyraźnie słabszy od aparatu głównego, przez co wykonane nim zdjęcia są gorszej jakości, mają mniej detali etc.

Wady? Design niczym nie zachwyca, jest raczej nudny niż wyjątkowy. Również obudowa ze sztucznego tworzywa nie jest zbyt atrakcyjna. Moto g82 na podryw zdecydowanie się więc

nie nadaje, chyba że potencjalna partnerka łaskawie doceni pragmatyczne podejście do życia. Fajnie, że testowany smartfon ma gniazdo jack 3,5 mm oraz że jest przynajmniej odporny na padające krople wody (jest to przydatne w przypadku deszczu, ale jeszcze fajniej byłoby, gdy klasa wodoodporności była wyższa).

Mimo tych minusów Moto g82 to dobry smartfon ze średniej półki, który z powodzeniem może konkurować z modelami realme czy Xiaomi. Cena: 1599 zł. ©©

Jacek Przybylski



SMARTWATCH OD MONTBLANC

Tytanowa ramka, eleganckie wzornictwo, superprocesor Qualcomm Snapdragon Wear 4100+, zaawansowany system Wear OS 3.0, a także czujniki mierzące puls i natlenienie krwi, a także monitorujące sen czy poziom stresu – to główne cechy zegarka Montblanc Summit 3.

Najbardziej stresująca jest w nim cena, która wynosi aż 1250 euro, czyli równowartość niemal 6 tys. zł. Premiera już 15 lipca. Kto bogatemu zabroni?



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INTELENTNE DRZWI DLA CZWORONOGA

Każdy, kto ma kota, wie, że futrzaki te często, żeby nie napisać – zawsze, sądzą, iż znajdują się akurat po złej stronie drzwi. Wiedzą o tym również twórcy urządzenia o nazwie Petvation, czyli „inteligentnych” drzwiczek montowanych przy wejściu,

które dzięki wykorzystaniu odpowiednich algorytmów wpuszczają do domu jedynie naszego ukochanego kota, a nie byle pchlarza z sąsiedztwa. Petvation może też np. wpuścić kota do środka, jednocześnie blokując drogę do salonu ciekawskiemu psu lub np. zezwolić na wejście domowemu psiakowi, nie wpuszczając za nim żadnych obcych czworonogów. Gadżet, który wykorzystuje sztuczną inteligencję w połączeniu z systemem rozpoznawania pyszczki, na jednym z portali crowdfundingowych zebrał już 369 tys. zł z 44 tys. zł potrzebnych do uruchomienia produkcji. Koszt automatycznych drzwiczek w przedsprzedaży wynosi 139 dol., czyli ok. 620 zł. Producent pierwsze paczki obiecuje wysłać chętnym w październiku obecnego roku. ©©



Jacek Przybylski



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Na węgierskim stole

Pięknie położony kraj w Środkowo-wschodniej Europie. Wprawdzie nie ma dostępu do morza, ale za to ma liczne jeziora. Największym i najbardziej znanym jest Balaton, nad którym oprócz wspaniałych plaż znajdziemy liczne winnice. Wpływ na kuchnię węgierską miały koczownicze plemiona Madziarów oraz habsbursko-austriackie i żydowskie mniejszości. W XV w. smaki kuchni węgierskiej poszerzyły się znacznie o wpływy kuchni włoskiej, a to za sprawą króla Macieja Korwina, który to dla swej ukochanej żony – córki króla Neapolu – sprowadził na Węgry włoskich kucharzy.

Równie ważny dla węgierskich kulinariów był okres okupacji otomańskiej Turcji, przez co na węgierskie stoły trafiły typowe dla kuchni wschodniej placki, ryż i kawa, a także nowe warzywa – pomidor, ziemniaki, kukurydza oraz papryka. Zastosowanie w kuchni węgierskiej tej ostatniej było powszechne, a sama papryka stała się niekwestionowaną królową węgierskich potraw. Przed pierwszą wojną światową dzięki żywnym ziemiom Węgry stały się spichlerzem Europy, a lokalni kucharze zaczęli kształcić swoje talenty w Wiedniu.

Kuchnia węgierska to przede wszystkim dania jednogarnkowe, co także wynika z tradycji. Kociołek zawieszony nad ogniskiem był typowym sposobem przyrządzania pożywienia ludów koczowniczych. Połączenie smaku duszonego i smażonego mięsa – najczęściej wołowiny lub wieprzowiny – i warzyw z obfitym dodatkiem papryki, podlane czerwonym winem jest bardzo charakterystyczne.



Gulasz przygotowywany i podawany jest najczęściej w żeliwnych kociołkach, mocno przyprawiony, z chlebkiem lub chlebowymi plackami, a także mącznymi kluszczykami zwanymi goluszkami.

Tradycyjna zupa węgierska, czyli zupa gulaszowa ze słodką papryką, papryki faszerowane mięsem i ryżem – to coś dla wegetarian, czyli warzywnego leczy. Na deser Węgrzy podają słynny tort Dobosa oraz strudę i naleśniki faszerowane na różne sposoby – na słodko z dżemem czy serem z rodzynkami lub w wersji wytrawnej z mięsem mielonym. Dużo, ciężko i smakowicie. Tak w skrócie możemy określić kuchnię węgierską.

Przepis na leczy warzywne:

- 1/2 kg papryki kolorowej
- 1 cebula • 150 g kiełbasy lub boczku • 30 dag pieczarek • 1–2 cukinie
- 1 ząbek czosnku • 1 łyżeczka papryki słodkiej • koncentrat pomidorowy, mały słoiczek • smalec lub oliwa do smażenia • przyprawy: sól, pieprz • zielona pietruszka, natka do posypania

Paprykę oczyszczamy z nasion, kroimy na kawałki. Pozostałe warzywa również kroimy na kawałki, cebule podsmażamy na smalcu lub oliwie, dodajemy paprykę. Po ok. 10 min dodajemy pieczarki, a następnie pozostałe warzywa. Podlewamy wodą, dusimy pod przykryciem, dodajemy przyprawy, przeciśnięty czosnek, a na końcu koncentrat pomidorowy. Gotujemy ok. 30 min. Podajemy z pieczywem lub dowolnie, z czym chcemy. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ogród, bez dworu

Podobno najbardziej lubią śpiewać ludzie, którzy nie mają głosu (należę do nich). Ja niewiele śpiewam, za to pasjonuję się ogrodnictwem, ale za co się wezmę w ogrodzie, to klops. Irysy zasadzone dwa lata temu – cebulki wybierałam starannie w Internecie – wydały tylko liście, żadnego kwiatu, jednego z tych, które tak pięknie prezentowały się na zdjęciach. Z kilkunastu wszadzonych do ziemi cebulek tulipanów ostały się dwa. Co się stało z bylinami floksów? Nie wiem. Są marne trzy, a było dużo więcej. Itp. itd.

Obecnie prowadzę projekt pt. „Kompost”, ale nie wiem, czy nie podzieli on losu poprzednich eksperymentów. A przygotowana jestem fachowo, bo odbyłam webinar w temacie kompostu. Z tego, co obserwuję, na razie wygląda na to, że brakuje mi dżdżownic...

Jest jednak nadzieja na zmianę. W domowej bibliotece, szukając kolejnej książki, wpadłam na wspaniałe znalezisko. Jest to przedruk dwutomowego dzieła Edmunda Jankowskiego „Ogród przy dworze wiejskim”. Oryginał z roku 1888 r., ze zbiorów Biblioteki Narodowej, wydany przez wydawnictwo Volumina.pl. Pierwszy tom poświęcony jest „ogrodowi użytkowemu”, drugi, dwa razy grubszy, obejmuje rośliny ozdobne. Siedemset figur w tekście i osiem tablic litografowanych. Zdjęć nie ma, przecież to dawne czasy. Ale to nie przeszkadza, dość mamy zdjęć we współczesnych książkach, w Internecie. Bez nich



EDMUND JANKOWSKI
„OGRÓD PRZY DWORZE WIEJSKIM”
VOLUMINA.PL
(REPRINT)

to i tak pasjonująca książka. W niej opisy gatunków, odmian, rady dotyczące sadzenia, pielęgnacji, przesadzania, chorób, szkodników.

„Podobno podróżnicy przez obcy kraj przejeżdżający wyrabiają sobie zdanie o jego ogólnej kulturze z uprawy pól, z ilości i stanu drzew w sadach, parkach i przy drogach. Pola i ogrody są to rzeczy najbardziej rzucające się w oczy, najwybitniejszy dowód działalności człowieka stanowią” – pisze autor, który dedykuje swoje dzieło Kochanej Cioci.

„Oprócz zaspokożenia potrzeb fizycznych, każdy człowiek ucywilizowany uczuwa konieczność zadosyćuczynienia swym potrzebom duchowym” – pisze autor w przedmowie do części pt. „Ogród spacerowy”. „Widok pól i łąk, wód i lasów, gór i dolin oświetlonych słońcem czaruje nasz umysł i do rozważania rzeczy wielkich uosabia” (pisownia oryginalna).

Rzeczy wielkie, może nawet uprawa karczochów przede mną. Na razie, przeczytawszy porady pana Jankowskiego, zabrałam się do rzeczy małych – pielienia.

PS Znajomy ogrodnik pan Marcin, z którym podzieliłam się entuzjazmem, schłodził moje emocje. – Nie znali wtedy genetyki – powiedział trzeźwo. Istotnie, ale mnie to nie przeszkadza. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Znowu milion trupów

Zeby nie było, że ja tu od specjalizacji covidowej, nie mam co robić i specjalnie straszę ludzi przebrzmiałym wirusem, by mieć temat. Od dłuższego czasu obserwuję wymuszanie tematu powrotu pandemii ze strony „oficjalnej”. I medycznej, i medialnej. Co do medialnej, to widać, że wojna powszedniejsze i pora wrócić do ogrzanego hiciora. Wiadomo – ludzie lubią przeboje, które znają.

Tym razem pada na stronę „medyczną”. Czemu w cudzysłowie? Wydzieliłem sobie pewną grupę medyków celebrytów, którzy świetnie zaadaptowali się do medialnej rzeczywistości. Kto się kiedyś interesował jakimś tam epidemiologiem? A tu takie żniwa przyszły. I ujawniło się kilka talentów. Receptura prosta: mówić mało i smacznie, by starczyło na setkę w tv. Do tego najlepiej jakiś szokujący fakt lub obrazowa metafora. Dziennikarze mają gotowca, każdy może liczyć na „ekskluziwa”, czyli materiał, którego inni nie mają. Naczelnicy pochwalili i będzie się polowało na kolejną sensację.

Moim faworytem jest pan dr Paweł Grzesiowski. Jego „działalność” została doceniona w 2021 r. w ramach konkursu „Sukces Roku” pan doktor został doceniony w kategorii „osobowość medialna” – jak czytamy w uzasadnieniu, głównie za rzetelną wiedzę medyczną. Pan doktor dość skutecznie straszył przez ekrany, peregrynował z telewizji do

telewizji, nie wiadomo kiedy mając czas na swoje doświadczenia z praktyki, którymi się tak ochoczo dzielił.

Trochę przycichło o doktorze, kiedy na przełomie lat 2021 i 2022 zaczął straszyć (tak, tak), że umrze nas kilka milionów na ten COVID. Potem krytykował rząd, że nie walczy tak jak inni, nie zamyka tak bardzo, nie izoluje. Zwłaszcza zawył po tej stronie, kiedy rząd przestał testować. I cała sprawa się wydała. Wystarczyło tylko zbić termometr testowy, aby nie mieć tej gorączki. Ponieważ jako ocaleniśmy z tej prognozowanej zagłady, to trochę o wieszczu ucichło.

Ale mamy sezon wakacyjny, wojna się przewlekła, to i media szukają tematu. Wiadomo – nomen omen – sezon ogórkowy. I znowu wychodzi pan doktor i znowu stara śpiewka człowieka od milionów zgonów. Że mamy zakażonych o wiele więcej, że zakażają się zaszczepieni (eureka!), że w Niemczech (tak, tak, tam cały czas pracuje testowy termometr) mieli w tygodniu 500 tys. zakażeń. I jaki z tego wniosek? No to jasne! Idźmy drogą Niemiec, gdzie się już chłopaki zbierają i zastanawiają nad kolejnością landowych lockdownów.

I żeby to nie było, że specjalnie grzeję „swój” temat – to nie ja zacząłem. Ja bym z chęcią pojechał sobie na wakacje i odpoczął od tematu. Zwłaszcza że przy takich wyrywanych sanitarystach to mogą być naprawdę „ostatnie takie wakacje”. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Instytut przetrwania Polski... w zamrażarce

Sprawa gwałtownej zapaści demograficznej, jaka miała miejsce w poprzednim roku 2021 (tylko 331 tys. żywych urodzeń i rekordowa liczba zgonów – 519 tys.), nie stała się tematem interpelacji poselskich ani szerokiej debaty.

Jakby ubiegając publikacje danych przez GUS, 2 grudnia Sejm przegłosował (uwaga! – jednym głosem) projekt ustawy o powołaniu Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii. Od początku idea instytutu spotkała się z frontalną krytyką opozycji, ale też nie wzbudzała entuzjazmu obozu władzy.

Wracam do głosowań sprzed ponad pół roku, ponieważ projekt został skierowany do dalszych prac w komisji i utknął w zamrażarce do dziś. Ponieważ wcześniej PiS podobnie potraktował projekty zajmujące się obroną życia, wniosek nasuwa się sam. Władze PiS intelektualnie są zakładnikami myślenia lewicowo-liberalnego.

Obiektywnego, poważnego problemu, jakim jest depopulacja kraju, nie traktując jako będącego w kategorii bezpieczeństwa narodowego, lecz światopoglądu. To pokazuje, jak instynkt zachowawczy jest zastępowany przez dojrutkowość, perspektywę wyłącznie najbliższej kadencji i używanie programów społecznych jako prymitywnej kielbasy wyborczej, a nie

jako odpowiedzi na realne problemy.

Polska się starzeje i wyludnia. Według prognoz ONZ w 2100 r. będzie nas 13,5 mln. Nie jest to tylko problem emerytur, rynku pracy, zabezpieczenia medycznego dla rosnącej grupy seniorów, lecz także kwestia przetrwania narodu i jego zdolności do odparcia ataku wroga. Powołanie profesjonalnej, kompetentnej i niezależnej instytucji, z własnym odpowiednim budżetem (30 mln), która by rozpoznawała, co wzmacnia potencjał ludnościowy, a co go osłabia, stanowiła dla rządu i Sejmu zaplecze eksperckie z możliwością wnoszenia projektów ustaw, badań polityki innych krajów (np. Węgier, gdzie w ciągu 10 lat wskaźnik dzietności na jedną kobietę wzrósł z 1,23 do prawie 1,6), jest kwestią ponadpartyjną – narodową.

Skoro dziś politycy w obliczu wojny, w imię bezpieczeństwa Polski, przyjęli wiele nadzwyczajnych, niezwykle kosztownych i ryzykownych dla budżetu programów pomocy dla Ukrainy, to dlaczego ci sami ludzie nie potrafią dostrzec, że brak polityki odbudowującej demografię w perspektywie 25 lat zadecyduje o potencjale obronnym kraju? Zamrożenie prac nad powołaniem Instytutu Rodziny i Demografii to działanie na szkodę bezpieczeństwa państwa. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Szlachetny apel do bidusów

Nie wiem, czy wezmą sobie do sercoumysłów te bidusy, ale zaprawdę powinni, gdyż apeluje nie byle tłusty portfel, a jego słowa szlachetne poobijały się echem na wszystkich mediach społecznych. Multibogacz Janusz Filipiak (w 2020 r. majątek jego i jego żony Elżbiety oszacowano na 750 mln zł) wystąpił z apelem do nieco mniej zamożnych, żeby żarli (takiego właśnie użył czasownika) mniej mięsa i nie latali do Grecji czy Turcji na wakacje, bo przez nich jest dużo dwutlenku węgla, a on jest uczulony na zmiany klimatyczne oraz przyszłość ludzkości (tu nie sprecyzował, czy szczęście bidusów też jest mu nieobce, ale tego wykluczyć nie można).

Żona prof. Filipiaka jest właścicielem ekskluzywnej restauracji Wierzynek w Krakowie, w której realizuje się owo przesłanie mięsne. Mięso, owszem, jest podawane, ale nie dla dziurowokieszeniowców. W menu są zestawy „Menu degustacyjne” z mięsem, na przykład tatar wołowy czy przerośnięte kacze wątroby za 459 zł za osobę, gdyby ktoś chciał do tego wino, to musi dopłacić 225 zł. Powiem tak: jadałem w miejscach, w których było odrobinę taniej. Sam Filipiak jest też właścicielem klubu piłkarskiego Cracovia i mnie się wydaje, że kibice tego klubu mogą wkrótce temu profesorowi wyskandować słowa podziękowania za tę

troskę, aczkolwiek mogą rzucić mięsem.

Marszałek Senatu, a jednocześnie profesor (a jakże!), Tomasz Paweł Grodzki, uważa, że Roman Giertych byłby dobrym kandydatem na prokuratora generalnego w przyszłym rządzie po wygranej Platformy Obywatelskiej. Kandydatura owa była szeroko komentowana i głosy były prawie wyłącznie entuzjastyczne, z naciskiem na „prawie”. Radosław Sikorski napisał: „Zgadzam się z marszałkiem Senatu profesorem Grodzkim, że mec. Roman Giertych dałby radę przywrócić w Polsce praworządność i doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości tych, którzy ją łamali i łamią”.

Niemniej było nieco sceptyków zwracających uwagę, że mecenas Giertych jest nieco mdlejąco-pozytywny, co może jednak utrudniać sprawowanie trudnej funkcji, chyba żeby zemdlenia były pod pełną kontrolą, wtedy wad nie ma żadnych, a niesłynne hasło, pokazywane kiedyś przez „Gazetę Wyborczą” – „Giertych do worka, wór do jeziora” – trzeba zapomnieć całkowicie. Hasło to było eksponowane przez nieuświadomioną politycznie młodzież w czasach, kiedy mecenas był ministrem edukacji i dopiero edukował się w zakresie wiedzy, co trzeba myśleć o Unii Europejskiej i chyba też „gdzie stoją konferty”, ale na to dowodów nie ma, więc chciałem przeprosić za te pomówienia serdecznie, Wysoki Sądzie. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

W kolejce po strzelbę

Małgośka, mówią mi, i po co ci licencja na strzelbę, pistolet i karabin?

Kobieta po czterdzieście powinna wrócić do robótek ręcznych, bo przy takiej inflacji to nas wszystkich czeka dzierganie ubrań przy świeczce. Nie mam złudzeń, nie wezmą mnie do sił szybkiego reagowania NATO, ale uważam, że moja jedyną odpowiedzią na naszym może być pióro oraz dobrana do butów i torebki strzelba. Poza tym, gdyby były zapisy na licencję na broń białą i nuklearną, też bym się zgłosiła, bo jako eksharcerka uważam, że wszystkie sprawności trzeba zdobywać. W dodatku dobrze widzę, że to samo robi ćwierć Polski, więc „ku chwale Ojczyzny!”. Poza tym – dość fałszywej skromności – na wszystkich zawodach strzeleckich zawsze te 80 punktów wystrzelam, więc mąż eksoficer dumny ze mnie, a i ja się pocieszam, że jeśli mi kiedyś redakcja podziękuję za pracę, to zostanie niepozornym, acz profesjonalnym ochroniarzem. Pierwszej damy albo magazynów Auchan...

Niepojęte, że ja – żona byłego oficera – nie mam żadnej taryfy ulgowej na egzaminach, a przecież to ja czyściłam mu mundury. Ale już zupełną aberracją jest to, że on sam po 15 latach służby w armii musi przejść tę samą ścieżkę co każdy cywil. W dodatku ciężkie to ustrojstwo i oprzeć karabinu na zawodach

nie pozwalają, więc łuski fruwają, parzą w twarz, ręce mdleją, uszy wędzną od huków, ale skoro nigdy nie wierzyłam w szklany sufit, to przecież nie mogę się sama zdyskryminować jakimś nędznym wynikiem w tłumie macho.

Egzamin praktyczny to jednak pikus przy części teoretycznej. I tu już mnie ogarnia nerwowość, bo trzy czwarte pytań testowych sugeruje, że posiadanie licencji jest najprostszym sposobem, aby pójść za kratki: ukradną ci pistolet – do ciupy! Zginie amunicja – zapuszkują! Przekroczysz granicę obrony koniecznej – do mamra na parę lat. Ahoj, przygodo...

Państwo odpoczywają, a ja Kodeks karny wkuwam i testy rozwiązuję zdziwiona, że nagle nie wszystko z polskiego rozumiem: bo tu jakaś spłonka, tam – baskila, i biegam za mężem, wypytując, co poeta miał na myśli we frazie „opór języka spustowego”. I już czasami do syna mówię: „No proszę cię, czymże twój egzamin z anatomii na medycynie przy moim z budowy broni palnej?”. Wstyd to będzie wielki egzaminu nie zdać, kasę stracić, w okopach z procy strzelać. A jeszcze po drodze trzeba orzeczenie zdobyć od psychologa i też się obawiam, że jakiś lewak mi się trafi i napisze: „Tej z »Do Rzeczy« nie obsługujemy”. I co mi po korpusie NATO w Polsce, jak tak trudno o własną spluwę w czasie wojny? ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Praktyka teoretyczna

Ludzie podejmują decyzje, kierując się albo praktyką, albo teorią. Praktyką jest doświadczenie, najczęściej osobiste, choć czasem wynikające z przekonania do jakiegoś autorytetu. Teorią można nazwać doświadczenie uogólnione. Na przykład jeśli ktoś, wbijając gwoździe, walnie się młotkiem w palec, to z doświadczenia tego wyciąga wniosek teoretyczny, że z młotkiem trzeba uważać. Praktyka i teoria nieustannie towarzyszą naszemu życiu. Istnieją ludzie, którzy nie zwracają sobie głowy teoriami, lecz mienią się praktykami. I na odwrót – istnieje pewien gatunek osób, które tak zanurzone są w rozumowaniach teoretycznych, że mogą nie

tym przyjąć teoretyczne założenie, że praktyka czyni mistrza oraz że większy wyczyn wywoła podziw u płci pięknej, to czemu mam nie założyć, że i z kilometrem sobie poradzę? Efekt może być niedobry: utonięcie. Lepiej więc nie unosić się teorii, a trzymać praktyki. Krótko mówiąc: jedno bez drugiego funkcjonuje marnie.

Uderzył mnie ostatnio tytuł pisma „Praktyka Teoretyczna”, wydawanego przez grono młodych polskich uczonych humanistów w otoczeniu dużej grupy zachodnich autorytetów. Redakcja przedstawia się jako „multidyscyplinarne czasopismo naukowe wydawane po polsku i angielsku, dostępne bez ograniczeń on-line.

Tytuł brzmi nieprzypadkowo „Praktyka Teoretyczna”, a nie np. „Teoretyczna Praktyka”, co sugerowałoby jakieś wątpliwości co do praktyki, lub „Teoria i Praktyka”, co wskazywałoby na zdrowe podejście do życiowych decyzji. Tytuł „Praktyka Teoretyczna” oznacza, w moim odczuciu, że wspomniane grono uczonych poważnie – bo w ich pracach nie widać poczucia humoru – sądzi, że praktyka winna wynikać z teorii. Tytuły niektórych artykułów są czasem dość zawiłe i być może treści w nich zawarte są niedostępne dla skromniejszych umysłów, ale w credo pisma czytamy, że „historia idei składa się [...] z ciągłych przekształceń pola teoretycznego, stanowiących efekt tyleż samego namysłu, co materialnej walki politycznej, aktów cenzury, wyparcia, instytucjonalnej represji czy oporu, rozwoju sił wytwórczych, stosunków produkcji i katalizującej wszystkie te przemiany wciąż zaostrzającej się walki klasowej. Dlatego też prowadzenie materialistycznej analizy otaczającego nas świata z zachowaniem wysokich standardów pracy naukowej i tworzenie środków produkcji naukowej dla bliskich nam perspektyw badawczych uważamy za zadanie warte podjęcia”. Redaktorzy pisma wprost przyznają się do tradycji marksistowskiej, umieszczając też w stopce hasła kluczowe: „Marks”, „komunizm”, „feminizm”, „neoliberalizm” i „rewolucja”.

Praktykę teoretyczną z czasów komunistycznych poznaliśmy w Polsce aż za dobrze. Jeśli fakty nie zgadzały się z teorią, to tym gorzej było dla faktów. Obecnie oferuje się nam znów „walkę klas w polu naukowym”. Strach się bać. Przecież w tym słownym bełkocie nie chodzi o obronę uciśnionych czy wykluczonych, ale o budowę nowego świata na chorych zasadach. ©©

Praktykę teoretyczną z czasów komunistycznych poznaliśmy w Polsce aż za dobrze. Jeśli fakty nie zgadzały się z teorią, to tym gorzej było dla faktów

zauważyć, jak wpadną pod samochód. Ważne jest, by w podejmowanych decyzjach kierować się zarówno doświadczeniem praktycznym, jak i umiejętnym uogólnieniem tych doświadczeń.

Wyobraźmy się, że ktoś, kto bez trudu potrafi przepłynąć 200 m – bo wie o tym z dotychczasowej praktyki – zacznie, siedząc na brzegu, rozważać, co może go teoretycznie spotkać po wejściu do wody. Może go nagle złapać skurcz, może go pożreć rekin albo, co przecież zdarzyło się już nieraz, zagarnie go ogromna fala tsunami. Wniosek jest prosty: lepiej w ogóle zaniechać pływania. Ktoś inny w podobnej sytuacji pomyśli inaczej: praktyka wskazuje, że bez trudu przepłynę 200 m, więc jeśli zdobędę się na wysiłek, to i 500 m przepłynę bez kłopotów. Jeśli przy

Pismo dostarcza platformy wymianie myśli i praktyce teoretycznej badaczy i badaczek z różnych dziedzin nauki, których łączą świadomość politycznego potencjału własnej działalności i niezgoda na bierność kontemplowanie otaczającego świata. Perspektywy tego, co żywe, wspólnego myślenia, odczuwania i współpracy powinny wyznaczać naczelną i podstawową punkty widzenia właściwe wszelkiej praktyce teoretycznej.

Teoria jest jedną z wielu form praktyki, której rzeczywistością jest walka klas prowadzona w polu naukowym. Jej horyzont stanowi zaś zawsze całościowe przekształcenie stosunków społecznych”. Nie ma wątpliwości: pismo promuje neomarksizm.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jarosław Kaczyński wypowiedział się na temat zbrodni. Jego przeciwnik nazwał prezesa PiS „naczelnym homofobem Rzeczypospolitej”. Czyli zostałem zdegradowany i pozbawiony funkcji. Pracuję na ten honorowy tytuł od lat, staram się, działam. I co? Jedno zdanie Prezesa i cała chwala i cześć dla niego? To niesprawiedliwe, Prezes tylko gada i tylko okazjonalnie, a ja wierzę w to, co mówię.

Wierzę, że przyzwoitość jest ważna, że pewne zachowania są moralne, a inne nie. Że zachowania niemoralne należy wytykać, zwalczać, a nawet zabraniać ich i je karać. Bo państwo nie po to jest, by wolno było wszystkim wszystko, ale po to, by budować DOBRO (a nie cokolwiek przyjdzie na myśl). Rzeczy złe należy potępiać i tępić. Rzeczom dobrym pomagać lub nie przeszkadzać.

Wyuzdana parada nie jest dobra dla nikogo – nawet dla tych uczestników, rozbiegających się, którym sprawia radość. Nie wszystko, co sprawia radość, jest dobre i pożyteczne. Miałeś kiedyś kaca? Dzień wcześniej chlałeś z radością i to nie było dobre już wtedy, gdy odczuwałeś radość. Ktoś zdradzał żonę i było mu wtedy przyjemnie, ale to nie oznacza, że akt zdrady był dobry lub pożyteczny. Przeciwnie – ta twoja przyjemność od samego początku była zła i godna potępienia.

Fobia, czyli w rozumieniu potocznym: lęk, niechęć i obrzydzenie, to niekoniecznie coś złego. Nie da się stwierdzić, że każda fobia jest złą z definicji. Ja stawiam tezę, że homofobia jest zdrowa i naturalna, a to dlatego, że wszystko, co kryje się pod nazwami LGBT+, jest wynaturzeniem i tyle.



Ktoś się nie zgadza, jego sprawa, a moje obrzydzenie to z kolei moja sprawa. Ludzie w demokracji mają się prawo brzydzić, czym chcą. Czasami powinni. Łapówkarstwem i brudem, kłamstwem, zdradą, bałaganem. Człowiek uporządkowany moralnie, chrześcijanin, ma obowiązek brzydzić się zbrodniami. Obowiązek oznacza, że nie tylko prywatnie, lecz także publicznie. Mamy obowiązek dawać świadectwo naszym przekonaniom, naszemu wyznaniu i prawdzie. Mamy obowiązek reagować, gdy porządek moralny zostaje zaburzony, i śmiało protestować, gdy jest burzony.

Czy jest coś nagannego w tym, że ktoś ma fobię? Jedni się brzydzą pajaków, inni się brzydzą, gdy znajdują włos w zupie, a jeszcze inni dostają obrzydzenia na widok wyuzdanego tłumu na ulicy. Zachowania nieprzyzwoite sprzątałyśmy kiedyś z naszych ulic. Gdy po parku szwendał się ekshibicjonista w długim płaszczu, który podchodził do ludzi, otwierał płaszcz i pokazywał gołego siurka, tośmy go przepędzali, a policja miała złapać i ukarać. Ukarać nie za jego skłonności czy zbrodzone potrzeby, ale za wyuzdany i nieestetyczny atak na innych. Ma swoje upodobania, to jego sprawa, ale nie chcemy, by nam pokazywał coś, czego widzieć nie chcemy.

Mnie pewne rzeczy brzydzą – nie chcę ich oglądać ani słuchać. Nie jestem sam. Moja Mamusia też nie chce patrzeć, jak przed kościołem maszerują zbrodnie, ubrani niestosownie, agresywnie, plus te ich

wszystkie wyuzdane wygibasy i wulgarne hasła. Nie chcę, by to miało miejsce. Wolno mi nie chcieć? Umowa na razie jest taka, że w demokracji mogę sobie czegoś nie życzyć – np. zbiorowej manifestacji ekshibicjonistów pod patronatem prezydenta miasta.

Kaczyński przemawiał do swojego elektoratu na swoim wiecu i wolno mu gadać, co tylko chce: konkrety lub głupoty – jego wiec. Kłopot z Kaczyńskim jest taki, że on tylko gada. O zbrodniach powiedział „ja bym to badał”. No to czemu nie bada? Ma władzę, może przeznaczyć grant na stosowne badania, skoro ten sam rząd przeznacza granty naukowe na badania strony przeciwnej.

Tego typu elektryzujące wypowiedzi to niestety wyborcze wrzutki, a nie konkret. Donald Tusk też wypowiedział się dawno temu o potrzebie kastrowania zbrodniców. I co? I nic. Zebrał głosy popierających ten pomysł, ale potem do kastrowania nawet nie podszedł.

Partia Kaczyńskiego od wielu lat składała ukłony wobec środowiska pro-life, a potem zawsze mówiła, że „teraz to nie jest właściwy moment na wprowadzanie zmian”. Wreszcie w październiku 2020 r. prezes sprawił, że pojawił się częściowy zakaz zabijania nienarodzonych. To był KONKRET! Dla mnie ta sprawa jest bardzo jasna: nie zabijaj, a w wersji bardziej prawidłowej, dokładniejszej – nie morduj.

PiS dużo gada, a ja na słowa przestałem zwracać uwagę.

Szukam konkretnego, działania i owoców – po owocach ich poznać, nie po słowach. Za poprawkę eugeniczną jestem PiS wdzięczny z całego serca, choć reszta spraw nas różni.

Podczas spotkania z wyborcami we Włocławku Jarosław Kaczyński upominał się o przyzwoitość w życiu publicznym: „Musimy mieć pewne zasady. W demokracji zawsze jest walka polityczna, w demokracji zawsze się spierają i kłócą. I to jest normalne, z tym trzeba się pogodzić. [...] Ale to nie znaczy, że te kłótnie nie powinny być ujęte w jakies ramy przyzwoitości”.

Dalej Kaczyński mówił o przywróceniu „reguły przyzwoitości, normalnego języka i elementarnej kultury”. Podkreślał, że to jest cel Prawa i Sprawiedliwości.

„Musimy doprowadzić do tego, by powróciła prawda. Oczywiście, ktoś może się z nami nie zgadzać. Ma lewicowe poglądy, uważa, że każdy z nas może w pewnym momencie powiedzieć, że do godziny – jest w tej chwili wpół do szóstej – byłem mężczyzną, a teraz jestem kobietą. Lewica uważa, że tak powinno być i należy tego przestrzegać. Mój szef, moja koleżanka czy kolega powinni się do mnie zwracać tym razem w formie żeńskiej. Można mieć takie poglądy, dziwne, co prawda – ja bym to badał – ale można”.

Co z tej wypowiedzi Prezesa ma wynikać KONKRETNIE? Czy państwo polskie przestanie poświadczać nieprawdę, wystawiając mężczyznom fałszywe dowody osobiste z wpisem, że facet jest kobietą, bo tak sobie wymyślił? „Musimy doprowadzić do tego, żeby powróciła prawda” – piękne zdanie. Ale jak chcecie tego dokonać w praktyce? Cofnięcie dowodu osobisty Grodzkiego? Kiedy? ©©

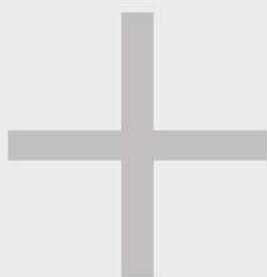
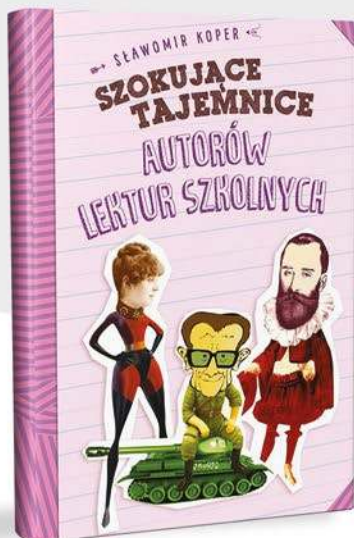
FOT. W. CEJROWSKI/UTD/JAROSŁAW SOSNICKI

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~599~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**SŁAWOMIR KOPER
„SZOKUJĄCE Tajemnice
AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

230,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 369zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 73d4878ad8

Niezawodna precyzja

Zasilany światłem,
synchronizowany radiowo.



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW